PAMFLET ZIEMKIEWICZA

Marsz Niepodległości kontra Marsz Podległości

Wicepremier Piotr Gliński w rozmowie z „Do Rzeczy" o polskiej suwerenności

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

CENA 7,90 ZŁ (W TYM 8% VAT) NR 45/450 8–14 LISTOPADA 2021

DODATEK SPECJALNY „KŁAMSTWO KATYŃSKIE" A „KŁAMSTWO OŚWIĘCIMSKIE"

Piotr Semka w 100. urodziny Wandy Półtawskiej

Czas zlikwidować Parlament Europejski

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829 Nakład: 56 200 egzemplarzy

eprasa.pl 9e340ad6ae

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Z nienawiści do Polski

Kilka ostatnich tygodni, podczas których Białoruś, zapewne z poparciem Rosji, próbuje zdestabilizować sytuację w Polsce i szerzej – w Unii, wysyłając na granicę tłumy migrantów, doskonale pokazało, do czego doprowadziła znaczącą część polskich elit nienawiść do własnego narodu. Ojkofobia to bardzo poważna choroba, a jej objawy można obserwować niemal codziennie. Pozwala ona przejść do porządku nad faktami – Polska jest ofiarą ataku Aleksandra Łukaszenki, który traktuje przybyszy z krajów Afryki i Bliskiego Wschodu jak mięso armatnie. Zamiast tego można głosić, że obrońca jest opresorem, i z poczuciem moralnej wyższości oskarżać rząd, prezydenta oraz ogół Polaków o to, że mają kamienne serca, że nie dorośli, że nie umieją współczuć. Zamiast pomagać – wznoszą zasieki, zamiast otwierać ramiona – wysyłają wojsko. Czytam te kolejne donosy na własny naród i wzruszam ramionami. Skąd w Polsce wzięło się tylu (pożytecznych) idiotów? Jak można nie dostrzegać zamysłu Łukaszenki i związanego z nim niebezpieczeństwa?

Skąd w Polsce wzięło się tylu (pożytecznych) idiotów?

Ogół liberalnych mediów nawet nie próbuje zachowywać pozorów bezstronności. Dziennikarze i redaktorzy piszą propagandowe teksty, które mają osłabić wolę oporu. Nie widzę zresztą wielkiej różnicy między ich doniesieniami z granicy, łzawymi filmami i pełnymi oburzenia manifestami a zmasowaną akcją ulotkową podczas wojny. Być może różnica dotyczy wyłącznie użytych środków: dawne, zrzucane z samolotów przeciwnika ulotki były siermiężne, dzisiejsze instrumenty presji – reportaże i ckliwe teksty – są bardziej wyrafinowane. Co do zasady jednak chodzi dokładnie o to samo: o rozmiękczenie charakteru, sparaliżowanie woli oporu. Dlatego bez przerwy należy atakować Straż Graniczną, wojsko czy policję. Bez końca oskarżać opinię publiczną o ciasnotę i egoizm.

Nienawiść do PiS okazuje się u tych ludzi silniejsza niż zdrowy rozsądek. Gdyby go zachowali, musieliby dostrzec, że obrona granic państwa przed masowym napływem nielegalnych migrantów jest absolutnie podstawowym obowiązkiem. Państwo, które nie jest w stanie ochronić granic, przestaje być państwem. Jak można tego nie dostrzegać? Jeśli Polska zgodziłaby się pod presją przyjąć stu uciekinierów, to dlaczego nie dwustu lub tysiąc albo sto tysięcy, a może milion? Co ma do tego miłość bliźniego? Czy w imię miłości bliźniego, miłości do migrantów, wolno narażać życie i zdrowie Polaków? Wolno ryzykować ich bezpieczeństwem dla abstrakcyjnego obcego? Kto im dał to prawo?

Opowieści niektórych ludzi, rzekomo obdarzonych bardziej wrażliwym sercem, o tym, że oni sami by przyjęli migrantów, to czysty faryzeizm. Oni sami? Oni sami na samotnej wyspie czy też oni sami w państwie, które zapewnia im ochronę prawną i bezpieczeństwo? Oni sami dadzą gwarancję innym, że przyjęci przez nich przybysze nie są niebezpieczni? Żałosne. Ostatnio przeczytałem o właścicielu pewnej sieci hoteli, który ogłosił, że przyjąłby setkę migrantów, tylko złe polskie państwo mu nie pozwala. Jak łatwo przewidzieć, natychmiast został bohaterem mediów. Proszę, to się nazywa chrześcijańskie współczucie – czytam. Czyżby? W jaki sposób dokona się wyboru? Sam pan hotelarz sprawdzi potencjalnie niebezpiecznych przybyszów? Czy może polskie służby? Ale jeśli polskie służby, to dlaczego mają przyjąć tych, a nie innych? Bo jeśli jednych tak, to na mocy jakiej zasady? W efekcie w imię zaspokojenia własnego dobrego samopoczucia odpowiedzialność za ryzyko przenosi się na drugich. Co się osiąga, stawiając w ten sposób sprawę? Rozgłos i poczucie satysfakcji? Z pewnością. Jest to jednak fałszywe stawianie problemu: otwarcie granic przed migrantami to nie kwestia dobrego lub złego serca, ale decyzja polityczna, która ma ogromne znaczenie dla ogółu. Jeśli pan hotelarz chce sam ryzykować i pomagać, proszę bardzo: niech otworzy dla imigrantów dom na Białorusi. Lub niech wyjedzie do miejsc, z których uciekają, do Afryki i tam niech im pomaga, jak robi zresztą wielu polskich misjonarzy czy wolontariuszy.

Jak zwykle, kiedy myślę, że już nic mnie nie jest w stanie zaskoczyć, otwieram „Gazetę Wyborczą" i widzę, że się myliłem. Oni naprawdę nie mają żadnych zahamowań. „Polskie matki: »Polacy znów, jak w czasie wojny, nic nie robią dla umierających ludzi. Najgorsze jest poczucie niemego współudziału«". To jest tytuł w gazecie, której nie wydaje ani Łukaszenka, ani Putin. Naprawdę redaktorzy z Czerskiej nie mieli oporu, żeby to napisać. Nienawiść odebrała im rozum i dlatego upiekli dwie pieczenie przy jednym ogniu. Ogłosili, że Polacy w czasie wojny „nic nie robili dla umierających ludzi" i że dziś zachowują się podobnie. Zewnętrzny okupant by tego lepiej nie wymyślił. Brr. ©℗

eprasa.pl 9e340ad6ae

TEMAT TYGODNIA

18 ROZMOWA Z PROF. RYSZARDEM LEGUTKĄ
PARLAMENT EUROPEJSKI NIE POWINIEN ISTNIEĆ
Unia nie jest państwem, a Europa nie jest narodem

21 TERESA STYLIŃSKA
SZKODLIWY EUROPARLAMENT

KRAJ

24 ROZMOWA Z WICEPREMIEREM PIOTREM GLIŃSKIM
JESTEŚMY ATAKOWANI PRZEZ TYCH, KTÓRYM NIE W SMAK JEST PODMIOTOWA POLSKA
Opozycja działa w dużej mierze w sposób niedemokratyczny

28 JACEK PRZYBYLSKI
ROSNĄ MURY WOKÓŁ UNII

30 MACIEJ PIECZYŃSKI
„WOLNE" MIASTO MICHAŁOWO

32 PIOTR SEMKA
STO LAT CZŁOWIECZEŃSTWA

34 ŁUKASZ ZBORALSKI
PIENIĄDZ Z EKRANU

36 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
NIEZNOŚNE DZIECKO KLASY ŚREDNIEJ

KULTURA

38 TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT
DWIE STRONY BUFETU
O wybitnym pisarzu

40 PIOTR GOCIEK
DZIECIĘ MAFII

NIE PRZEGAP

42 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

DODATEK SPECJALNY

49 PRAWNA OBRONA PRZED POLONOFOBIĄ
ZWALCZANIE „KŁAMSTWA OŚWIĘCIMSKIEGO" A SWOBODA BADAŃ I OPINII

OPINIE

66 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
MARSZ, KTÓRY SALONY KOCHAJĄ NIENAWIDZIĆ
Niepodległość, maszerowanie i polityka

68 ROZMOWA Z ROBERTEM BĄKIEWICZEM
NIEPODLEGŁOŚĆ NIE NA SPRZEDAŻ

70 ŁUKASZ WARZECHA
NA FRONCIE Z COVID-19

72 JANUSZ WOJCIECHOWSKI
ROLNICTWO TO NIE PRZEMYSŁ, ZIEMIA NIE FABRYKA, ZWIERZĘTA NIE MASZYNY

HISTORIA

76 ŁUKASZ CZARNECKI
INDIE WE KRWI
Bunt sipajów

ŚWIAT

88 PAWEŁ CHMIELEWSKI
BIDEN I ABORCJA
Franciszek sieje zamęt w sprawie Komunii Świętej

90 ROZMOWA Z RYANEM T. ANDERSONEM
TRANSPŁCIOWA ZBRODNIA NA DZIECIACH

EKONOMIA

94 ROZMOWA ZE SŁAWOMIREM MENTZENEM
PIS REALIZUJE PROGRAM PARTII RAZEM
Czeka nas bardzo dużo bałaganu

O ZDROWIU

98 KATARZYNA PINKOSZ
BĘDĄ NOWOCZESNE CEWNIKI
Urologia

FELIETONY:

SEMKA (8), ZIEMKIEWICZ, JUREK (10), KOWALCZUK (12), GMYZ, GOCIEK (16), ZYCHOWICZ, KOPER (80), PRZYBYLSKI (92), GABRYEL, WARZECHA (96), KOMUDA (100), KARWELIS, POSPIESZALSKI (102), JASTRZĘBOWSKI, WOŁCZYK (104), ROSZKOWSKI (105), CEJROWSKI (106)

eprasa.pl 9e340ad6ae

Pekao

kontynuuje tradycje Polskiej Kasy Opieki

Podobnie jak przed wojną Polska Kasa Opieki, tak dziś Bank Pekao S.A. wspiera inicjatywy, które wzmacniają markę Polski na świecie. Tradycja zobowiązuje

Kiedy Polska po długim okresie rozbiorów wróciła na mapę Europy, aż 8 mln jej obywateli, czyli blisko jedna czwarta żyjących wówczas Polaków, pozostawało poza granicami kraju. Emigranci włączyli się w odbudowę polskiej państwowości, przekazując pieniądze przez znajomych wybierających się do kraju.

BANK – AMBASADOR POLSKOŚCI

W 1929 r. świat dotknął wielki kryzys. Wraz z ogromnym bezrobociem pojawili się spekulanci i oszuści. Ministerstwo Skarbu odrodzonej Polski ruszyło na ratunek obywatelom, którzy chcieli pomóc rodzinom w kraju i szukali zabezpieczenia dla oszczędności. Powołano Bank Polska Kasa Opieki Spółka Akcyjna, na czele którego stanął Henryk Gruber, legionista i wielki patriota. Bank był dla niego misją nie tylko na polu biznesu. Za jego pośrednictwem chciał budować markę Polski na świecie. W swoich notatkach zapisał:

„Fałszywe wieści, tendencyjne artykuły, złośliwe wywiady i plotki skierowane przeciwko Polsce przewijały się przez łamy różnojęzycznej prasy".

Miały to zmienić stworzony przez niego Polski Instytut Współpracy z Zagranicą, a także placówki Banku we Francji, w Palestynie, Argentynie i USA, które pełniły ważne funkcje społeczne i kulturowe. Były ośrodkami polskości, inicjowały i podtrzymywały życie diaspory i budowały nowoczesny patriotyzm oparty na myśleniu o silnej gospodarce kraju.

Oddziały banku wspierały też polskie inicjatywy biznesowe. Na przykład w 1933 r. oddział argentyński udzielił pożyczki hipotecznej Spółce Kolonizacyjnej „Vistula", co umożliwiło ocalenie pierwszego polskiego przedsiębiorstwa kolonizacyjnego. Z kolei w Paryżu bank kupił upadającą księgarnię Gebethner i Wolff – Księgarnia Polska i założył bibliotekę oświatową w Domu Polskim, a w Lens i Freyming-Merlebach – czytelnie. Czytelnia powstała również w Buenos Aires.

Elementem misji Banku Polska Kasa Opieki było promowanie oszczędzania. Służyły temu obchody Międzynarodowego Dnia Oszczędności, często urządzane jednocześnie ze Świętem Niepodległości. W 1937 r. w obchodach we Francji wzięło udział ponad 50 tys. Polaków!

PATRIOTYZM GOSPODARCZY DZIŚ

Również współcześnie Bank Pekao S.A. jako jedna z instytucji zapewnia bezpieczeństwo finansowe Polaków. Wartości i idee, które przyświecały Polakom ponad 100 lat temu, wielokrotnie przypominał prezydent Lech Kaczyński, propagator idei patriotyzmu gospodarczego. Podczas sejmowego orędzia 22 maja 2009 r. mówił, że „nieskrępowany żadnymi regułami rynek nie jest odpowiedzią na wszystkie problemy. Solidarność, spoistość tkanki społecznej jest dla rozwoju gospodarczego równie niezbędna jak konkurencja w mnożeniu zysków i indywidualne ambicje. Wolność i solidarność powinny się nawzajem wspierać".

Fundamentem współczesnego patriotyzmu gospodarczego jest państwo, które – aby skutecznie realizować swoje zadania – musi zachować kontrolę nad strategicznymi gałęziami gospodarczymi, takimi jak sektor energetyczny czy finansowy. Istotnym elementem tego drugiego jest Bank Pekao S.A., drugi największy bank uniwersalny w Polsce z ponad 240 mld zł aktywów. Z jego usług korzysta blisko 6 mln klientów. To właśnie ten bank pierwszy w Polsce udostępnił klientom bankomat, pierwszy wprowadził karty kredytowe, usługi biura maklerskiego, wdrożył także takie rozwiązania jak założenie konta na selfie czy bankową aplikację mobilną dla dzieci, pierwszy korzystał z biometrii i udostępnił możliwość weryfikacji tożsamości klientów e-dowodem.

Podobnie jak kiedyś Polska Kasa Opieki, tak dziś Bank Pekao S.A. wspiera inicjatywy, które wzmacniają markę Polski na świecie. To choćby organizacja Domu Polskiego w Davos czy wspieranie kongresów gospodarczych. Dzieła sztuki wybitnych twórców z kolekcji banku wypożyczane są na wystawy krajowe i zagraniczne, promując dziedzictwo kulturowe Polski.

Bank Pekao

eprasa.pl 9e340ad6ae

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Agnieszka Rybak, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Małgorzata Wołczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Igor Zalewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Antoni Trzmiel** (zastępca, także dziennikarz Telewizji Polskiej), **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Maciej Strug, Paweł Zdziarski, Łukasz Żygadło.**

Studio graficzne: **Wojciech Niedzielko** (kierownik), **Jakub Tański, Jacek Nadratowski, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Marzena Dobosz, Agata Błaszczyk-Stefaniak**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Mathieu Cugnot/EU/EP, Paweł Olkuśnik/PAP**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, tel.: 539 953 631; **Monika Doroś,** tel.: 508 040 664

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829
Nakład 56 200 egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres
e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.
© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Kreatywne statystyki Ministerstwa Zdrowia", Agnieszka Golańska-Bault, „DRz" 43/2021

Szanowna Redakcjo,
niezmiernie cieszy mnie, że w ostatnim wydaniu „Do Rzeczy" ukazał się artykuł Pani Redaktor Agnieszki Golańskiej-Bault na temat manipulacyjnego charakteru komunikatów liczbowych Ministerstwa Zdrowia oraz mediów dotyczących skuteczności szczepień przeciw COVID. (Nie cieszy mnie sam fakt zaistnienia manipulacji, ale jej wykazania). Moim zdaniem, niezależnie od tego, czy uważamy, że prawdziwy stopień, w jakim szczepionki chronią przed zarażeniem czy ciężkim przebiegiem w porównaniu z ryzykiem, jakie niosą, uzasadnia szczepienie, należy każdemu dać możliwość podjęcia świadomej decyzji. Próba manipulacji danymi niestety świadczy raczej o tym, że MZ samo ma wątpliwości co do tego, iż szczepienia są remedium na COVID.

Pozdrawiam, Piotr Goryl

Mam kilka merytorycznych uwag do artykułu „Kreatywne statystyki Ministerstwa Zdrowia". Według danych autorki liczba osób zaszczepionych w Polsce stanowi ok. 50 proc. (dokładnie nieco powyżej 52 proc.) populacji. Autorka przytacza wyliczenia jednej z opozycyjnych partii dotyczące tygodniowych zachorowalności i śmiertelności z powodu zakażenia wirusem SARS-CoV-2. Według tych danych w populacji zakażonych liczba osób zaszczepionych wynosiła jedynie 28 proc. lub 34 proc., a liczba osób zmarłych jedynie 18 proc. lub 23 proc. Nie weryfikowałem prawdziwości tych wyjątkowo niekorzystnych dla zaszczepionych danych. Ale te dane nadal przemawiają za zasadnością szczepień. Gdyby szczepionki nie chroniły przed zakażeniem i zgonem, to liczby zakażonych i zmarłych z powodu COVID-19 powinny być znacznie wyższe, zbliżone do odsetka zaszczepionych, czyli wartości 52 proc. I dopiero wówczas można by twierdzić, że profilaktyczne szczepienia przeciwko COVID-19 są nieskuteczne. Medycyna to nauka, w której wybory dotyczą prawie zawsze mniejszego zła. Żaden uczciwy i dobrze

eprasa.pl 9e340ad6ae

wykształcony lekarz nie może twierdzić, że szczepienia są w pełni bezpieczne i w 100 proc. skuteczne, bo to po prostu nie jest zgodne z wynikami badań. Ale żaden uczciwy i dobrze wykształcony redaktor nie powinien kwestionować zasadności promowanej obecnie akcji szczepień przeciwko COVID-19, a taki wydźwięk ma ten artykuł. Przemawiają za tym dwa bardzo ważne argumenty merytoryczne. Po pierwsze te szczepienia są skuteczną metodą ograniczania zachorowań na COVID-19 i po drugie nie znamy żadnej innej równie skutecznej ani lepszej metody walki z epidemią COVID-19. Nawet jeśli ta metoda nie jest tak skuteczna, jak się mogło wcześniej wydawać, to zwykła uczciwość zawodowa nakazuje odpowiedzieć na pytanie, co można zaproponować zamiast szczepień. Wymieniłem te metody w odrzuconym przez Komitet Etyki w Nauce przy Prezydium PAN projekcie Stanowiska z 30 października 2020 r. w sprawie nieodpowiedzialnych zachowań podczas epidemii wirusa SARS-CoV-2 z 30 października 2020 r. Są to: „dwie metody profilaktyczne stosowane łącznie, czyli przecinanie dróg szerzenia się wirusa oraz przecinanie szerzenia się dróg zakażenia poprzez izolację wszystkich osób zakażonych, nim staną się zakaźne dla innych, izolację chorych oraz objęcie kwarantanną wszystkich osób mających kontakt z zakażonymi wirusem SARS-CoV-2". Czyli alternatywą szczepień jest lockdown państwa. Istnieje jeszcze trzecie rozwiązanie – przestańmy przejmować się chorobą i brakiem miejsc w szpitalach – słabsi wymrą, silniejsi przeżyją, koszty utrzymania ZUS i NFZ spadną, bo umierać będą głównie chorzy, starsi i słabsi. To którą z tych trzech metod walki z epidemią COVID-19 wybiera Pani Redaktor?

Pozdrawiam,
dr hab. n. med., bioetyk Marek Czarkowski

Od autorki

Szanowni Panowie,
Dziękuję zarówno za pochlebne, jak i krytyczne uwagi do mojego artykułu. W odpowiedzi na uwagę pana Marka Czarkowskiego chciałabym uściślić jeszcze raz, że wyliczenia zawarte w moim artykule nie są statystykami prowadzonymi przez opozycyjną partię (Konfederację), ale pochodzą wprost z danych podawanych co tydzień w piątek na oficjalnej facebookowej stronie Ministerstwa Zdrowia. Nie są one podane explicite, ale w każdym tygodniu od trzech miesięcy Ministerstwo Zdrowia publikuje zestawienia, ile osób, w tym osób zaszczepionych, zakaziło się Sars-CoV-2 i ile zmarło z powodu wywołanej wirusem choroby mniej więcej od początku stycznia (początek szczepienia drugą dawką).

Mój artykuł nie miał na celu kwestionowania zasadności szczepień czy też wyliczenia poziomu ich skuteczności. Aby to uczynić, należałoby wejść w dane statystyczne dużo głębiej. Chciałam jedynie wykazać, że Ministerstwo Zdrowia nie informuje społeczeństwa uczciwie, w sposób przejrzysty, o wynikach prowadzonej przez rząd masowej akcji szczepień, tak jakby rzeczywiście samo w jej skuteczność nie wierzyło. Zamęt informacyjny w tej materii, brak merytorycznego odnoszenia się do uwag na ten temat przez decydentów nie buduje zaufania do rządzących i do szczepień zniechęca. Ludzie coraz częściej mają wrażenie, że coś się przed nimi ukrywa. Widniejące na plakatach rozklejonych na ulicach naszych miast hasło „99 proc. zgonów na COVID to osoby niezaszczepione" wprowadza ludzi w błąd także w tym sensie, iż daje poczucie złudnego bezpieczeństwa osobom zaszczepionym.

Nie mogę się natomiast zgodzić, że sceptyczne, a nawet krytyczne nastawienie do akcji masowych szczepień przeciw COVID-19 jest wyrazem nieuczciwości. Każda ze stron tego sporu ma swoje racje oraz racjonalne argumenty, problem polega jednak na tym, iż w przestrzeni publicznej bardzo niewiele jest miejsca na rzetelną i uczciwą debatę o sposobach radzenia sobie z pandemią (na Pana liście ku mojemu zdumieniu nie ma na przykład wzmianki o skutecznych sposobach leczenia tej choroby), a dziennikarze zbyt rzadko zadają pytania dotyczące istoty problemu naszym decydentom medycznym i politycznym. Moją intencją było zadanie kilku tego typu pytań. Niestety, obawiam się, że pozostaną bez odpowiedzi.

Agnieszka Golańska-Bault

REKLAMA

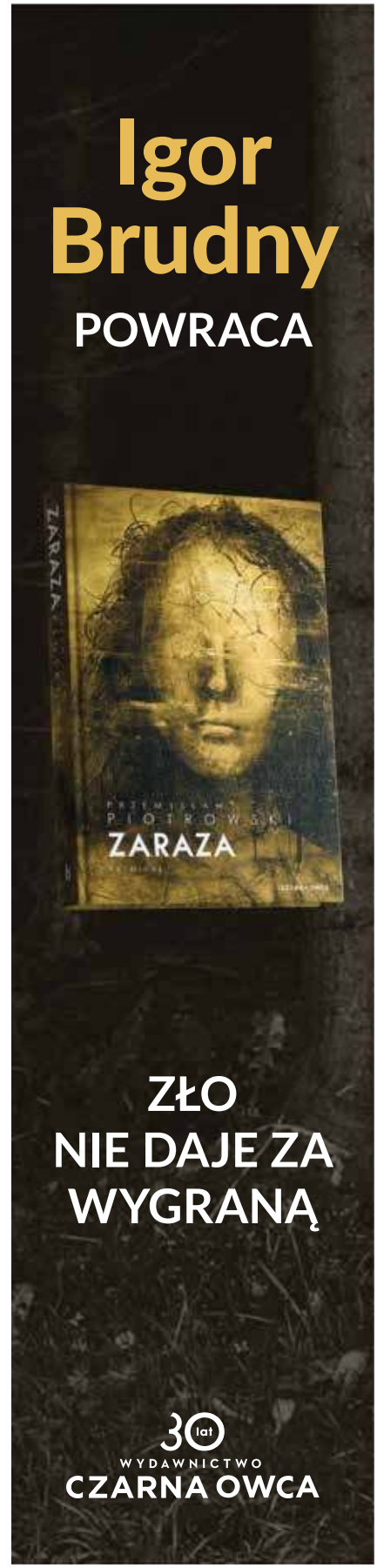

eprasa.pl 9e340ad6ae

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Niemiecka nowa fala

Niemieckie media nie kryją zaniepokojenia. Rośnie liczba uchodźców, którzy przedostają się z Białorusi poprzez Polskę do Niemiec. Jak podaje „Die Welt", o ile w pierwszym półroczu 2021 r. przez wschodnią granicę Niemiec przedostało się w sposób nielegalny tylko 26 osób, o tyle już w sierpniu br. było to 500, a we wrześniu 1,9 tys. osób. W październiku niemiecka policja odnotowała 5285 nielegalnych wjazdów migrantów przybyłych z Białorusi.

Niemcy nie wpłynęły jednak na decyzję Komisji Europejskiej, która odmówiła wsparcia finansowego budowy polskiego muru na granicy z Białorusią. Zamiast tego próbowano wywierać presję na linie lotnicze i rządy krajów Bliskiego Wschodu, by odwoływać loty na Białoruś. Dyplomacja unijna odniosła w tej kwestii sukces jedynie wobec Iraku. Jednak już w wypadku Turcji, Libanu, Syrii, Zjednoczonych Emiratów Arabskich i paru innych państw rejsy do Mińska zostały utrzymane.

Gdy zawiodły próby zablokowania przerzutu imigrantów, Niemcy znaleźli się w kropce. Wszelkie skuteczne środki wywarcia nacisku UE na Białoruś zostały już wyczerpane, a na ostrzejsze kroki na razie nikt nie jest gotowy. Przez pewien czas wydawało się, że Niemcy mogą indywidualnie zaangażować się we współfinansowanie planowanego przez Polskę muru granicznego. Premier Saksonii Michael Kretschmer z CDU wypowiedział się pozytywnie o budowie ogrodzenia. Ale to nie CDU będzie konstruować nowy rząd, tylko koalicja SDP-Zieloni-FDP. A lewica wyznaje zasadę: „Budować nie mury, a mosty". Jeden z liderów Zielonych, Michael Kellner, bardzo ostro skrytykował zamierzenia Polski, porównując projekt do muru na granicy dawnych NRD i RFN. To sygnał, że nowa koalicja nam nie pomoże.

Istnieje jeszcze jedna możliwość. Jak pisze „Die Welt", „osoba ubiegająca się o status uchodźcy, która została zarejestrowana już w Polsce, powinna zostać odesłana z powrotem do naszego kraju", ale „jak dotąd nie udało się to nawet w co dziesiątym przypadku". Dziennik wskazuje, że „gdyby władze federalne podjęły takie działanie, to prawdopodobnie zmniejszyłaby się zachęta do kosztownego lotu na Białoruś". Gdyby Niemcy zdecydowali się na porozumienie z Polską, stworzenie wspólnego banku danych odcisków palców osób, które już wystąpiły w Polsce o azyl, to takie osoby mogłyby być odsyłane. Ale aktualnie rząd nie ma zamiaru zawracania migrantów do Polski. Oczywiście zwiększa to szanse pozostania imigrantów w Niemczech, podjęcia procedury występowania o pozwolenie na pracę i prawo pobytu. Nowe, zaostrzone przepisy oznaczałyby pogorszenie warunków prawnych tych emigrantów, którzy już w Niemczech się znaleźli. A na to przyzwolenia SPD i Zielonych nie ma i raczej nie będzie. Powstaje więc sytuacja, w której w Niemczech mimo starań Polski o uszczelnienie granicy będzie przybywać coraz więcej imigrantów. Ideały niemieckiej lewicy nie pozwalają na podjęcie zdecydowanych działań. Wiedzą o tym doskonale Białorusini i stojący za nimi Rosjanie. I dlatego będą raczej dolewać oliwy do ognia. Również stosunek Niemiec do polskiego rządu specjalnie się nie polepszy. Przygotujmy się więc na długie miesiące uchodźczego kryzysu. ©℗

WIĘCEJ O BUDOWIE MURU NA POLSKO-BIAŁORUSKIEJ GRANICY NA STRONIE 28

FOT. MARCEL ENGELBRECHT/SPORTPHOTO/DPA/PAP

LEWANDOWSKI ZNÓW NAJLEPSZY

Robert Lewandowski został uznany przez UEFA za najlepszego piłkarza czwartej kolejki fazy grupowej Ligi Mistrzów. Napastnik Bayernu Monachium w spotkaniu z Benficą Lizbona (5:2) strzelił aż trzy bramki i zaliczył asystę przy kolejnej. Polski piłkarz uczcił w ten sposób swój setny występ w Lidze Mistrzów. Lewandowski prowadzi również obecnie w klasyfikacji najlepszych strzelców. W sumie podczas całej kariery zdobył w Champions League 81 bramek. Więcej goli na koncie mają tylko Lionel Messi (123) oraz Cristiano Ronaldo (139). *(jap)* ©℗

eprasa.pl 9e340ad6ae

FAKTY RMF FM

NAJBARDZIEJ WIARYGODNE ŹRÓDŁO INFORMACJI

radio nr 1 w Polsce

RMF FM

eprasa.pl 9e340ad6ae

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Namiestnik

Wyborów nie wygrywa się na Twitterze" – pouczył po swym powrocie podwładnych Donald Tusk i kto go zna, ten już wtedy się domyślał, że główną aktywnością nowego-starego przewodniczącego PO nie będą obiecywane intensywne objazdy Polski czy wizyty we „wszystkich" mediach, a właśnie tweetowanie. Krótkie, napastliwe szyderstwa, zwykle na granicy dobrego smaku albo – jak wytykanie działaczom PiS niemieckich nazwisk – poza nią.

Ostatni „news", który zdołał Tusk za pomocą swego konta na Twitterze wygenerować, to nazwanie „zdradą stanu" stwierdzenia Janusza Kowalskiego z Solidarnej Polski, że rok 2027, wobec planowanych zmian UE, byłby dobrym momentem, żeby ponownie zapytać Polaków w referendum o nasze członkostwo w tej organizacji, a właściwie już budowanym na jej bazie superpaństwie.

Donald Tusk sam proponował takie referendum w roku 2016. Wtedy miał to być straszak na rzekomo „wyprowadzający nas z Europy" PiS: jeśli nie przestaniecie, to rozpiszemy referendum i zobaczycie. Tusk nie jest już młodzieniaszkiem, ale przecież także nie osiągnął jeszcze wieku usprawiedliwiającego aż takie kłopoty z pamięcią – najwyraźniej więc pięć lat później spodziewa się już w europejskim referendum zupełnie innego wyniku, wbrew propagandzie swego obozu, że Polacy o wyjściu z UE nie chcą słyszeć.

Szczególnie charakterystyczne jest, że „zdradą stanu" nazywa Tusk pomysł, by pozwolić Polakom o sprawie zadecydować w sposób demokratyczny. Widać tu umysłową formację Michnika, który całą swą aktywność po 1989 r. oparł na przekonaniu, że Polacy na prawdziwą demokrację, pluralizm polityczny, wolność słowa i wolne media zasłużą dopiero, gdy zostaną należycie wychowani przez światłe elity – na razie bowiem użyliby tych narzędzi do pogromów i nacjonalistycznej dyktatury.

W Brukseli otwarcie już się mówi, że blokowanie pieniędzy dla Polski ma obalić polski rząd i oddać władzę w Warszawie Tuskowi. On sam chyba w to uwierzył i już szykuje się, by w takiej sytuacji głosić, że „zdradą stanu" będą wszelkie nawoływania do wyborów, które mogłyby mu tę namiestniczą władzę odebrać. ©℗

MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Miałem sen

We Wszystkich Świętych, wróciwszy do domu z cmentarza, obejrzeliśmy sobie z Izą „Moją noc u Maud". Po „Opowieści zimowej" to był już nasz mały Festiwal Rohmerowski. Nie są to w ogóle filmy oniryczne, choć jednak w obu chodzi o nadzieję na niemożliwe. I może to tłumaczy mój sen. Bo miałem w nocy po Wszystkich Świętych sen. Śnił mi się prezydent Trzaskowski, zwołujący rano w Zaduszki konferencję prasową na dziedzińcu swojego urzędu. Z jak zawsze trochę zmarszczonym czołem, po dłuższej chwili milczenia, powiedział stanowczym głosem do zmarzniętych już dziennikarzy:

„Byłem wczoraj na grobie profesora Geremka. Byłem tam dłużej niż zwykle i miałem czas przemyśleć to, co chcę wam teraz powiedzieć. Nie będę dłużej zagłuszał mojego liberalnego sumienia, żadna polityka mnie do tego nie zmusi. Tak, nienawidzę Marszu Niepodległości. I właśnie dlatego, jako liberalny prezydent Warszawy, zrobię wszystko, żeby Marsz się odbył".

Nie wiem, jak zareagowali dziennikarze, bo chwilę potem się zbudziłem. Przez moment – tak bywa, gdy sen się kończy – chciałem znowu zasnąć, by się przynajmniej dowiedzieć, jakie pytania padły w imieniu TVN i „Wyborczej". Ale zaraz zdałem sobie sprawę, że jestem gdzie indziej, że nawet jeśli to było naprawdę, to w jakiejś innej rzeczywistości. Bo niemożliwe może zdarzać się w filmach Rohmera, może nawet w realnym życiu osobistym, ale w życiu politycznym w Polsce może się tylko przyśnić. Może bym myślał inaczej, gdybym kiedykolwiek spotkał choć jednego liberała, dla którego liberalizm był osobistą etyką, ale takiego cudu jednak nie widziałem. Prezydent Trzaskowski zdobył władzę w ciężkiej walce nie po to, by popisywać się „respektem dla przeciwników", zamiast z władzy korzystać. Niech się więc teraz (jak mówił inny wybitny prezydent Rafał, Dutkiewicz z Wrocławia) „nacjonalistyczna hołota" przekona, na czym polega liberalizm skuteczny! ©℗

eprasa.pl 9e340ad6ae

REKLAMA

Tego lata cały Wołyń ogarnęła trwoga…

NOWOŚĆ!

CISZA W POGRANCE

MARCIN PILIS

Poruszająca powieść o trudnej polsko-ukraińskiej przeszłości, o miłości, zdradzie i okrucieństwie

Marcina Pilisa fotografował Maciej Zienkiewicz

LIRA WYDAWNICTWO

Patroni medialni: onet lubimyczytać.pl

www.wydawnictwolira.pl

REKLAMA

Z HISTORIĄ W TLE

ANDRZEJ NOWAK
DOROTA TRUSZCZAK
ŻYWOTY RÓWNOLEGŁE

DAN CARLIN
KONIEC JEST ZAWSZE BLISKO
APOKALIPTYCZNE CHWILE W HISTORIE LUDZKOŚCI: OD EPOKI BRĄZU DO WSPÓŁCZESNYCH PANDEMII

www.facebook.com/wydawnictwoliterackie

eprasa.pl 9e340ad6ae

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Amerykanin w Rzymie

Nazywa się Chico Harlan. Jest wziętym dziennikarzem postępowego „Washington Post". Przybył do Rzymu na dwudniowy szczyt grupy G20. I popełnił tekst, który rozbawił, ale też rozwścieczył i przeraził Włochów.

Obrady toczyły się w dzielnicy EUR, którą zaczęto budować w 1939 r. na potrzeby Wystawy Światowej planowanej na rok 1942. Miejsce i projektantów wybrał Mussolini. Z powodu wojny budowę ukończono dopiero przed igrzyskami olimpijskimi w Rzymie w 1960 r. Powstały wkomponowane w zieleń monumentalne gmachy, łączące tradycję antyczną z modernizmem i racjonalizmem.

Harlan stwierdził, że to pomnik faszyzmu wzniesiony na chwałę Mussoliniego. Skojarzył tę architekturę z tym, co stoi w centrum Pjongjangu. I napisał: „Co szczególnie uderzające, w czasach, gdy w USA i Europie burzy się pomniki ludzi związanych z niewolnictwem, generałów Konfederacji, królów i kolonizatorów, EUR jest nadal częścią rzymskiej panoramy". Słowem – należałoby w imię ideologii szaleńców zrównać EUR z ziemią.

Włosi, nawet najzagorzalsi postępowcy, zagotowali się. Proponują Harlanowi, żeby burzył, co chce, u siebie w Stanach, ale od Rzymu się odtentegował. Zbeształ go gwiazdor architektury Massimiliano Fuksas: „EUR urodził się pod złą gwiazdą, ale teraz to urzeczywistnienie marzeń i fascynującego projektu".

Dziennik „Libero" wyraził obawy, że jeśli Harlan się nieco douczy, to może być niewesoło. Co będzie, gdy dotrze do niego, że w Cesarstwie Rzymskim było niewolnictwo, imperializm pełną gębą, a w dodatku w Koloseum maltretowali ludzi i zwierzęta? „Libero" przestrzega, żeby mieć się na baczności, bo trudno wykluczyć, że ze Stanów i postępowej Europy ruszy na Rzym krucjata kretynów i wysadzi w powietrze nie tylko EUR, lecz także Koloseum, Panteon i termy Karakalli, a przy okazji obali pomnik Marka Aureliusza.

Już byli hunwejbini, Czerwoni Khmerzy, Armia Czerwona, a teraz mamy talibów i harlanopodobnych. Przychodzi znów przytoczyć włoskie powiedzenie: „Matka idiotów jest zawsze w ciąży". ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl 9e340ad6ae

SPECJALNY DODATEK HISTORYCZNY

JUŻ W GRUDNIU W TYGODNIKU „DO RZECZY”

40-LECIE WPROWADZENIA STANU WOJENNEGO W POLSCE

MECENASI:

Enea PGNiG KGHM POLSKA MIEDŹ

PARTNERZY GŁÓWNI:

PKO Bank Polski TOTALIZATOR SPORTOWY 65 LAT TOTALIZATORA SPORTOWEGO

eprasa.pl 9e340ad6ae

NAIWNA? NIGDY W ŻYCIU!

Monika Richardson po rozstaniu ze Zbigniewem Zamachowskim chyba uznała, że jednak jej medialna aktywność mogła przyczynić się do niepowodzenia tego małżeństwa, i ze smutkiem odnotowujemy, że jest jej dużo mniej w mediach. Ale jest! Ostatnio na przykład udzieliła wywiadu portalowi Pudelek. Nie jakiegoś przełomowego, ale zawsze coś. I tak Monika opowiedziała o swoim poszukiwaniu szczęścia, ale rad innym kobietom dawać nie chciała. – Znalazłam w sobie siłę, żeby zacząć od nowa – wyznała. – Nie umiem dawać rad. Każda kobieta musi znaleźć je w sobie. Są ludzie, którzy uważają, że jestem skrajnie naiwna – dodała. Naprawdę? To nie ludzie! To wilki!

BĘDZIE BESTSELLER!

Pani Karolina Pisarek, celebrytkomodelkoinfluencerka lat 24, jest bardzo podekscytowana premierą swojej autobiografii. Tak, pani celebrytka właśnie napisała książkę o swoich doświadczeniach życiowych i radzi w niej innym dziewczynom, by ciężko pracowały, bo sam talent nie wystarczy, oraz że mają robić to, co lubią, a osiągną sukces. – Mam nadzieję, że odbiór będzie pozytywny. Moja książka doda młodym powera! – zapewniła. A w rozmowie z Pudelkiem zdradziła jeszcze, że jeśli ktoś nie ma pieniędzy na książkę, to zawsze może się do niej odezwać i ona mu ją sprezentuje! Kwestią czasu jest, gdy zacznie dopłacać za lekturę! Poczekamy zatem z recenzją.

TAK TRZEBA ŻYĆ

Ta informacja zrobiła nam tydzień, jak to mawia młodzież. Okazało się, że znana blogerkoinfluencerka Mama Ginekolog nie zdała egzaminu na specjalizację ginekologiczną, o czym w rozpaczy i ze łzami w oczach poinformowała na swoim Instagramie. – Dzisiaj jest wielki dzień dla moich hejterów, mogą świętować – przyznała. Po czym przystąpiła do ataku. Na zły system, na zbyt trudne pytania, na to, że niektóre są niepotrzebne itd., itp. A na koniec stwierdziła, że w sumie oblany egzamin nic w jej życiu nie zmienia, bo dalej będzie pracować jako lekarz (bez specjalizacji) i prowadzić życie influencerki udzielającej ginekologicznych rad milionom Polek. Na koniec wyznała jeszcze, że informuje o tym wszystkim, by jej fanki wiedziały, że jej też nie wszystko zawsze w życiu się udaje. Po tym wszystkim udała się z całą rodziną na zasłużony urlop do Dubaju. Każdy marzy, by tak mu się w życiu nie udawało jak jej!

FOT. PAWEŁ GROMADA

DORADZAĆ KAŻDY MOŻE

Prezenterka i celebrytka Paulina Smaszcz, która po 23 latach rozstała się ze swoim mężem, znanym prezenterem Maciejem Kurzajewskim, radzi kobietom, by zawsze w życiu stawiały na siebie. – Nawet będąc w związku, zarabiałam swoje pieniądze, zawsze się edukowałam, zawsze zdobywałam kompetencje, zawsze zdobywałam doświadczenie. Właśnie dlatego, że kiedy wszystko się traci, to masz na czym oprzeć swoje dalsze życie – wyznała w rozmowie z portalem Plejada. I zaapelowała do innych kobiet: – Inwestuj nie w torebkę, inwestuj nie w ciuchy, nie czekaj na faceta, inwestuj w swoją edukację, kompetencje, doświadczenie, w swoje studia, w to, żebyś miała na czym oprzeć całe swoje życie, bo może się zdarzyć tak, że wszystko stracisz – stwierdziła. I dlatego sama swoje nowe życie po rozwodzie zaczęła od nowej fryzury, nowego biustu, nowych rysów twarzy i nowego stylu ubierania. W końcu drogowskaz nie musi chodzić drogami, które wskazuje, prawda? ©℗

FOT. MATEUSZ JAGIELSKO/EAST NEWS

eprasa.pl 9e340ad6ae

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, nadszedł ten smutny moment w ciągu roku, kiedy władza pozbawia nas prawa decydowania o własnych zegarkach i nakazuje cofnięcie ich w tył o godzinę.

Skutkiem tego jest doba o godzinę dłuższa w tym ciemnogrodzkim katofashystoffskim reżimie, który rości sobie prawo nawet do panowania nad czasem (i przestrzenią w sumie też – patrz: granice).

Tym samym tracimy możliwość naturalnego wchłaniania witaminy D, iż kiedy jedziemy do korpo, jest ciemno, kiedy wracamy z korpo, jest ciemno, a jak jest jasno, to zaciągamy rolety, iż to jesienne słońce jest momentami nie do zniesienia.

Zastanawiamy się więc, czy istnieje możliwość, aby pozwać państwo polskie za narażenie nas na niebezpieczeństwo niedoboru witaminy D oraz pogorszenie dobrostanu psychofizycznego z powodu manipulowania godziną zapadania zmierzchu? Lepiej w tej sprawie uderzyć do ONZ czy do WHO?

W ostatnim czasie w Szkocji odbył się szczyt klimatyczny, na który światowi przywódcy i inne VIP-y ironicznie przylecieli samolotami. Pewnie iżby na własne oczy przekonać się, jak wygląda ten słynny ślad węglowy, którego nie mogą zostawiać wąsate janusze latające tanimi liniami do jakiejś Hurghady.

Co jeszcze ciekawsze, VIP-y zostały zwolnione ze szkockiego programu dotyczącego obowiązkowych certyfikatów szczepionkowych. Jak dla nas w walce o klimat to zupełnie zrozumiałe, no ale niestety daje to paliwa pod teorie rozmaitego szuriatu.

A wyjaśnić można to bardzo prosto i w dodatku naukowo. Bo powiedzcie, czy znacie jakiekolwiek badania naukowe, które pokazywałyby, iż światowe VIP-y i przywódcy roznoszą kowid?

Albo czy widzieliście badania, według których takie osoby są podatne na to, żeby kowid złapać? Czy istnieje jasna relacja pomiędzy stanowiskiem, dochodami, wpływowością a zapadalnością na koronowirusoosobę? Nie? No właśnie.

Trafiliśmy ostatnio na mieście na lokal z karaoke, a że dawno nie braliśmy udziału w tego rodzaju aktywności, postanowiliśmy się jej przyjrzeć.

Wszystko było spoko i miło, goście lokalu ewidentnie pochodzący z różnych stron świata bawili się przy dźwiękach zachodniej muzyki. Wszystko się skończyło jednak w momencie, kiedy do mikrofonu dorwali się Polacy, którzy zaczęli śpiewać (?) jakiś polski hip-hop.

Nie wiedzieliśmy, co ze sobą zrobić, było tak niezręcznie. Myśleliśmy jeszcze może, że nikt z zagranicznych gości tego nie rozpoznał, ale nie – nerwowe uśmieszki i wytykanie palcami zaczęło się na sekundę przed tym, zanim zaczęliśmy prosić o wybaczenie.

To w ogóle niedopuszczalne dla nas, iż w takich kosmopolitycznych miejscach puszcza się polską muzykę, która może co wrażliwszych gości obrazić. Następnym razem nie będziemy tak bierni i stanowczo będziemy się domagać rozmowy z menedżerem. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Dwa metry do limuzyny

Henio, ty weź uważaj z tymi opowieściami o wzroście płac, co to niby niweluje inflację, bo nas ludzie naprawdę pogonią.
Ale ja myślałem, Jacku, że to dobra metoda.

A ty znasz kogoś, komu wzrosło o 20 proc.?
No... Andrzejowi wzrosło o 40. Nam tutaj nawet więcej – o 50.

Dobra, ale ja pytam o normalnych ludzi.
A ja nie wiem, czy ja takich jakichś znam...

To ja ci powiem, skoro już walnąłeś o tych 20 proc. Wychodzę ja dzisiaj z domu, a taka baba do mnie podbiega, kojarzę, ona niedaleko mieszka, i zaczyna się na mnie drzeć. Że co ty niby wygadujesz i że jej do pierwszego nie starcza, i że drożyzna potworna.
Przykro mi... I co jej odpowiedziałeś?

Jak: Co? Nic. Na szczęście miałem do przejścia dwa metry do limuzyny. A one, wiesz, są dobrze wygłuszone. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Kobiety boją się mieć w państwie PiS dzieci".

KAMILA GASIUK-PIHOWICZ, *posłanka Koalicji Obywatelskiej, na Twitterze*

eprasa.pl 9e340ad6ae

dwaj panowie g

No i stało się! Cała Grupa Wyszehradzka w rękach prawicy! Witamy nowego czeskiego premiera Petra Fialę. Myślimy o nim z sympatią. Wiemy z dobrych źródeł, że on z kolei myśli z sympatią o premierze Mateuszu. Wkrótce sami się przekonacie.

O sympatię najlepiej zadbać zawczasu samemu. I tak też zrobił premier Mateusz podczas swego pobytu w Strasburgu dwa tygodnie temu. Przemówienie w parlamencie europejskim to jedna sprawa, ale na specjalnym osobnym spotkaniu Mateusz długo gadał z czeskimi europosłami ODS, czyli ugrupowania Fiali właśnie. Co zostało odnotowane, zapamiętane i przyniesie efekty.

Minister Zbigniew Rau został na kilka tygodni powalony zawałem serca. Na szczęście wraca do zdrowia. Niestety, choroba zmusiła go do odwołania wizyty w ojczyźnie Czyngis-chana. A szkoda. Minister miał już bowiem zaplanowany bardzo bogaty program, łącznie z udziałem w polowaniu z orłami. Prawdziwymi orłami. Ale co się odwlecze, to nie uciecze. A właściwie co odleci, to znowu przyleci.

Oczywiście choroba ministra rozkręciła karuzelę z potencjalnymi kandydatami na następcę. Na razie sprawa jest jednak nieaktualna, bo minister Rau chce koniecznie wrócić ze zwolnienia wprost do wytężonej pracy. Ale przypominamy, że stołek szefa dyplomacji jest jednym z najgorętszych w rządach prawicy. Więc kto wie?

Tymczasem w PiS. Kto myśli, że najważniejsze są tam aktualnie problemy TSUE, Białorusi, Turowa lub transformacja energetyczna, ten jest w mylnym błędzie. Najważniejsze jest, kto i gdzie z jakim numerkiem będzie startował w wyborach A.D. 2023. Ale prawdziwa chryja jeszcze nie wybuchła. Na razie trwa wojna manewrowa o to, kto te numerki będzie lokalnie układał. A wiecie, jak to jest z koalicjantami. Oni są przekonani, że wszyscy ich wszędzie potrzebują.

Jak wiadomo, kiedy PiS coś powie lub zrobi, to cała Eine Totalopposition dostaje małpiego rozumu i musi powiedzieć lub zrobić coś zupełnie przeciwnego. Zastanawiamy się więc, co będzie odpowiedzią na uszczęśliwiającą naczelnego kukistę Kukiza oraz prezydenta Andrzeja Sebastiana ustawę o sędziach pokoju. Wychodzi na to, że pomysł sędziów wojny. Ale zaraz, zaraz, czy aby Eine Totalopposition już tego konceptu od sześciu lat nie realizuje?

Apropos Eine Totalopposition. Rafcio Trzaskowski kazał niedawno w stolycy w samo południe uruchomić syreny. Alarm klimatyczny. Jesteśmy pewni, że zdrowie matki Ziemi poprawiło się od tego natychmiast. Złośliwców, którzy uważają, że to najgłupszy sposób ochrony środowiska, informujemy, że są w mylnym błędzie. I polecamy obejrzenie klipów z akcji antysmogowej Nowoczesnej Kropki (tak, była kiedyś taka partia, a jej powidoki wciąż istnieją).

Otóż akcja antysmogowa Nowoczesnej Kropki miała miejsce w Krakowie, a jej wstydliwe ślady pozostały w postaci filmiku na YouTube (o dziwo, nie w postaci zniknięcia smogu znad Krakowa). W filmiku rozmaite ancymonki wołają: „Czyste niebo nad Krakowem. Smogu! Idźże stąd!". Koniec. Cóż, ta partia musiała się rozpłynąć. Tylko myśleliśmy, że w kabarecie, a nie w Kołalicji Łobywatelskiej.

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Jak ujawniono w minionym tygodniu, największy polski mecenas (no dobrze – najdłuższy polski mecenas), człowiek zwany Koniem, notorycznie nie odbiera wezwań z prokuratury, która chce mu postawić kolejne zarzuty. Nie ujawniono jedynie, co w tej sytuacji będzie następnym krokiem. Więc ujawniamy: to się nazywa Europejski Nakaz Zatrzymania.

Ukrywający się mecenas Koń ogłosił, że składa zawiadomienie do trybunału haskiego ścigającego zbrodnie przeciw ludzkości. Ścigać mają go Ziobro ze Święczkowskim. Od razu możemy wam powiedzieć, jak to się skończy, bo kilka lat temu Giertych złożył zawiadomienie do niemieckiej prokuratury na jednego z panów G. Niebawem miną trzy lata od tej chwili. W Hadze chwilę się pośmieją, a potem wyślą Giertycha na bambus.

Afront, krzywda i degradacja. To ciężki los Kwacha, niegdyś prezydenta Olka. Przyuważono go ostatnio na dworze prezydenta Uzbekistanu, gdzie doradzał. Dlaczego to degradacja? No bo poprzednio Olek Kwach doradzał na dworze prezydenta Kazachstanu, a to o wiele ważniejsza szycha w „-stanach". Głupia sprawa, Kazachstan od ładnych kilku lat dogaduje się świetnie z dobrą zmianą. Słyszeliśmy, że również w kwestii badania tajemniczej przeszłości typów szwendających się w okolicach granicy polsko-białoruskiej.

Co ciekawe, w Uzbekistanie i innych tamtejszych stanach przyuważono ostatnio podporę demokracji światowej, Richarda Henry'ego Czarneckiego. Wpadł na parę dni, w drodze do Kuwejtu i Bahrajnu. Upraszamy o zwracanie się teraz do niego per „doktor Czarnecki". Honoris causa z Taszkentu to nie byle co. Kto wie, może kiedyś Richard Henry będzie ich miał tyle, co Lech Bolek Wałęsa?

Jesienią ptaki odlatują do ciepłych krajów, a kwiatki więdną. Kwiatek zwany Adamem Kwiatkowskim z Kancelarii Prezydenta Andrzeja Sebastiana odleci jakoś na początku roku, na zapowiadaną przez nas placówkę, czyli w ambasadory do Watykanu. Dobra wiadomość: podszkolił się już z włoskiego. Zła i złośliwa wiadomość: to można w ogóle ubiegać się o Watykan, mając zaległości we włoskim? ©℗

eprasa.pl 9e340ad6ae

esprit

JAKA JEST PRZYSZŁOŚĆ KOŚCIOŁA?

Wielu wiernych ma wrażenie, że jest w płonącym domu i pragnie go jak najszybciej opuścić. Ksiądz Robert Skrzypczak w rozmowie z Pawłem Chmielewskim odkrywa korzenie kryzysu wiary. Przyglądając się najtrudniejszym momentom w najnowszej historii Kościoła, pokazując jego słabości i skłonność do unikania konfrontacji, autorzy przypominają, że Boży ogień rzucony przez Jezusa na ziemię ma moc nie tylko spopielić to, co nie jest święte, ale na nowo rozpalić serca i sumienia wierzących!

~~30,90~~
23,90

Odbierz dodatkowy rabat*

-5%

na hasło:
DO RZECZY

Zamówienia telefoniczne można składać: pn–pt 8:00–16:30
12 264 37 09, 12 395 70 72. Przez internet na **esprit.com.pl**.
Zamówienia na kwotę 99 zł lub więcej – przesyłka gratis.

* Kod rabatowy ważny do 30 listopada 2021.

eprasa.pl 9e340ad6ae

Z prof. Ryszardem Legutką, eurodeputowanym PiS
rozmawia Karol Gac

Parlament Europejski nie powinien istnieć

KAROL GAC: Panie profesorze, w którą stronę zmierza Unia Europejska?

PROF. RYSZARD LEGUTKO: W kierunku oligarchii. Tworzą ją europejskie instytucje oraz najsilniejsze państwa Europy Zachodniej. A ponieważ w Europie dominuje lewica, to tę oligarchię łączy lewicowa ideologia zmierzająca do radykalnej restrukturyzacji społeczeństw. I choć silne państwa niekoniecznie chcą rozpuścić się w europejskiej masie, to wzmacniają one struktury europejskie, bo za ich pośrednictwem realizują swoje interesy. Na przykład używają ich Niemcy, które z racji historycznych nie mogą się zbytnio narzucać ze swoim władztwem, czy Francja, która marzy o przywództwie europejskim, albo kraje mniejsze, takie jak Holandia i Belgia, które w ten sposób chcą wzmocnić swoją pozycję. Oligarchia, która się wyłania, jest więc szczególnie niebezpieczna: rządzą silni, zgrupowani w kilku krajach, posługując się instytucjami uzurpującymi sobie nieprzyznane kompetencje i narzucającymi wyjątkowo szkodliwą ideologię.

Jesteśmy świadkami momentu hamiltonowskiego i próby budowy superpaństwa europejskiego?

Dla Unii Europejskiej każda okazja jest dobra, by posunąć naprzód centralizację. Wydawało się, że kiepska reakcja na pandemię skompromituje instytucje unijne, a tymczasem te instytucje na pandemii skorzystały, tworząc programy funduszu odbudowy oraz wspólnego zadłużania, co oczywiście jest kolejnym krokiem ku centralizacji. Pojawiły się natychmiast próby zwiększania władzy przez przyznanie sobie kompetencji, kto fundusze dostanie, a kto nie. Być może jest to moment hamiltonowski, ale trzeba pamiętać, że ta tendencja trwa od dłuższego czasu.

Czy wobec tego spór na temat prymatu prawa nie jest fundamentalny?

Oczywiście tak. W polskiej historii niejednokrotnie stawaliśmy w obronie wolności. Nie inaczej jest teraz, gdy przeciwstawiamy się nowemu despotyzmowi, który próbuje narzucić reszcie europejska oligarchia. Prymat prawa europejskiego to relatywnie nowy wynalazek. W przeszłości ten wątek pojawiał się w orzeczeniach TSUE, ale była to radosna twórczość sędziów. Wiadomo, że sędziowie nie mogą tworzyć prawa. Prawo jest zapisane w traktatach, a w nich nie ma ani słowa o prymacie prawa europejskiego. Wyciąganie teraz z kapelusza zasady ogólnej mówiącej o prymacie prawa europejskiego to najzwyklejsza polityczna pałka i dowód, że bezkarne gwałcenie traktatów stało się już w unii praktyką codzienną.

Charakterystyczne, że w Parlamencie Europejskim szefowa KE Ursula von der Leyen nie próbowała nawet uzasadnić swojego stanowiska, odpowiadając na wystąpienie premiera Mateusza Morawieckiego. A nie uzasadniła, bo uzasadnić się nie da. Gdyby takie uzasadnienie istniało, to nieustannie by nim nas bombardowano. A tak zostały tylko pogróżki. Dlatego w tej kwestii ustępować nie można. Jeśli ustąpimy przed oczywistym bezprawiem, to będzie się to równało oddaniu władzy nad Polską Brukseli i jej mocodawcom.

Obserwując ostatnie spory z Brukselą, można jednak dojść do wniosku, że instytucje unijne działają w myśl zasady: „Nie mamy pańskiego płaszcza. I co nam pan zrobi?". Niby wskazujemy, że nie ma na to żadnych podstaw w traktatach, ale te rzeczy się dzieją. Prawo silniejszego?

Zdecydowanie. Komisja Europejska, wspierana przez Parlament i tolerowana przez silnych graczy, wprowadziła do polityki europejskiej niespotykany dotąd element brutalności. Właściwie miało to już miejsce wcześniej, ale oficjalny sygnał dał Jean-Claude Juncker, określając Komisję jako instytucję „polityczną": skoro polityczną, to angażującą się w polityczne konflikty i w walkę o władzę. Wcześniej Komisja była czymś w rodzaju sekretariatu, który przygotowuje projekty do realizacji. Wydawało się, że von der Leyen odetnie się od modelu Junckera, ale nie. Instytucją, która robi wiele złego, jest Parlament Europejski, wcześniej wyśmiewany jako dekoracyjny. Otóż to się zmieniło. Obecnie jest to instytucja politycznie rozszalała, opanowana przez lewicę i, jak to lewica, chce zbudować nowy wspaniały świat. Podłą rolę odgrywa Europejska Partia Ludowa, która już dawno zrezygnowała ze swojej chrześcijańsko-demokratycznej tożsamości. Jej przewodzący, Manfred Weber (o Tusku nie wspominając), uczynił ją lizusowskim sojusznikiem lewicy, kierując całą swoją energię na walkę z resztkami prawicy.

eprasa.pl 9e340ad6ae

FOT. UE/EAST NEWS

Wydaje się, że Unia Europejska od kilku lat stoi na rozdrożu. Może głównym powodem kryzysu Unii jest po prostu kryzys jej instytucji?

Głównym źródłem kryzysu Unii Europejskiej jest Unia Europejska. Rządzący nią nie wyciągają wniosków z tego, co się dzieje. Charakterystyczna była reakcja po brexicie, gdy zamiast zmniejszyć nachalność w ingerowaniu w sprawy państw członkowskich, jeszcze ją zwiększono. Dlaczego tak jest? Unia zawiera fundamentalne błędy konstrukcyjne. Najbardziej szkodliwa dla Unii jest zasada ciągle jednoczącej się Europy. To hasło oznacza, że zapisane regulacje i prawa są właściwie prowizoryczne i że można tolerować ich łamanie i naciąganie, pod warunkiem że służy to większej federalizacji i integracji. To oczywiście powoduje pogardę dla prawa, co widzimy w Trybunale Sprawiedliwości UE. Jest to instytucja polityczna, w której nominaci rządów używają prawa do pogłębiania centralizacji unii. Sędziowie TSUE zachowują się jak politycy, a ich orzeczenia bywają zupełnie kuriozalne i odsłaniają ich agendę polityczną.

Ludzie, którzy czują się wspaniale w Unii, to byli komuniści. Na stare lata rozkwitają. Spójrzmy na Millera, Belkę czy Cimoszewicza

Oto przykład. Węgry zaskarżyły PE w sprawie uruchomienia art. 7. Chodziło o to, że 12 godzin przed głosowaniem dostaliśmy wytyczne z prezydium PE, iż głosy wstrzymujące się nie będą liczone, co było oczywistym złamaniem traktatu. Tam wprost napisano, że w przypadku głosowań nad art. 7 liczą się wszystkie oddane głosy. Wydawało się więc, że Węgrzy muszą wygrać. TSUE uznał jednak, że głosy wstrzymujące się można uznać za nieoddane. To sofistyka najbardziej prymitywnego gatunku. Przy takim nastawieniu sędziów do prawa trudno nabrać do nich szacunku i traktować TSUE jako ostoję praworządności.

Inny błąd strukturalny Unii polega na tym, że jej instytucje nie odpowiadają przed elektoratami. Kim są komisarze? To ludzie zrzuceni na spadochronie

eprasa.pl 9e340ad6ae

przez rządy, zatwierdzani jako Komisja przez PE. Nie mają żadnej odpowiedzialności, bo przed nikim nie są rozliczani. Są więc posłuszni nie swoim wyborcom, lecz „grupie trzymającej władzę". Kim jest np. Věra Jourová i jaką ma legitymację, by wygrażać polskiemu rządowi? Instytucja tak działająca musi się prędzej czy później zdegenerować i dzieje się to na naszych oczach. Parlament Europejski zaś w ogóle nie powinien istnieć: Unia nie jest państwem, a Europa nie jest narodem.

Tym bardziej że Parlament Europejski został stworzony przy założeniu, że istnieje europejski demos. Tymczasem wiemy doskonale, że go nie ma, bo w Europie jest wiele narodów.

Mamy sytuację zupełnie kuriozalną, w której o polskich sprawach decyduje ok. 650 posłów, którzy nie są odpowiedzialni przed polskim elektoratem. Cała idea parlamentaryzmu polega na tym, że reprezentanci są odpowiedzialni przed wyborcami, a tutaj mamy zero odpowiedzialności. Dlatego PE zdegenerował się najszybciej i najbardziej spektakularnie. To izba rozswawolona, w której nie ma żadnego szacunku dla reguł, również reguł przyzwoitości. Twórcy Unii, o ile działali w dobrej wierze, przyjęli założenie, że instytucje europejskie będą się samoograniczać, lecz nie stworzyli żadnych skutecznych mechanizmów, które by je do tego zmuszały. Sztuka w budowaniu ustrojów polega między innymi na tym, by stworzyć środki hamujące naturalną skłonność instytucji do wyradzania się, zwiększania władzy, tworzenia patologii. Aby Unię wyleczyć z jej chorób, potrzebna jest zasadnicza reforma.

Mamy Komisję Europejską, Parlament Europejski, Radę Europejską. Po co tyle instytucji unijnych, skoro na końcu okazuje się, że decyzje podejmowane są albo w Berlinie, albo w wąskim gronie w dość nietransparentnym trybie?

To kolejna z wad strukturalnych Unii Europejskiej. Są przynajmniej trzy struktury władzy w UE. Pierwsza to to, co jest zapisane w traktatach. Druga to realna struktura władzy. Niemcy są siłą dominującą, bo są państwem najsilniejszym i niezależnie od tego, co wpiszemy do traktatów, to tej siły nie unieważnimy. Ona po prostu jest faktem. System zapisany w traktatach nie może więc działać w izolacji od realnego systemu władzy, a to czyni proces podejmowania decyzji niejasnym i arbitralnym. No i jest trzecia struktura władzy, która wychodzi poza UE, ale ma w niej duże osadzenie, czyli władza ideologiczna.

Miłośnicy Unii lubią powtarzać hasło, że UE to jedność w różnorodności. To kłamstwo. W Unii nie ma różnorodności. Jest jeden model ideologiczny, lewicowy i oparty na tym rosnący despotyzm lewicy. W związku z tym ludzie, którzy się czują wspaniale w Unii, to byli komuniści. Na stare lata rozkwitają. Spójrzmy choćby na Leszka Millera, Marka Belkę czy Włodzimierza Cimoszewicza. Przypominają im się dawne dobre czasy internacjonalizmu proletariackiego i sojuszu bratnich partii. Do tego dochodzi oczywiście nowa lewica spod znaku genderów. W Polsce i Europie dominuje niestety zmistyfikowany obraz UE, gdzie mroczną jej stronę się pomija. Nie dowiemy się o niej od profesorów europeistyki, bo ci albo nie wiedzą, albo wiedzieć nie chcą, jak działa Unia, i uprawiają coś, co nie jest odległe od najzwyklejszej propagandy.

Ta dawna Europa, do której wzdychaliśmy za komuny, jest tak obca Unii Europejskiej, jak ludożercom obcy jest wegetarianizm

Zakładając, że UE będzie dalej podążać w dotychczasowym kierunku, czy ten projekt jest do utrzymania?

Wszystko jest do utrzymania przez pewien czas. Pytanie: Jak długo? Wielu ludzi jest zainteresowanych trwaniem UE, również z powodu jej demoralizującego charakteru. Wchodzi się na stałe w ten duży, rozbudowany system, dobrze się zarabia i karmi ideologią, że działa się na rzecz lepszej Europy lub udaje cynicznie, że do tego się dąży. Wśród obywateli rośnie jednak niezadowolenie, i to głównie na zachodzie Europy. To daje nadzieję, że do władzy dojdą siły, które obecną tendencję powstrzymają. Jeśli nie będzie przeciwwagi politycznej dla rządzącej Unią oligarchii, to proces będzie niestety postępować. Jeżeli powstałoby kilka rządów w miarę konserwatywnych i suwerennościowych, to sytuacja by się poprawiła. Jeżeli nie, to niezadowolenie będzie się kumulować i przybierać rozmaite formy, również bardziej gwałtowne niż obecnie.

A może tę przeciwwagę stworzy Polska? Ze strony PiS wyszedł jakiś czas temu impuls, by tworzyć międzynarodowy sojusz sił prawicowych.

Zwolennicy oligarchizacji Unii ruszyli z „Konferencją o przyszłości Europy", która stanowi przygotowanie do następnego skoku federacyjnego. Musi więc być odpowiedź ze strony tych, którzy się temu sprzeciwiają. W krajach Europy Zachodniej ta duża część obywateli, która patrzy krytycznie na UE, nie ma swojej odpowiednio wpływowej reprezentacji politycznej, a ich głos jest rugowany z przestrzeni publicznej. I dlatego kraje z Europy Wschodniej, takie jak Polska, mają swoją rolę do odegrania.

Wstępując do UE, wiele osób myślało, że to klub dżentelmenów, gdzie istnieje wspólnota wartości, a decyzje podejmuje się wspólnie. Może Polska postrzegała i nadal czasami postrzega pewne rzeczy zbyt naiwnie, a otrzymaliśmy po prostu lekcję Realpolitik?

Rzeczywiście tak o Unii myśleliśmy, choć UE czy EWG pewnie nigdy takim klubem nie były. Istniała natomiast względna równowaga polityczna, którą dzisiaj zastąpił monopol, a także istniała po części równowaga ideowa, której miejsce zajęła monoideologia. Nie zapominajmy też, że w wyniku edukacyjnej zapaści elity europejskie reprezentują dzisiaj bardzo niski poziom umysłowy i są skutecznie sformatowane. Ta dawna Europa, do której wzdychaliśmy za komuny, europejski geniusz, którym karmiliśmy się, jest tak obcy Unii Europejskiej, jak ludożercom obcy jest wegetarianizm. Doświadczenie Unii dało nam też możliwość lepszego poznania samych siebie. Bulwersować musi ujawnienie się grupy rodaków, która nie chce niepodległości Polski. Upłynęło niewiele lat od upadku komunizmu, a jedna trzecia narodu woli, by Polską rządził ktoś z zewnątrz. To bardzo niebezpieczny sygnał. Gdyby te proporcje były inne, to Polsce łatwiej byłoby przyjąć rolę przywódczą i działać śmielej w Europie oraz tworzyć szerszy front suwerennościowy i reformistyczny w UE.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9e340ad6ae

Szkodliwy europarlament

Teresa Stylińska

Chociaż świat pełen jest organizacji i instytucji, z których nie ma ani odrobiny pożytku, palma pierwszeństwa bezapelacyjnie należy się Parlamentowi Europejskiemu. Powodów jest wiele, ale wniosek może być tylko jeden: europarlament należy zlikwidować. Im szybciej, tym lepiej

Parlament Europejski jest nie tylko całkowicie zbędny, lecz także wręcz szkodliwy. Jedyne zadanie, jakie z powodzeniem wypełnia, to rola znakomitej sceny dla gromady krzykaczy, którzy ulegli złudzeniu, że są politykami z prawdziwego zdarzenia, a skoro tak, to mają prawo wtrącać się do wszystkiego i kształtować po swej myśli przynajmniej Europę, jeżeli zaś się da, to nawet cały świat. Najlepszy dowód stanowi oczywiście polityka klimatyczna, ale tuż za nią podąża forsowanie przemian obyczajowych pod mocno demagogicznym hasłem praw – czytaj: przywilejów – dla osób LGBT. A krytyczna ocena przyjętej ostatnio w Teksasie ustawy radykalnie ograniczającej zabiegi aborcji? Europosłowie wyrazili dezaprobatę dla decyzji teksańskiego parlamentu stanowego, choć ta kwestia w ogóle do nich nie należy i nie powinni się nią zajmować. Ale uzurpowanie sobie roli sumienia świata wielu z nich bardzo przypadło do gustu.

W budowli europejskiej parlament jest, wbrew pozorom, elementem sztucznym. Wbrew pozorom – bo udaje, że tak jak parlament krajowy jest głosem narodu i przejawem jego woli. Nie jest nim jednak i nie może być, bo naród europejski nie istnieje.

Przełóżmy to na zwykły język: czy Finowie współodczuwają z Grekami, czy Hiszpanie przejmują się sytuacją Szwedów, czy Irlandczyków obchodzą Rumuni? Europejskie poczucie wspólnoty tak daleko nie sięga. Gra pozorów toczy się zresztą na wszystkich szczeblach. Komisja Europejska jest przecież obsadzona w roli niby-rządu, a Rada Europejska – zbiorowego szefa państwa; w jej imieniu działa przewodniczący Rady, traktowany jako ktoś w rodzaju unijnego prezydenta, choć przecież państwa europejskiego nie ma tak samo, jak nie ma narodu. Rada i Komisja mają jednak konkretnie sformułowane zadania, podczas gdy w parlamencie nietrudno dostrzec przejawy sterowania w kierunku nowego, wspaniałego świata.

WSKAZAĆ DROGĘ POSTĘPU

Europarlament, pierwotnie pod skromną nazwą Zgromadzenia Parlamentarnego, adekwatną do funkcji konsultacyjnych, które dlań przewidziano, istnieje od unijnych prapoczątków. Powstał wraz z Europejską Wspólnotą Węgla i Stali, która szybko stała się Europejską Wspólnotą Gospodarczą, a z czasem wyewoluowała w Unię Europejską. Długo pozostawał w cieniu i trudno było przewidzieć, że po kilkudziesięciu latach zechce wystąpić w roli pełnoprawnego gracza.

O eurowyborach nikomu się wówczas nie śniło, a reprezentacje poszczególnych krajów składały się z osób delegowanych przez macierzyste parlamenty. Bezpośrednie wybory wymyślono dopiero w połowie lat 70., gdy Wspólnota Europejska weszła na drogę poszerzania. Po raz pierwszy odbyły się w 1979 r., na zasadach, które obowiązują do dzisiaj, czyli w każdym kraju Unii osobno.

Rozrastanie się Wspólnoty w połączeniu z poszerzaniem uprawnień europarlamentu sprawiło, że z czasem stał się molochem, jaki znamy. To zresztą quasi-parlament – nie ma prawa inicjatywy ustawodawczej, a jego najważniejsze zadania sprowadzają się do przesłuchiwania kandydatów na komisarzy, zatwierdzania Komisji i jej przewodniczącego oraz sprawozdań z wykonania budżetu, a także wysłuchiwania sprawozdań Komisji i Rady. I oczywiście – jakżeby inaczej! – uchwalania rezolucji i apeli. Tego zadania nie należy lekceważyć, bo dzięki temu parlament wskazuje światu drogę postępu, a zarazem może potępić to, co potępić należy. Ironia jest jak najbardziej na miejscu, bo europarlament właśnie postanowił wystąpić do TSUE przeciwko Komisji, która, jego zdaniem, w sprawie reformy sądownictwa za bardzo Polsce pobłaża, zamiast skutecznie ją zdyscyplinować. Chyba nigdy jeszcze europarlament nie skarżył Komisji, inicjatywa jest więc pionierska.

Euroentuzjastom marzy się, by europarlament stał się parlamentem z prawdziwego zdarzenia, takim jak inne i tak samo tworzonym. To zaś znaczy, że powinien reprezentować całą Europę faktycznie, nie tylko ideowo. Czy jest to możliwe, gdy każdy naród wybiera swych europosłów, nawet jeśli później organizują się oni w wielonarodowe frakcje partyjne? Raczej nie. Dlatego co pewien czas odżywa kuriozalny pomysł wyborów z listy europejskiej. Parę dni temu Daniel Freund, nowy przewodniczący federalistycznej Grupy Spinellego, powiedział, że przedstawi go na forum trwającej od paru miesięcy konferencji o przyszłości Europy.

Czy to się może udać? Nie wiadomo. Za to łatwo można przewidzieć skutki wprowadzenia takiej listy. To przecież najskuteczniejsza recepta na obniżenie i tak niskiej frekwencji w eurowyborach. Kto przy zdrowych zmysłach chciałby głosować na ludzi z innych krajów, obcych i nieznanych?

NA DOBRYM BOCZNYM TORZE

Kiedy słucha się deklaracji, które padają z ust eurodeputowanych, trudno oprzeć się wrażeniu, że w Strasburgu i Brukseli zgromadzili się ludzie prawdziwie

eprasa.pl 9e340ad6ae

FOT. ADOBE STOCK

zatroskani o przyszłość Europy, a przy tym kompetentni i odpowiedzialni. Ileż dobrego są w stanie zrobić, jak zadbają o interesy swego kraju, gdy tylko zyskają miejsce w ławach w wielkiej sali, znanej z przekazów telewizyjnych? A że sala, co kamera bezlitośnie pokazuje, nazbyt często świeci pustkami?

Sztandarowy argument za tym, że europarlament jest potrzebny i przydatny, stanowi sprawa kosztów roamingu, znacząco w swoim czasie, nie bez jego nacisku, obniżonych. Wszyscy, jak Europa długa i szeroka, bardzo się z tego cieszyli, bo wysokie ceny połączeń zagranicznych irytowały każdego. Nie przesadzajmy jednak. Czy do rozwiązania tak w sumie błahej sprawy potrzeba udziału ogromnej instytucji, utrzymywanej z pieniędzy podatników? Czy gdyby nie było europarlamentu, nic by się w tej sprawie nie dało zrobić?

Europarlament bywa jednak bardzo pożyteczny, choć w sposób specyficzny. To wygodny boczny tor, świetna synekura dla polityków, którzy muszą się usunąć, a nie mogą od razu pójść w odstawkę. W ten sposób w Strasburgu znalazła się premier Finlandii Anneli Jäätteenmäki, której zarzucono wykorzystanie poufnych dokumentów w kampanii wyborczej. Z drugiej zaś strony mandat eurodeputowanego otwiera nowe pole przed politykami, których czas we własnym kraju przeminął. Tą drogą do europarlamentu trafili prezydent Francji Valery Giscard d'Estaing i premier Belgii Guy Verhofstadt, nadambitny federalista. Tak się składa, że obu powierzono sprawy unijnej przyszłości: Francuzowi – kierowanie konwentem przygotowującym konstytucję europejską, Belgowi – przewodniczenie kolejnej konferencji na temat przyszłości Europy.

W europarlamencie nie brakuje też skandali, choć na tym polu ma on mocną konkurencję w parlamentach krajowych. Zdarzają się zwykłe, standardowe oszustwa, takie jak zawyżanie kosztów podróży czy pobieranie nienależnego dofinansowania na noclegi, ale bywa też ciekawiej. Przed laty na jaw wyszło, że paru deputowanych otrzymuje pieniądze za podnoszenie na forum parlamentu kwestii ważnych dla zleceniodawców. Ujawnienie tej sprawy to zasługa dziennikarzy „Sunday Timesa", którzy przygotowali zręczną prowokację. Wielu szokowało upodobanie Jeana-Claude'a Junckera, poprzedniego szefa Komisji, do trunków. O aferę ociera się niedawne ujawnienie, że część deputowanych (w tym Radosław Sikorski i Guy Verhofstadt – ścisła czołówka listy) ma ekstradochody. Nie jest to zabronione i problem by nie istniał, gdyby nie to, że według Transparency International nie zawsze zdradzają szczegóły pracy – a to już może pachnieć nielegalnym lobbingiem.

Prawdziwym skandalem, choć w innym wymiarze, jest jednak fakt, jak bardzo parlament opanowało lewactwo. Najgłośniejszy, choć nie nowy przykład to utrącenie kandydatury Rocco Buttiglionego, włoskiego politologa, na stanowisko komisarza sprawiedliwości. Buttiglione, pytany przez komisję parlamentarną o stosunek do homoseksualizmu, odparł, że jako katolik uważa go za grzech. To wystarczyło, by go odrzucić.

DALEKO OD ATEN

W Atenach, kolebce demokracji, wynagrodzenie uczestników zgromadzenia ustalano na rozsądnym i umiarkowanym poziomie. Miało być na tyle duże, by pokryć brak zarobku z pracy, bo utrata dochodów zniechęcałaby ludzi do udziału w obradach, i na tyle skromne, by nie stać się wabikiem do uczestnictwa. Jeśli potrzeba dowodu, że ateńskie zasady dawno poszły w kąt, wystarczy przyjrzeć się temu, co obowiązuje w Brukseli. O ile z rekompensatą za straty bywa różnie, bo wzięci prawnicy czy dyrektorzy na objęciu mandatu mogliby raczej stracić, o tyle wabik finansowy działa znakomicie.

Europarlament, jako się rzekło, to moloch. Moloch kosztowny. Z jego budżetu, opiewającego na ogromną kwotę blisko 2 mld euro rocznie, pokrywane jest wynagrodzenie 705 deputowanych i całej armii ich współpracowników, a także tłumaczy (z każdego oficjalnego języka Unii na każdy), urzędników i personelu pomocniczego – w sumie prawie 8 tys. osób. Do tego dochodzą koszty utrzymania trzech siedzib – w Strasburgu, gdzie

eprasa.pl 9e340ad6ae

raz na miesiąc odbywa się sesja plenarna, w Brukseli, gdzie w gigantycznym gmachu pracują m.in. komisje, i w Luksemburgu, gdzie mieści się biblioteka.

Deputowani nie mogą narzekać. Uposażenie europosła – pensja i diety – wynosi miesięcznie ponad 11,2 tys. euro netto. Do tego dochodzą niemałe pieniądze na utrzymanie biura, wynagrodzenie dla współpracowników i koszty podróży. Czy można się dziwić, że wydatki na deputowanych pochłaniają blisko 25 proc. parlamentarnego budżetu?

Czy są one konieczne czy jest to już szastanie pieniędzmi podatników – oto jest pytanie. Zasadne, bo na budżet Unii, a zatem europarlamentu także, składają się wszystkie państwa członkowskie. Z pewnością nie po to, by na forum parlamentu wysłuchiwać uwag o potrzebie finansowego zagłodzenia niepokornych.

Dawno temu, zanim uposażenia europosłów wywindowano do obecnego poziomu, deputowany w Strasburgu był wynagradzany tak samo jak deputowany w jego własnym kraju. Zarobki były więc zróżnicowane, jedni mieli dużo, inni mało i stąd zrodził się pomysł ujednolicenia eurowynagrodzeń. Gdy je wyrównano, początkowo na poziomie znacznie niższym od obecnego, okazało się, że włoscy europosłowie są wynagradzani skromniej niż ich koledzy w Izbie Deputowanych w Rzymie. Finansowo stracili, władze włoskie postanowiły więc dopłacać im różnicę – bo, jak dowodzili złośliwcy, bez tego zapał do pracy dla ojczyzny wygasłby bezpowrotnie.

CZY SCHUMAN BY TEGO CHCIAŁ?

Bywa też inaczej. Paavo Väyrynen, przed laty minister spraw zagranicznych Finlandii, choć sprzeciwiał się gorąco jej wejściu do Unii, postanowił – ze skutkiem – starać się o mandat w Strasburgu. Miałam wówczas okazję zapytać go, czy nie dostrzega w tym sprzeczności. Odparł krótko: – To bardzo źle, że przystąpiliśmy do Unii. Ale skoro nieszczęście już się stało, to lepiej być w unijnym parlamencie i patrzeć federalistom na ręce, tak by nie narobili nam większej biedy.

Eurodeputowani, zwłaszcza w ostatnim czasie, lubią odwoływać się do wartości europejskich. Oczywisty ich kanon to wolne, uczciwe wybory, wolność słowa, poszanowanie prawa, szacunek dla mniejszości i tym podobne zasady. Jeśli jednak wsłuchać się w to, co głoszą już nie tylko lewica i Zieloni, lecz także przedstawiciele partii, które uważają się za centrowe czy chadeckie, staje się jasne, że tworzy się nowy kanon, w którym centralne miejsce zajmuje choćby prawo osób tej samej płci do zawierania małżeństw czy do adoptowania dzieci.

Gdyby było inaczej, jak mógłby zrodzić się obłędny pomysł, by wszystkim krajom Unii narzucić obowiązek uznawania aktów urodzenia dzieci z homozwiązków, z dwoma ojcami lub dwiema matkami? Żadne traktaty takich rozwiązań nie przewidują, za to mówi o nich sama Ursula von der Leyen – i wcale jej nie przeszkadza, że wywodzi się z partii chadeckiej, która od takich pomysłów powinna trzymać się z daleka. Kto temu szaleństwu nie ulega, ten uchybia wartościom. Tak uważa europarlamentarny mainstream.

Piewcy unijnych wartości nie przepuszczają okazji, by odwoływać się do idei, na których współpracę europejską oparli jej inicjatorzy – Robert Schuman, Konrad Adenauer, Alcide De Gasperi. To wielkie nadużycie. Wspaniale jest mieć tak wybitnych patronów, pytanie tylko, czy oni sami życzyliby sobie następców takich jak ci, którzy nadają dzisiaj ton dyskusjom w Brukseli. Wszyscy trzej twórcy EWG byli ludźmi idei, chrześcijanami (przypomnijmy, że trwa proces beatyfikacyjny Roberta Schumana) i bardzo wątpliwe, by akceptowali homomałżeństwa jako przejaw równouprawnienia, aborcję w roli praw reprodukcyjnych i eutanazję jako godną śmierć.

Zapewne raczej przewracają się w grobie. „Robert Schuman – pisał ostatnio konserwatywny brytyjski tygodnik »The Spectator« – był człowiekiem świętym, ale stworzył potwora". Ten potwór to Unia, co w kontekście brexitu ma wymowę zrozumiałą. Europarlament to tylko potworek, bezużyteczny i dokuczliwy na tyle, że może pora się z nim rozstać. A przynajmniej zacząć o tym myśleć.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9e340ad6ae

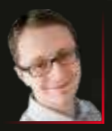

Z prof. Piotrem Glińskim, wicepremierem, ministrem kultury i dziedzictwa narodowego
rozmawia Tomasz Rowiński

Jesteśmy atakowani przez tych, którym nie w smak jest podmiotowa Polska

TOMASZ ROWIŃSKI: Panie premierze, rozmawiamy kilka dni przed Świętem Niepodległości, jak ocenia pan stan polskiej niepodległości w 103. rocznicę jej odzyskania?

PIOTR GLIŃSKI: Wolę mówić o suwerenności, ponieważ to ona odnosi nas do możliwości podejmowania przez państwo samodzielnych decyzji. Suwerenność nie jest dana raz na zawsze, ale zadana i każde pokolenie staje przed zadaniem pracy czy nawet walki o nią. Dzisiaj jesteśmy w takim momencie historycznym, że musimy bardzo intensywnie zabiegać o to, by ten poziom niezależności, który określilibyśmy mianem suwerenności, zachować. W przeszłości najgorsze dla Polski chwile przetrwaliśmy m.in. dzięki kulturze – sztuce, stylowi życia, pamięci o chwalebnych czynach zbrojnych, dzięki mitowi i misji polskiej inteligencji, która odegrała w swojej różnorodności niebagatelną rolę w dążeniu do odzyskania niepodległości w XIX i XX w. Jednocześnie zawsze dla tych, którzy nie szli drogą zdrady narodowej, bo były i takie środowiska, perspektywą i celem było odzyskanie samodzielnego państwa.

eprasa.pl 9e340ad6ae

FOT. ALBERT ZAWADA/PAP

Porównałby pan naszą sytuację z latami II Rzeczypospolitej?

Tamto państwo weszło w niepodległość z ogromnymi problemami wynikającymi z połączenia trzech zaborów, z zapóźnień czy ogromnych różnic społecznych, z których my sobie dziś często nie zdajemy sprawy. Dwadzieścia lat II RP to był czas bardzo intensywnej i ciekawej pracy u podstaw – od gospodarki do kultury państwa. Ale suwerenność, niepodległość była wartością wspólną, od socjalistów do endecji czy chadeków. Sytuacja po 1989 r. była inna, komunizm pozostawił po sobie poplątanie, pomieszanie języka i wartości. Ponadto część wspólnoty narodowej związana z nurtem konserwatywnym czy niepodległościowym znalazła się w sytuacji falstartu. Byliśmy znacznie gorzej przygotowani niż inne opcje ideologiczne czy opcje interesów, które okrzepły bądź budowały swoje przyczółki już w PRL. Dopiero po latach wywalczyliśmy podstawy do tego, by na poważnie walczyć o polską suwerenność. Jednocześnie mamy sytuację politycznego naporu na Polskę z zewnątrz, a na to nakłada się też jeszcze bardzo poważny konflikt cywilizacyjny o wymiarze w zasadzie globalnym.

Czy zatem napięcia, których Polska doświadcza w ramach Unii Europejskiej czy w relacjach z Białorusią, a zatem i pośrednio z Rosją, to efekt wzrostu polskiej suwerenności?

Skoro po 2015 r. wybiliśmy się na suwerenność – i to suwerenność opartą na własnych zasobach – to jesteśmy atakowani przez tych, którym nie w smak jest podmiotowa Polska. Trzeba przypomnieć, że projekt III Rzeczypospolitej miał nas jednak podporządkowywać silniejszym, nie byliśmy w nim równoprawnym, równorzędnym partnerem. Mieliśmy być partnerem „zależnym". W efekcie tego wciąż zmagamy się z polityką prowadzoną w stylu znanego powiedzenia „ulica i zagranica". To zresztą szerszy problem wynikający z antydemokratycznego charakteru opozycji w Polsce – jeśli ktoś sam siebie określa mianem opozycji totalnej wobec demokratycznie wybranej władzy, to stawia się poza wspólnotą demokratyczną. Jeśli dociska się gaz nienawiści do końca, robi się to celowo i systematycznie przez wiele lat, ta nienawiść, ten hejt staje się programem politycznym, to znaczy, że nie chce się działać metodami demokratycznymi. Taka postawa to również wynik pogardy środowisk opozycyjnych wobec części społeczeństwa, która „nie dorasta" do ich wizji Polski neoliberalnej.

Stawia pan tezę o deficycie demokracji?

Tak, polska opozycja działa w dużej mierze w sposób niedemokratyczny. Więcej, te działania prowadzą do nieodwracalnego niszczenia polskiej wspólnoty. Jest to zresztą zjawisko szersze, ogólnoświatowe. Siła polityczno-ekonomiczna i manipulacja emocjami zastępuje demokratyczną debatę. Postpolityka – politykę. Doskonale obrazuje to przykład Unii Europejskiej. Od lat wskazują na to badacze instytucji unijnych – wiele ciał decyzyjnych UE nie ma mandatu demokratycznego. Teraz zaś jesteśmy świadkami swego rodzaju hipertrofii, jeśli chodzi

eprasa.pl 9e340ad6ae

o instytucje sądownicze UE, gdzie zasiadają pseudoeksperci – bo przecież to są często politycy delegowani na stanowiska sędziów – podejmujący arbitralne, coraz częściej pozaprawne decyzje.

Skoro powiedział pan nieco o tym, jak widzi kondycję naszej suwerenności, zapytam o kondycję polskiej kultury.

Patrzę na polską kulturę jako wielkie pole, które pokryte jest bliznami i dotknięte wielorakimi skutkami procesów historycznych. W związku z tym mamy wielką nierównowagę, jeśli chodzi o ludzi kultury – nawet jeśli chodzi o ich dominujący światopogląd. Jeżeli ktoś był twórcą w czasach PRL i godził się na pewne mechanizmy funkcjonowania tamtego systemu, później bez szwanku przeszedł do nowej rzeczywistości III RP i musiał przeorientować swój światopogląd, to najprostszą transformacją był wybór postawy naśladowczego kosmopolityzmu czy bezrefleksyjnego powtarzania mód intelektualnych, które akurat dominują na Zachodzie. Za tym szedł także interes ekonomiczny, ponieważ wiele progresywnych nurtów w kulturze było i jest mocno wspieranych dofinansowaniem zagranicznym.

Były próby zreformowania sfery kultury po roku 1989...

W latach 90. podjęto reformę, która polegała w dużej mierze na przerzuceniu odpowiedzialności za kulturę na samorządy. Za tą reformą stała doktryna liberalizmu ekonomicznego, który był wtedy nadrzędną ideologią w Polsce. Według tej doktryny państwo w zasadzie nie powinno brać odpowiedzialności za życie społeczne, a zatem i za kulturę. Kultura miała się ograniczać do tego, za co ludzie chcą zapłacić. W konsekwencji wybrano tylko kilkanaście instytucji do centralnego finansowania, a resztę przekazano samorządom, które, z różnym skutkiem, musiały podjąć się tej odpowiedzialności. Oczywiście pozytywem było to, że zniesiono cenzurę i jeśli ktoś potrafił zdobyć środki na działalność, to po prostu funkcjonował. Dzięki temu powstawały instytucje kultury niezależnej. W sumie jednak ta ważna sfera życia narodowego była w rozsypce. Taki stan w dużej mierze zastaliśmy w roku 2015.

Kultura była zasadniczo niedofinansowana. Premier Tusk w 2011 r. podpisał tzw. Pakt dla Kultury, w którym obiecywał jeden procent budżetu na kulturę, ale nigdy za poprzedniej władzy tej obietnicy nie zrealizowano. My zrobiliśmy to już w pierwszym roku naszej pracy. A w przyszłym roku budżet będzie większy o 65 proc. w stosunku do tego z 2015 r.

Brak zaangażowania państwa po roku 1989 wzmacniał instynkty stadne, stymulowane przez środki, które kultura otrzymywała z zagranicy. To wydawało się niewiarygodne! Państwa rywalizują przecież ze sobą także w obszarze wpływu na kulturę, budują swoją pozycję dzięki kulturze. Tymczasem w Polsce powtarzano bajki o dobrodziejstwach antyetatyzmu. Myślenie kulturotwórcze z perspektywy wspólnoty narodowej praktycznie nie istniało.

Jakie musiały być podstawowe cele nowej polityki kulturalnej?

Przede wszystkim trzeba było wzmocnić te obszary aksjologiczne, które były niedowartościowane, i zredefiniować odpowiedzialność państwa za kulturę. Dzisiaj, po sześciu latach, mamy do czynienia z sytuacją, w której instytucje kultury chcą być pod opieką państwa, ponieważ to oznacza możliwość rozwoju i godnego wypełniania swojej misji. O ponad sto procent zwiększyliśmy liczbę instytucji, które współprowadzimy, a zatem i współfinansujemy. To duża i potrzebna zmiana. Był też obszar zaniedbań, który możemy określić mianem białych plam. Zaczęliśmy powoływać nowe instytucje i wzmacniać istniejące tak, by polityka kulturalna państwa objęła możliwie wszystkie ważne dziedziny. Polityka pamięci była przecież całkowicie zaniedbana. I nie mam na myśli tylko tematu żołnierzy wyklętych, ale np. także Sybir czy Kresy. Te dwa ważne tematy nie były poruszone w polskiej narracji muzealnej. Dzisiaj Muzeum Sybiru już istnieje jako instytucja miasta Białegostoku, ale powstało przy dużym zaangażowaniu i wsparciu ministerstwa, a cztery różne muzea poświęcone Kresom są w realizacji. Dlaczego nikt wcześniej nie interesował się dziedzictwem Kresów – tak ważnych dla polskiej tożsamości? Dlaczego budowano Muzeum II Wojny Światowej marginalizujące postaci Witolda Pileckiego, rodziny Ulmów, „Hubala", Ireny Sendlerowej czy o. Maksymiliana Kolbego? Dlaczego nie budowano w tamtym czasie Muzeum Historii Polski? Takich pytań jest więcej, ale te białe plamy sukcesywnie wypełniamy.

Jakie instytucje powołało ministerstwo za pana rządów?

Jest ich naprawdę wiele! Instytucjonalizacja pamięci służy jej trwałości. Przede wszystkim budujemy, przekształcamy i modernizujemy ponad 200 instytucji muzealnych. Rozwijamy Instytut Pileckiego, powołaliśmy Narodowy Instytut Architektury i Urbanistyki, Centrum Archiwistyki Społecznej, Instytut Dziedzictwa Solidarności, Instytut Dziedzictwa Myśli Narodowej im. Romana Dmowskiego i Ignacego Paderewskiego, Instytut Literatury, Narodowy Instytut Polskiego Dziedzictwa Kulturowego za Granicą „Polonika". Ministerstwo uratowało też kilka instytucji skazanych na likwidację lub zniszczonych, bez przemyślenia komercjalizowanych, prywatyzowanych, spieniężanych. Polskie Wydawnictwo Muzyczne, Państwowy Instytut Wydawniczy, bielskie Studio Filmów Rysunkowych, Instytut Śląski i Instytut im. Kętrzyńskiego w Olsztynie – tego jest naprawdę dużo. Te, które mogliśmy, przekształciliśmy w instytucje kultury, żeby nie musiały konkurować na rynku, ale zajmowały się działalnością, do której zostały powołane.

Dlaczego kierowane przez pana ministerstwo jest krytykowane także z prawej strony?

Zapewne dlatego, że kultura to przestrzeń, w której działają przede wszystkim twórcy, ludzie niezależni, często o poglądach bardzo liberalnych, skrajnie lewicowych, a nawet antywspólnotowych. W kulturze możliwość szybkiej i bezpośredniej zmiany jest bardzo ograniczona. Tu nie ma możliwości wydania rozkazu. Narzędzia, które mamy, tylko w pewien sposób mogą zmieniać pejzaż kulturalny, zmieniać akcenty obecności kultury w sferze publicznej. Jednocześnie ta specyfika świata kultury i niezależność związanych z nią ludzi sprawiają, że zdarzają się nietrafione nominacje, część spraw nie zawsze toczy się tak, jak byśmy chcieli, a na koniec zawsze może wyjść na scenę jakiś reżyser, który odczyta suflowany tekst tylko po to, żeby na kilka godzin trafić na czołówki niektórych mediów. Ostatecznie jednak nikt nie chce powrotu do zależności, serwilizmu, które są nam znane z systemów niedemokratycznych. Ceną za wolność są skandale, czasem infantylizm czy głupota. Ale tę cenę trzeba płacić – dla dobra Polski.

Jakie wyzwania stoją przed polską kulturą?

Nasze zasoby są oczywiście ograniczone, jednak robimy to, co jest możliwe w ramach dostępnych środków.

eprasa.pl 9e340ad6ae

Przekonujemy tych, którzy widzą w nas wrogów, że chcemy pełnowartościowego i zrównoważonego rozwoju polskiej kultury, twórczego dialogu. Jednocześnie nie da się ukryć, że Polska zmaga się zagrożeniem ideologicznym, ze swego rodzaju dyktatem, z wykluczaniem głosu tych, którzy nie pasują do światopoglądu liberalnego, dziś nasiąkniętego ideami skrajnej lewicy. Wobec polskiej kultury narodowej, tradycji stosuje się narzędzia wymazywania, defamacji. Wobec ludzi wciąż praktykuje się publiczny ostracyzm, naciski środowiskowe. Panują ideologiczny dyktat poprawnościowy i mechanizmy konformizmu zabijające podmiotowość, wewnątrzsterowność i wolność jednostki. Z drugiej strony jesteśmy zmuszani do nieustannego rozwiązywania problemów, które generują środowiska dążące do całościowego zdominowania kultury.

Ma pan poczucie, że misja Ministerstwa Kultury jest ciągle ważna, także w zglobalizowanym i kosmopolitycznym świecie?

Mam takie poczucie, zdecydowanie. Po pierwsze dlatego, że zaniedbania były ogromne i postawienie na nogi pewnych spraw – jak choćby podniesienie jakości ochrony zabytków czy budowa nowej sieci muzealnej w Polsce – było i jest oczywistością. Po drugie dlatego, że kultura potrzebuje mecenatu państwa w czasach dominacji komercji. Neoliberalizm stanowi realne zagrożenie dla kultury. Trzeba w miarę możliwości stawiać mu opór, przywracać pewne wartości, równoważyć proporcje. Tabloidyzacja, upraszczanie, prymitywizacja, spadek jakości – wszyscy to dostrzegamy. Dlatego kultura musi się opierać także na świadomych, demokratycznie kontrolowanych działaniach państwa. Dobrze, jeśli prywatni mecenasi wspierają kulturę, ale w naszym regionie Europy, z powodów historycznych i nikłej akumulacji kapitału, takich ludzi jest niewielu. Oczywiście nie mówię tu o różnego autoramentu oligarchach, ale warstwie społecznej ludzi, którzy, mając pieniądze, mieliby też poczucie szerszej odpowiedzialności. W naszym kontekście państwo po prostu musi dalej mocno wspierać kulturę. Naszym zadaniem jest też pewnego rodzaju aktywizacja kulturalna, szukanie nowych rozwiązań. Program Przestrzenie Sztuki pokazał na przykład, że za pomocą stosunkowo niewielkich środków można zmobilizować do pracy wielu interesujących ludzi, często działających zupełnie poza głównym nurtem. I to jest bez wątpienia coś dobrego.

Czy Muzeum Historii Polski będzie otwarte w marcu 2023 r.?

Bardzo bym sobie tego życzył. Mówi się, że nadzieja umiera ostatnia, ale w tej chwili przed nami bardzo trudny etap – wykończenie budynku, budowa wystawy stałej. A to stawia zupełnie nowe wyzwania przed wykonawcami. Tym bardziej że skala inwestycji jest wyjątkowa i jest problem choćby z zapewnieniem wystarczającej liczby gablot muzealnych – tak wiele ich potrzeba. Monitoruję stan prac na bieżąco, spotykam się z wykonawcami, z szefami inwestycji, ale czasami musimy uznać siłę wyższą. Na razie jednak wydaje się, będę optymistą, że 2023 r. pozostaje realną datą otwarcia MHP.

A 10 listopada otwieramy po remoncie dworek Milusin w Sulejówku, w styczniu – po latach zamknięcia – Narodowe Muzeum Techniki w Pałacu Kultury i Nauki, 1 marca – wystawę stałą w Muzeum Żołnierzy Wyklętych w Ostrołęce.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

LECZENIE I REHABILITACJA

OBIEKT BEZPIECZNY HIGIENICZNIE

POBYTY: Po COVID-19, Zdrowy Kręgosłup, Antystresowy, Kardiologiczny z diagnostyką.

Szwedzki stół, 15 albo 25 zabiegów na 7 dni pobytu
- Wstęp na basen z atrakcjami do 90 minut dziennie
- Diagnostyka fizjoterapeutyczna i laboratoryjna*
- Specjalistyczne konsultacje lekarskie*

*możliwa dopłata

tel. 54 416 70 00
www.podtezniami.pl
Pobyty: 07.11 - 20.12.2021r.

Turnus Świąteczny: 20.12 - 27.12.2021r. Turnus Noworoczny: 27.12.2021 - 03.01.2022r.

Klinika Uzdrowiskowa „Pod Tężniami" im. Jana Pawła II, ul. Warzelniana 7, 87-720 Ciechocinek

eprasa.pl 9e340ad6ae

Rosną mury

Jacek Przybylski

Za ponad 1,5 mld zł Polska zbuduje zaporę na granicy z Białorusią. Wcześniej podobne konstrukcje, mające chronić przed inwazją nielegalnych imigrantów, postawili wzdłuż swoich granic m.in. Węgrzy, Grecy, Hiszpanie, Bułgarzy, Estończycy, Litwini, Łotysze i Słoweńcy

Prezydent Andrzej Duda podpisał w środę przyjętą przez Sejm 14 października specjalną ustawę o budowie zabezpieczenia granicy państwowej. Umożliwia ona szybką budowę umocnień na granicy z Białorusią. Budowa trwałej bariery o wysokości ponad 5 m, której zadaniem jest zabezpieczenie ok. 200 km granicy, ma ruszyć w ciągu najbliższych tygodni i – według rzecznika rządu Piotra Müllera – potrwa kilka miesięcy.

Koszt stworzenia umocnień oszacowano łącznie na 1 mld 615 mln zł. Większość tej kwoty ma zostać przeznaczona na budowę fizycznej bariery – zadanie to zostało wycenione na 1,5 mld zł. Pozostałe 115 mln zł mają pochłonąć zakupy niezbędnych urządzeń technicznych, ułatwiających obserwację granicy, a także systemu czujników pozwalających w porę wykrywać ewentualne podkopy.

NIEWDZIĘCZNI EUROKRACI

Ponieważ wzmacniana granica jest jednocześnie zewnętrzną granicą Unii Europejskiej, a tysiące nielegalnych imigrantów szturmują ją, aby dostać się nie do Polski, lecz do bogatych krajów zachodniej Europy, polskie władze wystąpiły do Brukseli o dofinansowanie budowy w wysokości 200 mln euro (równowartość niemal 920 mln zł). Wiadomo już jednak, że do budowy muru na polsko-białoruskiej granicy eurokraci z Komisji Europejskiej nie zamierzają dołożyć ani eurocenta. Taką decyzję krytycznie ocenił nawet komentator niemieckiego dziennika „Süddeutsche Zeitung". Jak zauważył Josef Kelnberger, takie potraktowanie polskiej prośby przez Komisję Europejską jest dowodem unijnej hipokryzji, symbolem „fiaska europejskiej polityki migracyjnej", a także zaprzepaszczeniem szansy, którą „otwiera mur".

O tym, że Komisja Europejska zapomniała ładnie podziękować Węgrom za pomoc w ochronie unijnego terytorium, w zeszłym tygodniu ponownie przypomniał brukselskim eurokratom Viktor Orbán. Szef rządu w Budapeszcie od kilku lat konsekwentnie wzywa kolejnych szefów Komisji Europejskiej do tego, aby Unia Europejska zapłaciła Węgrom 400 mln euro (równowartość 1,84 mld zł). To mniej więcej połowa kwoty, którą węgierskie władze wydały, aby stworzyć sieć umocnień na unijnej granicy z Serbią.

Premier Viktor Orbán podjął decyzję o budowie fizycznej bariery w roku 2015 po tym, jak przez kraj liczący 9,75 mln osób w ciągu ledwie kilku tygodni przetoczyła się fala ponad 400 tys. głównie muzułmańskich imigrantów. Początkowo były to zasieki z drutu kolczastego. Kolejne fale inwazji nielegalnych przybyszy skłoniły rząd w Budapeszcie do ulepszenia bariery. Obecnie granica węgiersko-serbska i węgiersko-chorwacka chroniona jest ogrodzeniem o wysokości 4 m. Na wielu odcinkach stoi zaś nie jeden wysoki płot, ale dwa ustawione równolegle do siebie.

4,5 tys. żołnierzy i strażników pilnujących granicy wspiera system kamer i głośników przestrzegających w wielu językach przed konsekwencjami podjęcia próby nielegalnego wkroczenia na teren Węgier. Efekt był natychmiastowy: rządowi Orbána udało się błyskawicznie ograniczyć chaos i znacząco zmniejszyć popularność tzw. szlaku bałkańskiego, czyli głównej trasy, którą nielegalni migranci próbowali dostawać się do upragnionych Niemiec, gdzie rządząca lewica w setkach tysięcy młodych mężczyzn widzi receptę na rozwiązanie kryzysu demograficznego bez konieczności przywracania chrześcijańskich wartości czy odtwarzania tradycyjnych rodzin.

Mimo tak wzmocnionej granicy według oficjalnych danych w 2019 r. na Węgrzech zatrzymano 7 tys. osób, które próbowały dostać się do tego kraju nielegalnie. W roku 2020 ich liczba wzrosła do 46 tys. Tylko w tym roku zatrzymano ponad 90 tys. osób próbujących nielegalnie dostać się na terytorium Europy Środkowej. Jednocześnie tylko w tym roku do 915 wzrosła liczba spraw karnych przeciw przemytnikom – prze-

eprasa.pl 9e340ad6ae

Budowa fizycznej bariery na granicy pozwoliła Węgrom znacząco ograniczyć nielegalną imigrację

FOT. ANADOLU AGENCY/GETTY IMAGES

wokół Unii

prowadzono ich więc w tym roku już trzykrotnie więcej niż w roku 2020.

Tymczasem, jak ostrzega Viktor Orbán w opublikowanym w ubiegłym tygodniu liście premiera Węgier do niemieckiej komisarz Komisji Europejskiej Ursuli von der Leyen, katastrofalna sytuacja w Afganistanie, z którego w fatalnym stylu wycofały się amerykańskie wojska, doprowadzi do kolejnego kryzysu na skalę co najmniej tak dużą jak przed sześcioma laty. Do tego dochodzą zaś zuchwałe działania władz w Moskwie oraz w Mińsku, które wykorzystują migrantów do prowadzenia wojny hybrydowej z Unią Europejską.

W 2015 r. europejska lewica za ogrodzenie na granicy stawiała węgierskiego premiera pod medialno-politycznym pręgierzem. Dziś również Orbán jest za płot krytykowany, choć zapał do witania tysięcy nowych przybyszy w wielu krajach – np. we Francji lub w Szwecji – wyraźnie osłabł. W ostatnich miesiącach nawet lewicowi i liberalni urzędnicy w Brukseli – jak choćby Charles Michel, belgijski przewodniczący Rady Europejskiej – przekonują, że konieczna jest ścisła ochrona zewnętrznych granic Wspólnoty, i apelują o walkę z przemytem ludzi. Szef rządu w Budapeszcie powtórnie zażądał więc od Komisji Europejskiej bezzwłocznego przelania pieniędzy do węgierskiego budżetu na pokrycie części kosztów wydanych na skuteczną ochronę zewnętrznych granic Unii. Viktor Orbán słusznie zauważył też, że po Węgrach mury, płoty i fortyfikacje na swoich granicach zaczęły stawiać kolejne unijne państwa. I rzeczywiście zapory zbudowały już także Chorwacja, Słowenia, Macedonia oraz Austria. Umocnienia na granicach utworzyły też kraje bałtyckie: Litwa, Łotwa i Estonia. W 2016 r. za ponad 2 mln euro Francja i Wielka Brytania zbudowały „Wielki Mur w Calais" – betonowy mur ma tam długość 1

km i wysokość 4 m.

Raport „Fortress Europe" – opublikowany w 2018 r. – wskazywał, że od upadku muru berlińskiego w 1989 r. unijne kraje wzniosły ponad tysiąc kilometrów ogrodzeń, płotów i murów chroniących ich granice. W 2019 r. według raportu Transnational Institute w Amsterdamie różnego rodzaju systemy umocnień na granicach miało już 10 unijnych państw. Najwyższe z nich – np. w okolicach „afrykańskich wrót do Europy" w hiszpańskich enklawach w Ceucie i Melilli – mają po 10 i 12 m wysokości (choć początkowo płoty w tym miejscu mierzyły „zaledwie" 3 m). Niby dużo, a i tak na wielu odcinkach ogrodzenie składa się z aż trzech równolegle do siebie postawionych płotów, wzdłuż których rozmieszczeni są uzbrojeni żołnierze i wieżyczki strażnicze.

Grecy – nauczeni doświadczeniem z poprzednich kryzysów migracyjnych na granicy z Turcją – zakończyli budowę 40-kilometrowego muru o wysokości 5 m. Zarówno Hiszpanie, jak i Grecy wykorzystują też rzecz jasna najnowsze technologie nadzoru: granice chronią więc systemy radarowe, nowoczesne kamery dalekiego zasięgu oraz kamery termiczne, wspierane przez sztuczną inteligencję czujniki ruchu i dźwięku, a także – w przypadku greckiej fortecy – automatyczne rozpylacze gazu łzawiącego oraz bardzo skuteczne działka akustyczne.

NIESKUTECZNA POLITYKA ZACHODU

Nikt nie ma wątpliwość: mury nie rozwiążą definitywnie problemu nielegalnej migracji do Europy. Drobni przemytnicy i dobrze zorganizowane mafie zawsze znajdą sposób, aby przeszmuglować kogoś do europejskiej twierdzy. Umocnienia na granicach pozwalają jednak odzyskać kontrolę nad sytuacją do czasu, gdy Zachód weźmie się wreszcie na poważnie za rozwiązanie problemu i zamiast debatować o przymusowych kwotach relokacji, doprowadzi do poprawy stabilności i warunków życia w krajach, z którego ci imigranci przybywają. Zapewnienie bezpieczeństwa i warunków do rozwoju gospodarczego w Afryce Północnej i na Bliskim Wschodzie to jedyna długoterminowa recepta, chyba że migrantów wciąż traktuje się jako remedium na starość Europy. Skuteczność tej polityki najlepiej widać już na przykładzie Egiptu, który przyjął ok. 6 mln uchodźców i migrantów i nie próbuje wzorem Turków czy Białorusinów wypychać ich do UE.

Za pilnowanie bezpieczeństwa Niemców władze Węgier, Polski czy innych krajów UE, które ponoszą konsekwencje nieodpowiedzialnej retoryki Berlina i Brukseli, powinny zaś rzeczywiście wystawić rachunek Komisji Europejskiej i lewicowym politykom, którzy tradycyjnie próbują ratować świat, wyjmując pieniądze z cudzej kieszeni.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9e340ad6ae

Na manifestację do Michałowa przyjechały niedawno byłe pierwsze damy: Jolanta Kwaśniewska i Anna Komorowska

FOT. JAKUB KAMIŃSKI/EAST NEWS

„Wolne" Miasto Michałowo

Maciej Pieczyński

Część podlaskich samorządowców, aktywistów i przedsiębiorców torpeduje wysiłki na rzecz uszczelnienia granicy. Zapalają „zielone światło" – w teorii dla „uchodźców", w praktyce dla Łukaszenki. „Wolne" Miasto Michałowo to kolejna twierdza anty-PiS

Prowokacje białoruskich służb są coraz poważniejsze i coraz bardziej niebezpieczne. W ubiegłym tygodniu na teren Polski wtargnęło trzech umundurowanych i uzbrojonych ludzi. Wciąż jednak najważniejszą bronią Łukaszenki w tym konflikcie są nielegalni migranci szturmujący granicę. Dlatego zatrzymanie ich napływu jest koniecznym warunkiem odparcia agresji. Tymczasem nie tylko nadpobudliwa sejmowa młodzież z PO i Lewicy, lecz także wielu podlaskich samorządowców, aktywistów i przedsiębiorców, często związanych z opozycją, torpeduje wysiłki na rzecz uszczelnienia granicy, używając emocjonalnej, pseudohumanitarnej retoryki.

PROIMIGRACYJNY OPÓR WOBEC PIS

Kilka tygodni temu Michałów, niewielka miejscowość na Podlasiu, trafił na czołówki mediów. Do miejscowej placówki Straży Granicznej trafiły dwie rodziny Irakijczyków. Według SG imigranci nie złożyli wniosku o azyl w Polsce, ponieważ chcieli dotrzeć do Niemiec. Najwyraźniej ich sytuacja nie była aż tak tragiczna. Naturalnym rozwiązaniem sytuacji było odesłanie Irakijczyków na granicę. Jednak media lewicowo-liberalne rozpętały wokół tych rodzin histerię. A właściwie – wokół dzieci. Ich zdjęcia rozrzucały po Sejmie posłanki Platformy. Obrazki „dzieci z Michałowa" obiegły Polskę, a potem świat. Nawet galę rozdania literackich nagród Nike wykorzystano w tej emocjonalnej krucjacie.

Oczywiście nikogo nie interesowała prawda – ważne były krytyka rządu i afirmacja imigracji. A przecież wystarczy poczekać, aż minie atak pseudohumanitarnej histerii, aby dojść do trzech racjonalnych wniosków. Po pierwsze, jeśli imigrant odmawia pomocy, to nie można mu jej udzielić wbrew jego woli. Po drugie, SG nie jest od tego, by podwozić nielegalnych imigrantów do krajów, w których łaskawie życzą sobie oni zamieszkać. Po trzecie, jeśli ktoś odpowiada za los „dzieci z Michałowa", to ich rodzice, którzy postanowili je zabrać w długą, nielegalną, a więc niebezpieczną podróż, bez żadnej gwarancji dotarcia do celu. Te argumenty nie trafią jednak do tych, którym nienawiść do PiS i miłość do imigrantów przesłaniają wszystko.

Histeria wokół „dzieci z Michałowa" dała lokalnym samorządowcom szansę na rozgłos. Trudno ocenić, ile w ich działaniach szczerego współczucia, ile naiwności, a ile politycznego wyrachowania. Faktem jest jednak, że Michałowo stało się punktem proimigracyjnego oporu przeciwko władzy. Nic dziwnego – burmistrz Marek Nazarko to lokalny działacz Platformy Obywatelskiej. Osiem lat temu na łamach „Newsweeka" można było przeczytać, że „napompował tutejsze koło PO do granicy możliwości. Do jego koła zapisało się pół gminy: nauczyciele, przedszkolanki, szkolna kucharka, woźny, konserwator, bibliotekarka, pomoc gospodarcza z ośrodka kultury, instruktor gitary, plastyczka, wychowawca świetlicy… Część z rodzinami".

Nazarko miał kłopoty z prawem. W kwietniu usłyszał zarzut przekroczenia uprawnień podczas prywatnego zakupu jednej z działek. W sierpniu prokuratura

eprasa.pl 9e340ad6ae

zarzuciła mu nieudostępnienie informacji publicznej. Burmistrz tłumaczył, że chodzi o opieszałość w pracy jedynego w urzędzie informatyka, który mimo wielu jego upomnień nie opublikował w „Biuletynie Informacji Publicznej" oświadczeń majątkowych m.in. radnych i urzędników.

Dla obozu lewicowo-liberalnego Nazarko stał się bohaterem. Na początku października gmina jako pierwsza w Polsce uruchomiła „help point", czyli punkt pomocy, w którym imigranci mogą się ogrzać, zjeść ciepły posiłek lub zmienić ubranie. Michałowo odwiedzają celebryci, politycy… Tyle że z zaoferowanej pomocy na razie skorzystały jedynie dwie osoby. Powstały dwa kolejne punkty – w Szymkach i Jałówce, bliżej granicy. Co prawda, gmina deklaruje chęć współpracy z SG, trudno jednak nie odnieść wrażenia, że tego typu inicjatywy pomocowe w dużej mierze utrudniają zadanie uszczelniania granic. Migranci mogą poczuć się zachęceni perspektywą takiej gościnności.

Pod koniec października pod placówką SG w Michałowie zorganizowano manifestację pod hasłem „Matki na granicę. Miejsce dzieci nie jest w lesie". Przy tej okazji przypomnieć o sobie postanowiły byłe pierwsze damy: Jolanta Kwaśniewska, Anna Komorowska i Danuta Wałęsa, które wystosowały apel do rządu. „Sprzeciwiamy się tej władzy, która [w migrantach – przyp. red.] nie widzi ludzi szukających lepszego życia dla siebie i bliskich" – grzmiała Kwaśniewska podczas manifestacji. Nazarko miał swoje pięć minut. Prezydentowe apelowały, aby rząd, który „sam nie pomaga", pozwolił pomagać innym. Najwidoczniej bardziej uwierzyły białoruskiej propagandzie niż polskim służbom, które regularnie informują o wsparciu dla migrantów, którzy tego wsparcia wymagają. Ich apel można sparafrazować następująco: niech samorząd i opozycja, które nie chcą pomóc w uszczelnieniu granicy, przynajmniej nie przeszkadzają.

AKCJA „ZIELONE ŚWIATŁO"

Tymczasem burmistrz przygranicznej miejscowości woli uczestniczyć w nagonce na tych, którzy odpierają atak hybrydowy Łukaszenki. Podobnie przewodnicząca rady miejskiej Maria Ancipiuk, która w mediach opowiada emocjonalne historie o dzieciach uciekających przed wojną, albo umierających na polach kukurydzy. Oboje dołączyli do akcji „Zielone Światło", wymyślonej przez mieszkającego w jednej z przygranicznych gmin prawnika. W teorii to niegroźna inicjatywa. Chodzi o to, by mieszkańcy zapalali w swoich domach zielone lampiony jako znak dla migrantów, że tutaj mogą liczyć na wsparcie. Przy czym, jak wyraźnie zaznacza na Facebooku pomysłodawca akcji: „Nie pomożemy ci w ukrywaniu się ani w dalszej podróży. Pomożemy ci tylko przetrwać". W praktyce jednak to oczywiste zaproszenie dla nielegalnych migrantów. Dopóki będą wiedzieli, że na miejscu mogą liczyć na jakiekolwiek wsparcie, dopóty będą szturmować granicę.

WOŚP chce stworzyć w Michałowie centrum logistyczne dla organizacji, które pomagają w strefie nadgranicznej

„Zielone Światło" jest więc też sygnałem dla Łukaszenki. Białoruski dyktator dzięki takim inicjatywom wie, że może liczyć na pożytecznych idiotów, którzy z radością przyjmą nadsyłanych z Mińska „uchodźców". Tymczasem oczywiste jest, że pierwsze, co powinien zrobić mieszkaniec na widok migranta, to powiadomić Straż Graniczną.

W obronie przed atakiem hybrydowym nie pomagają też takie inicjatywy jak pomysł Władysława Grochowskiego, prezesa spółki Arche, zajmującej się budową mieszkań i hoteli. Przedsiębiorca zaapelował do rządu, aby pozwolono mu przyjąć 100 uchodźców, którym zapewni dach nad głową i zatrudnienie w swojej firmie.

Ponadto uszczelnianie granicy utrudnia też działalność aktywistów z organizacji pozarządowych, którzy od samego początku kryzysu bezkrytycznie powielają białoruską i rosyjską propagandę, kreślącą wykrzywiony obraz „biednych uchodźców" i „okrutnych polskich pograniczników". A wtóruje im część mediów, które niejednokrotnie bardziej skłonne są wierzyć służbom Mińska niż Warszawy.

PLOTKI O RZEKACH TRUPÓW

Wreszcie michałowscy samorządowcy używają pseudohumanitarnej retoryki do ataków na Polskę za granicą, szerząc przy tym propagandowe kłamstwa. „Z tego, co słyszałem, do tej pory musiało zginąć co najmniej 70 osób. Ale są też wskazówki, że może ich być nawet 200. Kilka dni temu usłyszałem historię o granicznej rzece Świsłocz. Podobno w wodzie pływają trupy. A trupy też są przepychane z boku na bok. Tam i z powrotem, między Białorusią a Polską. Żadna ze stron nie chce ich wydostać" – ta skrajnie nieodpowiedzialna informacja, oparta na niesprawdzonych, fantastycznie brzmiących plotkach, to fragment wywiadu, którego kilka dni temu niemieckiemu „Focusowi" udzielił Konrad Sikora, wiceburmistrz Michałowa. W rozmowie z gazetą samorządowiec nazwał też mur na granicy „głupim projektem". Zasugerował ponadto, że polski rząd wprowadził stan wyjątkowy, aby „zatuszować pushbacki".

Pod koniec października w Michałowie spotkali się samorządowcy z całej Polski. Wspólnie wystosowali do rządu apel o „pilne podjęcie dialogu" w celu wspólnego wypracowania rozwiązania kryzysu migracyjnego. Wśród gości byli między innymi związani z opozycją prezydent Sopotu Jacek Karnowski, Wieliczki Artur Kozioł czy Białegostoku Tadeusz Truskolaski. Samych zainteresowanych, czyli gminy położone w strefie stanu wyjątkowego, reprezentowali jedynie gospodarze. Nie od dziś wiadomo, że samorządowcy to grupa, w której PO szuka poparcia do walki z PiS.

Wreszcie Michałowem zainteresował się Jerzy Owsiak. WOŚP chce tutaj stworzyć centrum logistyczne dla organizacji, stowarzyszeń, lekarzy, którzy pomagają w strefie nadgranicznej. Znając stosunek Owsiaka do obecnego rządu, można przewidzieć, że wsparciu dla migrantów towarzyszyć będzie festiwal fałszywych oskarżeń pod adresem „bezdusznej" władzy, które tylko przeszkodzą w walce z Łukaszenką.

„Wolne" Miasto Michałowo wyrasta na nową twierdzę antypisu. Problem w tym, że tym razem stawka jest zbyt wysoka. Szerząc proimigracyjną propagandę, opozycyjni samorządowcy torpedują działania, których celem jest odparcie ataku hybrydowego Łukaszenki. Kreślą fałszywy i szkodliwy dla bezpieczeństwa państwa obraz „uchodźców", uciekających przed wojną. Podczas gdy w rzeczywistości granicę szturmują agresywni migranci – albo wykorzystywani przez reżim, albo z tym reżimem współpracujący. A wśród nich terroryści, prowokatorzy. Chcąc nie chcąc, michałowscy samorządowcy odgrywają rolę pożytecznych idiotów Łukaszenki.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9e340ad6ae

FOT. M.LASYK/REPORTER

Sto lat człowieczeństwa

Piotr Semka

Wanda Półtawska musiała długo czekać na godne uhonorowanie ogromnego dzieła swego życia. Dopiero w 2016 r. prezydent Andrzej Duda odznaczył ją Orderem Orła Białego. Setna rocznica jej urodzin przypomniała jednak o tym, że zaangażowanie po stronie życia wywołuje nie tylko szacunek i uznanie, lecz także zajadłą nienawiść

Niewielu ludzi może powiedzieć o sobie, że przeżyło tak godnie cały wiek życia. Profesor Wanda Półtawska, która 2 listopada obchodziła setne urodziny, przyjmowała życzenia od prezydenta Andrzeja Dudy i pierwszej damy oraz przyjaciół ze wszystkich stron Polski. Jest jedną z niewielu żyjących jeszcze ofiar bestialskich, niemieckich pseudoeksperymentów naukowych. Nazistowscy lekarze w esesmańskich mundurach stworzyli więźniarkom obozu koncentracyjnego dla kobiet w Ravensbrück piekło na ziemi. Było w nich wszystko, co najstraszniejsze w praktyce totalitaryzmów XX w. Pogarda dla pojedynczego człowieka i chora teoria rasowa skazująca „niepotrzebne narody" na status podludzi.

I wreszcie pycha tych wyznawców „szkiełka i oka", którzy w imię obłędnych doktryn postępu – w tym wypadku teorii dominacji jednej rasy nad drugą – uważali, że życie ludzkie jest nic niewarte. Wanda Półtawska nie dała się pokonać tej dawce skondensowanego zła, choć była jedynie zwykłą obozową więźniarką. W czasie pobytu za drutami obozu razem z innymi więźniarkami ratowała przed esesmanami rodzące się dzieci. Ponad 30 uratowanych noworodków zawdzięczało jej życie. Ale najważniejsze było to, że z upiornego doświadczenia wojennego nie wyciągnęła wniosków prowadzących do nihilizmu. Tak było w wypadku ofiar kacetów, które nie mogły sprostać psychicznie i religijnie ogromowi upokorzeń i potworności, które widziały. Wanda Półtawska dokonała innego wyboru.

Jak wspominała po latach: „Jak wyszłam na wolność, zdecydowałam, że po pierwsze – będę studiować medycynę, a po drugie – że pojadę do Krakowa na Uniwersytet Jagielloński".

Decyzja o wyborze zawodu lekarza była instynktowna. Po doświadczeniu wszechobecności śmierci chwyciła się wiary w Boga i zawodu ratującego ludzkie życie. Jak dwóch nitek, które w ciemności stalinowskiej nocy potrafią wyprowadzić do światła. Jeszcze zanim aresztowano ją w 1943 r. jako łączniczkę AK, mogła obserwować likwidację getta warszawskiego. Dom, w którym mieszkała w Warszawie, stał tuż przy murze „dzielnicy żydowskiej". I znów cytat z jej wspomnień: „Widziałam z okna, jak pacyfikowano getto, podpalano domy. Ale najbardziej wstrząsnął mną widok esesmana, który chwycił maleńkie dziecko za nóżki i rzucił nim o ścianę. Ja to mam w oczach do dziś".

RĘKA BOŻA

Jeśli uznamy, że w życiu nie ma przypadków, a są tylko znaki, to oddelegowanie młodego księdza Karola Wojtyły wracającego ze studiów w Rzymie do duszpasterstwa lekarzy w Krakowie było znakiem nadziei dla pokiereszowanego wojną świata.

Kardynał Adam Sapieha nie mógł postąpić lepiej. Wanda Półtawska w czasie wspólnych wyjazdów w góry, w czasie licznych rozmów i debat w środowisku lekarzy zainspirowanych wiarą zaczęła tworzyć wraz z ks. Wojtyłą zręby teologicznego podejścia Kościoła do kwestii płciowości, życia nienarodzonego i wreszcie etyki małżeńskiej. Odbiciem tych rozmów jest jej, wydana po wielu latach, książka „Beskidzkie rekolekcje. Dzieje przyjaźni ks. Karola Wojtyły z rodziną Półtawskich". Zawierały one listy pomiędzy młodą lekarką a krakowskim kapłanem, które po latach wywoływały wiele nieporozumień. Łowcy sensacji z niektórych zachodnich gazet widzieli w nich dowód na rzekome intymne relacje lekarki z Krakowa z przyszłym papieżem. Tymczasem lektura tej niezwykle interesującej książki pokazuje, że nawet w najczarniejszym okresie terroru epoki Bieruta można było skupić się na stworzeniu myślenia o jednym z największych zagrożeń drugiej połowy XX w., czyli niezwykle daleko idącej zmianie w stosunku krajów cywilizacji

eprasa.pl 9e340ad6ae

łacińskiej do kwestii ludzkiego życia. Mijały kolejne lata, a refleksja Karola Wojtyły na te tematy owocowała takimi dziełami jak np. „Miłość i odpowiedzialność", które porządkowało wiedzę o relacjach między ludzką płciowością a godnością chrześcijanina.

Dziś zapomina się już, jaki demoralizujący wpływ miała najpierw niemiecka okupacja, która zalegalizowała np. aborcję na życzenie, a potem epoka stalinowska, kiedy doszło do rozluźnienia norm obyczajowych. Setki tysięcy młodych dziewczyn wyjeżdżały ze wsi na wielkie budowle socjalizmu, gdzie odreagowywały całkowitą zmianę swojego otoczenia socjologicznego, zatracając często wszelkie normy. Ponurą pamiątką po skutkach takiego pseudowyzwolenia był fragment „Poematu dla dorosłych" Adama Ważyka z lat 50.: „Wielka migracja, skudlona ambicja, na szyi sznurek – krzyżyk z Częstochowy. […] Żeńskie hotele, te świeckie klasztory, trzeszczą od tarła, a potem grafinie miotu pozbędą się – Wisła tu płynie".

W kwietniu 1956 r., równolegle z amnestią dla części więźniów politycznych, wprowadzono w Polsce legalizację aborcji na żądanie. Wanda Półtawska przypominała po latach, jak straszne wrażenie zrobił na niej nagły wysyp kandydatek do zabicia własnego dziecka. Jak wspominała: „Nie wierzyłam oczom, choć może to był wynik tego, że o wielu rzeczach nie wiedziałam. Przed gabinetami ginekologów widziałam długie kolejki panien, które nagle zaczęły korzystać z możliwości, które przyniosła nowa ustawa. Razem z innymi lekarzami, którzy rozumieli dramat tych dziewcząt, zaczęliśmy działać spontanicznie. Staraliśmy się dotrzeć do nich i wyjaśnić im, jak bardzo aborcja rzuci się cieniem na całą resztę ich życia. Kiedyś o drugiej w nocy zadzwonił do mnie głęboko przejęty ksiądz, któremu dziewczyna wyznała, że ma umówiony na godzinę dziewiątą rano następnego dnia zabieg aborcyjny. Niewiele myśląc, natychmiast udałam się do akademika i zaczęłam namawiać ją, by nie szła tą drogą".

Wanda Półtawska organizowała zręby systemu pomocy dla dziewcząt, które stanęły wobec dylematu stosunku do swego macierzyństwa. I tak doszło do stworzenia się swoistej koalicji na rzecz życia – prymas Stefan Wyszyński, biskup krakowski Karol Wojtyła i działacze na rzecz przeciwdziałania aborcji tacy jak Wanda Półtawska czy Maria Strzembosz. Problem nie był prosty, bo bardzo wielu księży, szczególnie tych – jak to wtedy mówiono – przedwojennych, nie bardzo wiedziało, jakim językiem mówić o tych sprawach. Bardzo często kapłani skupiali się na potępianiu „grzesznicy", a nie na zastanowieniu się, jak można jej pomóc. Także wielu ojców ulegało emocjom i oferowało córce jedynie wygnanie z domu. To prymas Wyszyński i kard. Wojtyła zmienili taką optykę. W centrum uwagi postawili kobietę i jej poczęte dziecko. Wszystko zaczynało się od słów. Na przykład Wanda Półtawska zawsze podkreślała, że określenie „przyszła matka" jest nietrafne. Kobieta staje się matką w chwili, kiedy dochodzi do poczęcia. Co zresztą Kościół doskonale podkreślał i podkreśla w kulcie Najjaśniejszej Marii Panny.

Zaczęły powstawać poradnie kościelne, domy samotnej matki i tworzone były grupy wsparcia. Ważne też było oddziaływanie Półtawskiej na kapłanów. To ona z setek rozmów ze zrozpaczonymi dziewczynami znała skalę problemów, z jakimi one się zderzały. To ona uczulała księży, aby słuchali, a nie zaczynali od rzucania gromów. Wspomagał ją Karol Wojtyła, który na spotkaniach dotyczących tego problemu zwykł mawiać: „Czyja to wina, że dziewczyny chcą zabić własne dziecko?". I odpowiadał: „Wszyscy jesteśmy winni. Jedni, bo to robią, inni – bo nie reagują". Karol Wojtyła wpłynął w trakcie synodu watykańskiego na zatrzymanie akceptacji niektórych biskupów i kardynałów dla tabletki antykoncepcyjnej. Wziął do Rzymu gruby zeszyt pani Wandy, w którym zapisywała ona relacje dziewczyn ze swoich dyżurów w katolickiej poradni.

Wiele razy cytował je w trakcie posiedzenia Komisji ds. Rodziny. Pośrednio wywarło to też tak duże wrażenie na papieżu Pawle VI, że nie uległ on naciskom na rozluźnienie katolickiej nauki w kwestii aborcji. „Humana vitae" – encyklika Pawła VI o zasadach moralnych w dziedzinie przekazywania życia ludzkiego z 1968 r. – być może nie powstałaby, gdyby nie praca intelektualna wykonana przez Wojtyłę i Półtawską nad zdefiniowaniem zła aborcji.

Włoski papież rządził jeszcze dekadę, po nim był krótki pontyfikat Jana Pawła I i wreszcie tron papieski objął papież Polak. Epoka Jana Pawła II powstrzymała na 27 lat próby zmian w nauczaniu Kościoła dotyczącym świętości życia.

UKOŃCZONY BIEG

W końcu w latach 70. zaczęły powstawać grupy młodych katolików, które wprost stawiały kwestie świętości życia nienarodzonych i jego ochrony prawnej. Te środowiska miały szanse korzystać z pełnoprawnych praw obywatelskich dopiero po 1989 r. Jednak bez wpływu Wandy Półtawskiej i bez pracy nad obudzeniem sumień nie doszłoby do zniesienia prawa do aborcji na życzenie w 1993 r. Potem w 1997 r. Trybunał Konstytucyjny potwierdził prawną ochronę życia człowieka, co zostało oficjalnie zapisane w nowej Konstytucji RP.

Wanda Półtawska musiała długo czekać na godne uhonorowanie ogromnego dzieła swego życia. Dopiero w 2016 r. prezydent Andrzej Duda odznaczył ją Orderem Orła Białego. Setna rocznica jej urodzin przypomniała jednak o tym, że zaangażowanie po stronie życia wywołuje nie tylko szacunek i uznanie, lecz także zajadłą nienawiść. Zarówno tygodnik „Newsweek" Tomasza Lisa, jak i „Gazeta Wyborcza" zamieściły teksty deprecjonujące wybitną lekarkę. Pojawił się wręcz nowy wątek obwiniający Półtawską o zły wpływ na Jana Pawła II i za „patologiczny stosunek Kościoła do seksu". W myśl tych teorii „Kościół zdradził własne idee, redukując rolę kobiet do funkcji rozrodczych, stygmatyzując poczuciem winy seksualny wymiar życia ludzkiego". Nie obyło się też bez powtarzania rynsztokowych sugestii o rzekomych „niepokojących" relacjach Wandy Półtawskiej i Karola Wojtyły. To złamanie jakichkolwiek zasad dobrego smaku poprzez wykorzystywanie czyichś setnych urodzin do ataków wygląda na „rozpoznanie bojem". Zwolennicy zmian obyczajowych zdają się przygotowywać do kolejnej próby zmiany nauczania Kościoła.

W tym samym XX w. dwoje świadków barbarzyństwa obozów koncentracyjnych wyciągnęło ze strasznych wojennych doświadczeń diametralnie różne wnioski. Simone Veil – była więźniarka obozu Auschwitz-Birkenau, która była świadkiem zamordowania swojej matki i siostry – była tym ministrem zdrowia, który w 1975 r. doprowadził we Francji do legalizacji aborcji na życzenie. Wandę Półtawską doświadczenie obozu Ravensbrück pchnęło do uporczywej i wytrwałej walki o uznanie świętości ludzkiego życia.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9e340ad6ae

Pieniądz z ekranu

Łukasz Zboralski

Ekscesy, luksusy, dramaty – jeśli coś przyciąga uwagę, to youtuberzy, instagramerzy i tiktokerzy właśnie to pokażą. Bo w tym biznesie chodzi już nie tylko o dziesiątki tysięcy złotych miesięcznie, chodzi o miliony

Gdy polscy youtuberzy dopiero raczkowali, przekonywano, że może i za granicą da się zarabiać i żyć z wygłupów w sieci, ale nad Wisłą było to niemożliwe. Potem uznawano, że wprawdzie jest to możliwe, ale trzeba mieć wyjątkowe szczęście – trafić w coś, co akurat popłynie na fali zainteresowania użytkowników sieci. Nadal było to więc zajęcie dla nielicznych.

Dziś ci najlepsi zarabiają już miliony miesięcznie na tym, że ludzie klikają w ich filmiki i godziny swego życia spędzają na wpatrywaniu się w ekrany. Ci słabsi zarabiają po kilkaset tysięcy złotych. Mało znani mogą wyciągać dziesiątki tysięcy. Ważne jest to, ile razy zakręci się licznik odwiedzin. To dlatego do sieci trafiają coraz śmielsze „dzieła", włączając w to nurt tzw. patostreamerów.

NOWA TABLOIDYZACJA

Rozrywka sprzedawała się zawsze nieźle. Chleba i igrzysk – to hasło się nie starzeje, zmieniają się tylko nośniki. Inaczej nie było przecież w świecie „tradycyjnych" mediów. Telewizja od lat dostarcza niewyrafinowanej rozrywki. W prasie drukowanej zajmują się tym tabloidy. Przypomnę tylko, że jeszcze wtedy, gdy papierowe dzienniki sprzedawały się całkiem nieźle, tylko jedna z gazet drukowała prawie milion egzemplarzy w Polsce – był to „Fakt". Teraz te potrzeby zaspokaja Internet. Gdy w tabloidzie można było jedynie wydrukować historię o odkryciu jeziora, w którym wodę stanowi wódka, w sieci można nakręcić, jak ktoś się upija, upada, demoluje mieszkanie i tak dalej.

Oczywiście jest i drugi nurt – popkulturowy. Niekoniecznie trzeba szokować, by przyciągnąć widzów. Wystarczy… opowiadać im banały. Ważne, by było to zrobione efektownie – wówczas można opowiadać nawet o tym, jak napełniać szklankę wodą. A gdy dołoży się do tego przy okazji jakiegoś celebrytę, to oglądalność niejako „robi się sama".

Trzeci nurt, jaki można zauważyć, to pokazywanie luksusu. Są ludzie, którzy mimo zarabiania wielkich pieniędzy nie czują się dowartościowani. Ci chcą pokazywać wszystkim, jak bardzo się dorobili. Polubienia, kliknięcia, komentarze. Dzięki temu zyskują pewność, że inni to widzą. Są też ci aspirujący do bogactwa – tacy, którym w życiu tak dobrze nie poszło, ale selfie nie zdradza, że zostało wykonane w luksusowym samochodzie z wypożyczalni. I jak na ironię pozowanie na bogacza może faktycznie przynosić im internetowe dochody, które wywindują ich w rzeczywistości do klasy wyższej.

Ktoś mógłby pomyśleć, że przesadzam. To zapraszam każdego, by sprawdził jakiś rzeczywiście fachowy kanał YT, prawdziwego znawcę, który mówi nawet prostym językiem, i porównał liczbę odsłon jego filmu z pierwszym lepszym filmem o tym, jak znana osoba wpada do fontanny, czy „śmiesznym filmikiem" będącym zlepkiem upadków, poślizgnięć. Slapstick trzyma się mocno.

OD FILMIKÓW DO PIOSENEK

Bardzo szybko część ludzi zrozumiała, że Internet to niewymagające narzędzie dostarczania innym taniej rozrywki. A skoro zapotrzebowanie jest masowe, to i biznes jest na tym ogromny.

Jednym z najlepszych tego przykładów jest obecnie Ekipa. Czyli już prawdziwy holding założony przez młodych ludzi, którzy dokładnie trafili w gusta internetowych konsumentów. Swój przekaz kierują do nastolatków. Jednak nawet i starszym pokoleniom trudno było nie usłyszeć o Ekipie, skoro ich dzieci i wnuki walczyły o lody w papierku z logo tej firmy (same papierki sprzedawano potem na internetowych aukcjach za kilkaset złotych) lub zeszyty szkolne z marką youtuberów (w tym roku Ekipa podpisała kontrakt z firmą Herlitz i do sklepów trafiły przybory szkolne sygnowane przez młode gwiazdy sieci).

Oglądanie produkcji Ekipy na YouTube wcale nie sugeruje, że może to być

eprasa.pl 9e340ad6ae

Youtuberzy z Ekipy niedawno wysadzili w powietrze samochód za 10 tys. zł. To dla nich żaden problem, na takim filmie zarobili z pewnością wiele więcej

FOT. KAROL FRIZ WIŚNIEWSKI/YOUTUBE

tak wielki biznes. Co pokazują? Na przykład, że farbują sobie włosy albo robią imprezę. Filmują też np. przejażdżkę rollercoasterem w parku rozrywki (na fali popularności youtuberów park Energylandia podpisał z nimi umowę i w tym roku nazwał rollercoaster „Ekipa Light Explorers" oraz stworzył w parku strefę „chillu Ekipy"). Dziś oczywiście mogą sobie pozwolić i na inne filmy – wyglądające na spontaniczne nagrodzenie jednego ze swoich pracowników tym, że wręcza mu się mercedesa wartego ok. 150 tys. zł (a filmik z tego wydarzenia do dziś ma już blisko 2 mln odsłon).

OPŁACALNA WTÓRNOŚĆ

Krótko mówiąc – dla dojrzałego widza nuda. Dla tego, kto dekady temu oglądał w MTV wygłupy w „Jackass", to nawet wtórność.

Nastolatki to jednak kochają. I są świetnymi konsumentami. Nie tylko sprzedają swój czas za oglądanie filmików, w tym reklam. Chcą też mieć koszulki, czapki marki EkipaToNosi. Zresztą w wielu filmach na początku są po prostu namawiani do zakupów. To też przecież nie wszystko. Choć youtuberzy są raczej marnymi wokalistami, stworzyli „piosenki" i występują na scenie.

Ile to przynosi pieniędzy? Zaskakująco wiele. Kanał Ekipy w trzy lata (do października tego roku) zdobył prawie 2 mln subskrybentów. Filmiki w nim obejrzano ponad 315 mln razy. Milion wyświetleń dla zwykłego internetowego bloga z ustawieniem automatycznych reklam Google AdSense przynosi nawet kilkanaście tysięcy złotych wpływów. A w przypadku Ekipy doliczyć trzeba jeszcze zapewne kontrakty na reklamowanie produktów z firmami zewnętrznymi.

W jednym z wywiadów najbardziej rozpoznawalny z Ekipy – Karol „Friz" Wiśniewski – zdradził, ile spółka (bo w takiej formie już prowadzą działalność) miała rocznego obrotu. Okazało się, że kilkanaście milionów złotych.

Z innych źródeł wynikało, że miesięczny przychód youtuberów może oscylować wokół miliona złotych. Robi to jeszcze większe wrażenie, gdy weźmie się pod uwagę, że rok temu wszyscy youtuberzy skupieni w największej tego typu sieci partnerskiej w Polsce – LifeTube – zarobili w sumie ponad 42 mln zł.

Najciekawszy jest fakt, że nie trzeba tworzyć prawdziwego przemysłu, tak jak robi to Ekipa (dziś ma już willę w Krakowie, w której kręci swoje filmy), by wpuszczaniem filmów do sieci przebijać wielokrotnie średnią pensję w Polsce, która wynosi obecnie 5852 zł brutto.

Nie tak bardzo rozpoznawalny youtuber, który wpadł na pomysł prowadzenia wywiadów podczas jazdy samochodem Fiat 126p (zaprasza do niego znane postacie – milionerów, celebrytów, piosenkarzy), przyznawał na kanale „Duży w maluchu", że jego obroty mogą sięgać 100 tys. zł miesięcznie.

KILKADZIESIĄT TYSIĘCY ZŁOTYCH MIESIĘCZNIE

Jak ujawnił rok temu LifeTube, twórcy internetowych filmików z samego wyświetlania w nich reklam zarabiają miesięcznie po kilkadziesiąt tysięcy złotych. Średni (!) miesięczny dochód z samych reklam wśród najlepszych polskich youtuberów wynosił w poszczególnych gałęziach: 28,5 tys. zł (rozrywka), 24,7 tys. zł (gry komputerowe), 10 tys. zł (edukacja), 9,9 tys. zł (hobby/kanały tematyczne), 8,4 tys. zł (branża beauty/lifestyle).

Sama płatność z wyświetlanych reklam zależy od wskaźnika RPM (dochód na tysiąc wyświetleń), a ten zależy od wielu czynników i potrafi się wahać. Z szacunków wynika jednak, że influencerki, które pokazują filmiki z kosmetykami, za milion wyświetleń jednego nagrania zarabiają na samych reklamach 5,5 tys. zł.

A przecież do tego należy doliczyć jeszcze zarabianie na promowaniu marek. Te przy wysokiej oglądalności kanałów są w stanie wydawać na to wiele – bo po prostu docierają do wielkiej liczby potencjalnych konsumentów. Tu zarobki kształtowane są w zależności od tego, jak popularny już jest twórca w sieci. Ten z niską widownią w zamian za pokazywanie pewnych produktów dostanie je za darmo od firmy. Ci, którzy mają wysoki status, podpisują pojedyncze kontrakty warte nawet 250 tys. zł (oczywiście przy promowaniu marek przez influencerów w sieci pojawia się problem tego, czy lokowanie produktu jest właściwie uświadamiane odbiorcom, to jednak już historia na zupełnie inny tekst).

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9e340ad6ae

Łączna liczba słuchaczy Maty w marcu 2021 r. była 10 razy wyższa niż liczba odsłuchań piosenek Maryli Rodowicz

FOT. MARCIN BIELECKI/PAP

Nieznośne dziecko klasy średniej

Agnieszka Niewińska

Raper Mata rozgłos zdobył przed dwoma laty singlem o patologiach wśród młodzieży z bogatych domów. Teraz bije rekordy odtworzeń swoich utworów

Dietetycy i promotorzy zdrowego stylu życia zobaczyli zestaw w McDonald's sygnowany przez popularnego wśród młodych rapera Matę i zamarli z przerażenia. „Matcha latte zawiera w porcji 241 kcal, 9,2 g tłuszczu i aż 36 g cukru, czyli... siedem łyżeczek!" – biła na alarm Katarzyna Bosacka, autorka programów i książek o zdrowym odżywianiu, dodając, że sam potrójny cheeseburger z tego zestawu ma aż 548 kcal, 15 g szkodliwych tłuszczów. „Dlaczego dzieci jedzą śmieci? Bo bez obciachu promują je znane nazwiska" – podkreśliła Bosacka.

O nadmiarze kalorii McDonald's milczy. Za to tłumaczy, skąd pomysł na współpracę z raperem. – Chcemy być blisko naszych gości, dlatego angażujemy się we współpracę z artystami, których twórczość ma dla nich znaczenie. Mata jest właśnie jednym z nich – mówi Anna Borys, dyrektor ds. relacji korporacyjnych w McDonald's.

Raper Mata, czyli Michał Matczak, to pierwszy polski artysta z własnym zestawem McDonald's, został także zaproszony przez sieć do stworzenia własnej limitowanej kolekcji ubrań. Ale dietetyczna burza to niejedyny powód, dla którego o tym twórcy (rocznik 2000) w ostatnich tygodniach znów zrobiło się głośno. Zdążył w tym czasie wydać płytę, która jeszcze w przedsprzedaży pokryła się podwójną platyną, zrobić szum wokół koncertu, na którym udało mu się zgromadzić ponad 30-tysięczną widownię skandującą „je..ć PiS" i odlecieć z niego helikopterem. Rodzimym mediom nie umknęło także to, że został bohaterem artykułu w „The New York Times". Skąd ta popularność artysty, który ledwo co wszedł w dorosłość?

„SZCZYL Z KLASY ŚREDNIEJ"

Już samo zainteresowanie rapem to u Matczaka pewien paradoks. – Nie jestem dzieciakiem z bloków, tylko szczylem z klasy średniej, wychowanym na strzeżonym osiedlu, który zajawił się rapem przez „Jesteś Bogiem" [film, którego fabuła inspirowana jest historią hiphopowej grupy Paktofonika – przyp. red.]. Na początku miałem zresztą bana na ten film, bo tam przeklinali, a ja byłem wychowywany pod kloszem – mówił w 2019 r. w rozmowie z serwisem Newonce. – Ludzie z mojego środowiska, z bananowych szkół, nie słuchali jednak takiej muzyki – dodawał.

Matczak skończył renomowane warszawskie liceum im. Stefana Batorego. Zdał tam międzynarodową maturę. W eseju maturalnym napisał o ewolucji języka w polskim hip-hopie. – Koledzy pisali o Kafce i Dostojewskim, ja uznałem, że mam to w dupie, piszę se o Tedziku i kozacko – opowiadał we wspomnianym wywiadzie, dodając, że z rodzicami miał umowę: najpierw matura, potem kariera.

Na pierwsze nagranie przyjechał z tatą. – Mieliśmy w szkole dzień galowy, więc byłem w garniturze. Mój tata pracuje w korporacji, więc też był w garniturze. Podjechaliśmy pod studio, weszliśmy jak faceci w czerni – opowiadał cgm.pl. Dodając, że do dziś śmieje się z tego pierwszego w życiu nagrania w garniturze, bo utwór zatytułowany „Klubowe", który wówczas nagrywał, kontrastował ze strojem. Szersza publiczność poznała Matę za sprawą jego utworu „Patointeligencja", który zadebiutował w grudniu 2019 r. Tekst opisywał życie nastolatków z elitarnych i bogatych rodzin, w którym nie brakuje imprez, narkotyków, alkoholu, nastoletnich ciąż. „Mój ziomo w pierwszej LO zjarał Amsterdam pierwszego września", „Mój ziomo miał piersiówę, którą uzupełniał / W termosie trzymał wódę i ściemniał profesorom, że to herba" – recytował w „Patointeligencji" Mata.

O utworze usłyszeli nawet ci, którzy znaczenie oczywistych wśród fanów hip-hopu terminów takich jak „nawijka",

eprasa.pl 9e340ad6ae

„dissowanie" czy „pancz" muszą sprawdzać w słowniku. Wokół „Patointeligencji" wybuchła burza związana nie tylko z tym, że w teledysku Mata wystąpił na tle budynku i w bluzie liceum im. Stefana Batorego, co niespecjalnie ucieszyło dyrekcję placówki. Dyskutowano o obyczajach dobrze sytuowanej młodzieży i jej wychowaniu. Głos w sprawie zabrali m.in. Magdalena Środa i Tomasz Terlikowski, Krystyna Pawłowicz i Jarosław Jakimowicz. Klip pokazały telewizyjne „Wiadomości" jako zwieńczenie materiału o reformie sądownictwa. Utwór, według dziennikarza, miał być dowodem na patologię elit – także tych prawniczych, bo Mata to syn prawnika i wykładowcy Uniwersytetu Warszawskiego prof. Marcina Matczaka, który bryluje w mediach, nie szczędząc krytyki partii rządzącej.

Dawid Bartkowski, bloger z goodkid.pl, dziennikarz muzyczny i dyrektor artystyczny Polish Hip-Hop Festival, podkreśla jednak, że jeszcze przed „Patointeligencją" w branży hiphopowej Mata nie był postacią anonimową. – Nie będąc długo na rynku, z każdym kolejnym utworem zdradzał swój duży potencjał i budził coraz większe zainteresowanie. Singiel pozwolił mu tylko jeszcze mocniej wypłynąć i dzięki temu trafić do szerszych kręgów, które na co dzień z rapem mają niewiele albo nic wspólnego – mówi Bartkowski

„Patointeligencja" znalazła się na debiutanckim albumie studyjnym Maty z 2020 r. „100 dni do matury", który uzyskał status poczwórnej platynowej płyty i był w 2020 r. najczęściej odtwarzanym polskim albumem na platformie streamingowej Spotify. Na YouTube liczba odsłon niektórych jego utworów dobija do 60 mln.

Kim są fani Maty? – Najprościej mówiąc: wszyscy – rówieśnicy, ludzie z korporacji, alternatywne środowiska itd. Ludziom podobają się jego historie – ten luz, wizerunek nieznośnego dziecka z dobrych kręgów, ale też inteligentnego młokosa, który dla jednych działa zgodnie ze swoimi zasadami, dla innych zaś chłodno kalkuluje, żeby osiągnąć swój cel – mówi Bartkowski. – Nawet jeśli prawda leży gdzieś pośrodku, to nie można powiedzieć, że Matczak jest słabym raperem. Jest dobry w tym, co robi, i potrafi to doskonale sprzedać wszystkim.

RYM O ŚWIĘTYM OJCU

W marcu tego roku ukazał się kolejny utwór z przedrostkiem „pato". Tym razem „Patoreakcja", w którym Matczak opowiada o tym, co wydarzyło się wokół niego po premierze „Patointeligencji". „Wstałem jak co dzień rano i się okazało, że świat poje..ło / Dzwonią telefony u mnie na chacie / Dzwonią telefony moim ziomalom / Chcą wiedzieć wszystko o Macie, wszystko o Pato". W utworze nie zabrakło odniesień nie tylko do Krystyny Pawłowicz, lecz także do Jarosława Jakimowicza. Mata zaśpiewał też o ojcu: „A media PiS-owskie chciałyby zająć się Matą seniorem / To święty człowiek / A to, co robię, jest moim wyborem". I w mało parlamentarny sposób ocenił TVP. „Je.ać Telewizję Polską / Jacek Kurski ch.j ci w dziąsło".

Utwór ten znalazł się na wydanej przed miesiącem płycie „Młody Matczak", a raper znów brylował w mediach. W „Polityce" wywiad przeprowadził z nim Kuba Wojewódzki, który zresztą pojawiał się w teledysku do „Patoreakcji". Dopytywał o słowa skierowane do Kurskiego. Mata przyznał, że tekst skonsultował z ojcem prawnikiem. „Powiedział, że zwrot literacki »Ch.j ci w dziąsło«, podobnie jak zwrot »spier..laj«, nie jest zwrotem, który zniesławia. Nie jest też namową do czynienia tego panu prezesowi".

– Jestem trochę uzależniony od adrenaliny – zdradził „The New York Times". A tej z pewnością mu ostatnio nie brakuje, bo bije kolejne rekordy. Trzydziestotysięczna publiczność, którą zgromadził na koncercie na Bemowie, jest jak dotąd największą, jaką w pojedynkę zgromadził polski raper. – Były już wydarzenia o podobnej skali w polskim rapie, chociażby trasa i koncerty Taconafide, czyli duetu Taco Hemingway i Quebonafide – zastrzega Bartkowski. – W przypadku Maty jest to o tyle ciekawsze, że jego kariera potoczyła się jeszcze szybciej, bez długiego budowania pozycji na scenie. Jak się okazało, wystarczyło to do tego, żeby zrobić tak spektakularne wydarzenie, o którym będzie się mówiło jeszcze latami.

Mata znalazł się też na 198. miejscu listy Billboard Global 200. Jest pierwszym polskim artystą, który na nią trafił. Zapewniła mu to liczba odtworzeń singla „Kiss cam". Czy to szansa na zagraniczną ekspansję? Dawid Bartkowski jest zdania, że na razie w przypadku Maty można mówić o popularności w wymiarze lokalnym. – I jeszcze przez długi czas tak pozostanie. Nie wiadomo, czy moda na Matę kiedykolwiek będzie miała przełożenie na inne rynki, również w krajach ościennych. Nawet jeśli uda mu się szerzej zaistnieć poza granicami naszego kraju, to raczej w formie jednorazowej, sezonowej ciekawostki. Główną barierą jest język polski, który dla zachodniego odbiorcy jest zbyt trudny do zrozumienia – argumentuje Bartkowski.

WIĘKSZY NIŻ MARYLA, CO NIE?

Nie ma powodu, by młody raper, tak jak inni artyści, nie odcinał kuponów od popularności – choćby i za sprawą kontraktu z McDonald's. Eksperci branży reklamowej szacują, że za udział w kampanii mógł otrzymać nawet sześciocyfrową kwotę. Kolekcja sygnowanych przez niego ubrań rozeszła się w kilka minut. Ile zestawów Maty sprzedano? McDonald's nie ujawnia. – Efekty kampanii są zgodne z naszymi oczekiwaniami – zapewnia Anna Borys.

Popularność syna wykorzystuje także jego ojciec. We wrześniu do księgarń trafiła książka prof. Marcina Matczaka „Jak wychować rapera. Bezradnik", którą prawnik intensywnie promuje, a na głosy krytyki swego dzieła reaguje nader emocjonalnie. W książce chwali się tym, jaki wpływ ma Mata na młodych ludzi, i dokonuje egzegezy synowskich tekstów.

Zachwyca się rzekomo pokojowym przekazem utworu „Schodki" z wersami w rodzaju: „Jebie nas to, że stare baby na Powiślu nie mogą zasnąć/ Jebane młotki zostawcie nasze schodki". Podaje też, że w zeszłym roku łączny czas odtworzeń utworów Maty wyniósł 9 mln godzin. „To tak, jakby ktoś zaczął go słuchać w roku 988 naszej ery i nigdy nie przestał" – dzieli się bombastycznym porównaniem. Nie stroni od zestawiania syna z największymi gwiazdami polskiej estrady. „Łączna liczba słuchaczy Michała w marcu 2021 r. była 10 razy wyższa niż liczba odsłuchań piosenek pani Maryli Rodowicz (milion do stu tysięcy). To dopiero robi wrażenie, co nie?".

Czy Mata będzie wykręcał kolejne rekordy na Spotify i przyciągał coraz to większe rzesze na koncerty? A może pójdzie na studia? – Chcę, żeby nikt nie mógł przewidzieć mojego następnego kroku – mówił przed dwoma laty w rozmowie z Newonce. Zdaniem jego ojca jednym Mata nas nie zaskoczy: „Mój Syn nigdy nie stanie się Faszystą, bo nie jest Potencjalnym Faszystą" – obwieścił w swojej książce. Fani po tej deklaracji z pewnością odetchnęli z ulgą.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9e340ad6ae

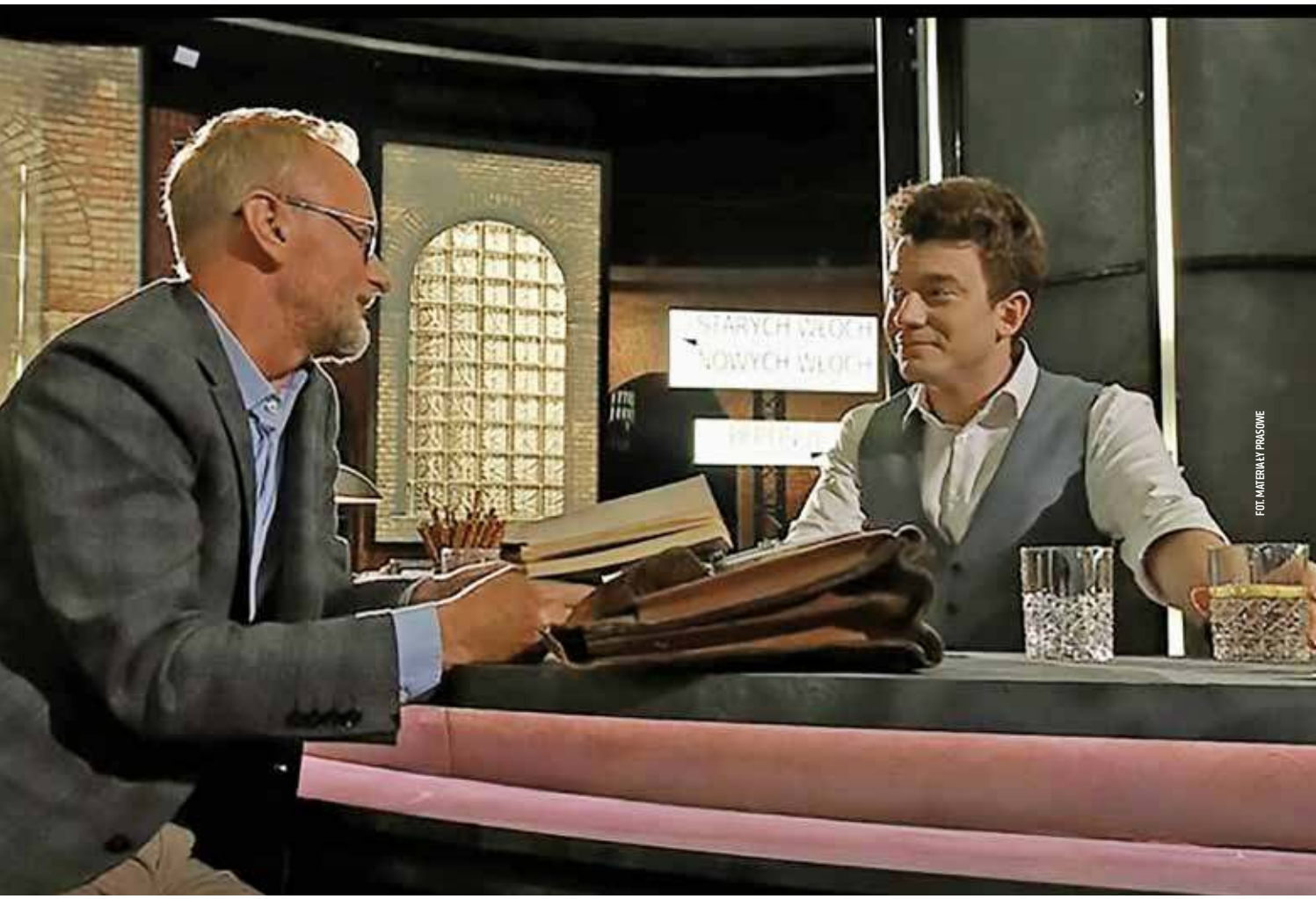

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Dwie strony bufetu

Tomasz Zbigniew Zapert

„Następna stacja – Marek Nowakowski" – przedstawienie Teatru TVP, którego premiera nastąpi 8 listopada o godz. 21 w telewizyjnej Jedynce, przybliży sylwetkę Marka Nowakowskiego

Miejscem akcji tego widowiska słowno-muzycznego jest opuszczona stacja kolejowa. Jej charakter oddaje przaśna scenografia, której centralny punkt stanowi bufet. Spotykają się przy nim podróżny z bagażem przeszłości (Andrzej Mastalerz) oraz współczesny barman (Krzysztof Szczepaniak). Ich lakoniczne konwersacje toczone przy kontuarze stają się uwerturą konstrukcyjną opowieści o życiu i twórczości Marka Nowakowskiego – jednego z najwybitniejszych polskich pisarzy współczesnych.

Spektakl ilustrują fragmenty filmów dokumentalnych z jego udziałem oraz materiały archiwalne przypominające czasy, w których tworzył. Wykorzystane zostaną też wypowiedzi twórcy oraz akapity prozy Nowakowskiego, czytane przez aktorów. O stronę tonalną sztuki zadbają dwie formacje muzyczne: Kasia Sochacka z zespołem oraz Eldo z zespołem, które wykonają osiem premierowych piosenek.

Nie jest to pierwsza próba przedstawienia pisarstwa autora „Raportu o stanie wojennym" na deskach teatralnych. Szczególne zasługi ma w tym nieżyjący już, niestety, Krzysztof Zaleski, adaptujący utwory prozaika zarówno dla radia,

eprasa.pl 9e340ad6ae

sceny stacjonarnej, jak i telewizyjnej. Na szklany ekran przeniósł – w roku 2004 – jedno z jego dzieł flagowych, „Księcia nocy", z Janem Fryczem w roli tytułowej i partnerującymi mu między innymi: Anną Polony, Marią Ciunelis, Maciejem Zakościelnym, Piotrem Adamczykiem, Wojciechem Solarzem, Tomaszem Dedkiem oraz muzycznym znajomym Nowakowskiego, Jerzym Tatarakiem – grał na saksofonie w wielu warszawskich przybytkach gastronomicznych – w epizodzie saksofonisty właśnie.

„BENEK KWIACIARZ" I INNI

Spektakl ukazywał polskie realia przez pryzmat dołów społecznych. Bowiem pisarz wielokrotnie wykorzystywał jako tworzywo literackie relacje lumpów, paserów, prostytutek, doliniarzy, bukmacherów czy hazardzistów, funkcjonujących na obrzeżu spraw i reguł codzienności. Zaciekawiony kolorytem, witalnością i bezwzględnością tego nieujarzmionego przez komunę środowiska, a także rygorystycznym przestrzeganiem przez nie specyficznego kodeksu zachowań, swoistej suwerenności oraz wewnętrznej solidarności, uczynił z niego zbiorowego bohatera wielu swoich tekstów. Zwłaszcza u progu przygody pisarskiej – wspomnijmy zbiory opowiadań „Ten stary złodziej" czy „Benek kwiaciarz".

De facto nigdy tej tematyki nie porzucił, poszerzając jedynie krąg opisywanych o przeciętnych zjadaczy chleba, jak też osoby w jakiś sposób się wyróżniające (np. wywodzący się z warszawskiej burżuazji Adam Mauersberger, wieloletni dyrektor Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza, ambasador PRL w Paryżu Stanisław Gajewski, potomek żydowskiej plutokracji, zapomniani czy raczej przemilczani w Polsce Ludowej literaci pierwszej gildii: Julian Wołoszynowski, Sergiusz Piasecki czy Stanisław Rembek tudzież Andrzej Roman, ceniony dziennikarz sportowy, przez dekady czołowa postać Warszawki). Dyskretnie wplatał w te treści elementy autobiograficzne, niejako dowodzące, że oscylował między ferajną a socjetą.

Taką właśnie rolę powierzył w „Księciu nocy" swemu alter ego, Krzysztofowi, nastolatkowi z rodziny nauczycielskiej, wkraczającemu w dorosłość w podnoszącej się z wojennej hekatomby stolicy.

Ojciec Krzysztofa, ekspiłsudczyk, uczestnik wojny 1920 r., szlachetny pozytywista, nie rozumiał, czemu akces do partii komunistycznej staje się po drugiej wojnie światowej warunkiem sine qua non do zachowania stanowiska dyrektora szkoły powszechnej. Żona nakłania go, aby nie próbował tego pojmować, lecz podporządkował się nowym wytycznym, gdyż w przeciwnym razie sprowadzi na rodzinę kłopoty.

Jakże inaczej, w oczach Krzysztofa, podchodzi do realiów poznany przypadkowo król stołecznego półświatka. Ten sutener, hedonista, cynik i birbant zostaje bożyszczem młodzieńca. Zafascynowany jego egzystencją oraz oczarowany podskórnym funkcjonowaniem miasta gruzów chłopak odwiedza ze swym przewodnikiem paserskie meliny, podejrzane spelunki, szulernie, bazarowe kramy. Zaznajamia się z kolejnymi osobami funkcjonującymi na peryferiach życia. Stara się naśladować „Księcia nocy". Skrzętnie podgląda jego zachowania. Nacechowane lekkomyślnością, drwiną, arogancją, konfabulacją... Zauroczony tym wszystkim ucieka z domu, zamierzając dołączyć do poznanego towarzystwa niebieskich ptaków. Aby w końcu przekonać się, że ów mentor to w rzeczywistości kabotyn, blagier, mitoman i kryminalista, który w końcu ląduje w celi więziennej. Skąd po latach odsiadki wychodzi wyraźnie przygaszony i bezradny. Wegetuje na dworcu, wspominając dawne przewagi. A dorosły już Krzysztof, który zszedł na drogę ku zatraceniu, ma już za sobą literackie juwenilia.

MOTYW KOLEJOWY

Trzynaście lat temu Zaleski inscenizując inną prozę Nowakowskiego, też wykorzystał motyw kolejowy. W stołecznym Teatrze Współczesnym wystawił spektakl zatytułowany „Wagon". Zmierzał on poprzez nasze dzieje najnowsze. Akcja sztuki rozpoczynała się w roku 1945, zaś kończyła już w XXI stuleciu. Bohaterami byli pasażerowie i kolejarze, opowiadający o swoich przeżyciach korelujących z krajowymi przemianami społeczno-obyczajowo-politycznymi. Występowali m.in.: Joanna Jeżewska, Monika Krzywkowska, Krzysztof Banaszyk, Jacek Bursztynowicz, Damian Damięcki, Piotr Garlicki oraz Maciej Marczewski.

W Teatrze TVP jako pierwszy zmierzył się z twórczością Nowakowskiego Jerzy Zalewski. W przedstawieniu pt. „Psie głowy" ukazał spauperyzowanych, rozpitych i zdemoralizowanych pracowników (Jan Peszek, Jerzy Trela, Mariusz Bonaszewski, Eryk Lubos) upadłego PGR (czy to jeszcze czytelny skrót?) Psie Głowy.

Po transformacji ustrojowej znaleźli ukojenie w najtańszym i najpodlejszym alkoholu. Nabywanym nierzadko „na krechę" – regulowaną systematycznie po otrzymaniu zasiłku dla bezrobotnych – w lokalnym sklepiku prowadzonym przez życzliwą i na swój sposób charyzmatyczną sprzedawczynię (Ewa Dałkowska). Opróżniając kolejne flaszki, rozpamiętywali swą przeszłość postrzeganą niemal rajsko.

Ich przeciwieństwem był nuworysz (Daniel Olbrychski). W podejrzanych okolicznościach przejął państwową ziemię i wciąż pomnażał kapitał poprzez kolejne, niejasne transakcje. Na ekranie oglądaliśmy również... autora literackiego pierwowzoru. Towarzyszył wykreowanym przez siebie figurom, milcząc.

„»Psie Głowy« są pozycją wyjątkową na tle obecnego repertuaru telewizyjnego. To nie jest sztuka lekka, łatwa i przyjemna, tylko ostre pranie polskich brudów przy otwartej kurtynie. [...] Im dalej zagłębiamy się w trans podlewany piwem, winem i gorzałką – tym bliżej jesteśmy prawdy o naszym narodowym delirium tremens. [...] To oczyszczający taniec św. Wita, danse macabre żywych trupów, których alkohol popycha do grobu. A może do poznania prawdy, bo tylko ona może nas uratować" – entuzjazmował się recenzent „Rzeczpospolitej", Jacek Cieślak.

Czy podobne tony zabrzmią po emisji „Następnej stacji – Marek Nowakowski"?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

„Następna stacja – Marek Nowakowski", reżyseria: Tomasz Motyl, obsada: Andrzej Mastalerz, Krzysztof Szczepaniak. W widowisku wykorzystano filmy powstałe według scenariuszy Marka Nowakowskiego: „Gonitwa" – reż. Zygmunt Hübner, „Meta" – reż. Antoni Krauze (jeden z najdłuższych „półkowników" PRL), „Siedem czerwonych róż" – reż. Jerzy Sztwiertnia, a także dokumenty telewizyjne z udziałem pisarza: „Powidoki Marka Nowakowskiego" – realizacja: Krzysztof Kalukin, „Tam, gdzie się ludzie umawiali"– scenariusz i reżyseria: Dżamila Ankiewicz oraz „Warszawa, ja i Ty" – scenariusz i reżyseria: Stanisław Cześnin, Dobrosław Kobielski.

eprasa.pl 9e340ad6ae

Dziecię mafii

Piotr Gociek

Młody Tony Soprano – zdolny, ale leniwy – miał być futbolistą, a nie gangsterem. Co poszło nie tak? „Wszyscy święci New Jersey” przynoszą odpowiedź

Zaczyna się jak u Neila Gaimana w „Księdze cmentarnej” albo w filmie „Przerażacze” Petera Jacksona: trafiamy na cmentarz, a tam umarli mówią. Ukryci pod kamiennymi płytami wspominają, kim byli i co się z nimi stało. Jednym z nich jest Chris Moltisanti, narrator mocno nietypowy, bo choć mówi do nas zza grobu, to opowiada o wydarzeniach, które miały miejsce, kiedy był oseskiem. W jednej ze scen zresztą oglądamy małego Chrisa, który zanosi się płaczem na widok wujka Tony’ego. Cóż, widzicie, ten wujek to nie kto inny jak Tony Soprano. A maleńki Chris wyrośnie na dużego Christophera, ważną figurę w serialu „Rodzina Soprano”. Film „Wszyscy święci New Jersey” („The Many Saints of Newark”) jest bowiem wstępem do serialu i opowiada o młodości pana Soprano.

Owa młodość podzielona jest na dwie części: najpierw trafiamy na gorące lato roku 1967. Tutaj Tony ma lat osiem (gra go William Ludwig) i jest dzieciakiem, który nie tylko wykazuje wielkie zainteresowanie tym, co naprawdę robią dorośli, lecz także próbuje ich naśladować – stąd choćby pomysł na zorganizowanie gry hazardowej w szkole i szybkie zarobienie kilku dolarów. W połowie filmu akcja skacze o kilka lat w przód i mały Soprano staje się nastolatkiem, a w jego rolę wciela się Michael Gandolfini, czyli syn Jamesa Gandolfiniego, który z tak wielkim sukcesem zagrał główną postać serialu „Rodzina Soprano”. Pomysł obsadowy był świetny, młody Michael po prostu jest młodym Tonym – fizyczne podobieństwo, mowa ciała, tiki, wszystko pasuje. Michael Gandolfini ma poza tym aktorski talent, który pokazał niedawno w filmie braci Russo „Cherry”.

Jednak to wcale nie młody Soprano stoi w centrum tej opowieści. Film reklamowany hasłem „Who made Soprano” – czyli kto uczynił z przyszłego bohatera serialu takiego, a nie innego człowieka – pokazuje, zgodnie z tą obietnicą, przede wszystkim ludzi wokół. Matka Tony’ego (świetna Vera Farmiga) jeszcze nie jest tak szurnięta jak później, ale widzimy początki kłopotów. Ojciec – w tej roli Jon Bernthal – szybko trafia do więzienia, a zastępuje go podziwiany przez chłopaka wujek, Dickie Moltisanti (Alessandro Nivola).

To właśnie Dickie Moltisanti jest głównym bohaterem „Wszystkich świętych New Jersey”, to jego wybory odcisną się największym piętnem na młodym Soprano. Dickie jest szybko wschodzącą gwiazdą mafijnej rodziny, co nie jest łatwe, bo nie jest prawdziwym Soprano – to tylko ich żołnierz, choć zaufany. Dickie jest synem sycylijskiego mafiosa (Ray Liotta), który właśnie wrócił ze starego kraju i przywiózł stamtąd piękną młodą żonę niemówiącą ani słowa po angielsku.

Fani serialu „Rodzina Soprano” z zapałem śledzić będą elementy fabuły i postacie, które były ważne w przełomowej produkcji HBO, dla pozostałych widzów najważniejsze pytanie brzmi: Czy „Wszyscy święci New Jersey” bronią się jako osobny film czy jedynie jako prequel,

eprasa.pl 9e340ad6ae

Film „Wszyscy święci New Jersey" jest wstępem do serialu i opowiada o młodości pana Soprano

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

dziwaczna origin story Tony'ego Soprano? Odpowiedź nie jest łatwa, bo i tak, i nie.

OPOWIEŚCI Z KOZETKI

Bez wątpienia jest potencjał w historii Moltisantiego, małego człowieczka do niewiele większych interesów, którego ambicje wyrastają ponad jego umiejętności i potencjał. Chciałby więcej, chciałby szybko, z jednej strony zżera go zazdrość (która doprowadzi go do czynów ponurych), z drugiej całkiem niezły z niego ojciec zastępczy dla Tony'ego Soprano – relacja między tą dwójką to najciekawsze fragmenty filmu. Jest jednak tego za mało, bo fabułę obliczono na dwie godziny, a zapakowanego w nie materiału starczyłoby na kilka filmów. A może ten prequel popularnego serialu po prostu powinien być serialem? Bo oprócz skomplikowanych relacji wewnątrz rodziny Soprano oraz rodziny Moltisanti dostajemy jeszcze szybką lekcję historii. Akcja „Wszystkich świętych New Jersey" zaczyna się w dniach, gdy wybuchają krwawe zamieszki na tle rasowym, a jedną z głównych postaci dramatu jest także czarnoskóry Harold, kumpel i współpracownik Dickiego, któremu zamarzy się w pewnym momencie niezależność. Ta zaś w świecie przestępczym oznacza wojnę o to, kto, gdzie i jak ma zarabiać. Tu film Alana Taylora zaczyna trochę przypominać czwarty sezon „Fargo" (o rywalizacji żydowskich i afroamerykańskich gangsterów).

Mamy zatem dwa główne problemy. Po pierwsze, film, który prosiłby się o epickość rodem z klasyki Scorsesego czy Coppoli albo przynajmniej wnikliwość i dramaturgię znaną z serialu „Rodzina Soprano", zawisa gdzieś pomiędzy tymi drogami i nie wybiera żadnej z nich. Po drugie, to, co widzimy na ekranie, często widzieliśmy wcześniej w innych filmach (skojarzenia z „Chłopcami z ferajny" narzucają się same) i choć pojedyncze elementy bywają wykorzystane ciekawie, to całość robi wrażenie powtórki z rozrywki. Wreszcie jako człowiek, który obejrzał „Rodzinę Soprano" trzy razy, zastanawiam się nad tym, czy rzeczywiście cały ten melanż był potrzebny. Młodość Tony'ego Soprano poznawaliśmy w retrospekcjach, w jego wspomnieniach i opowieściach snutych na kozetce pani psychoanalityk. Pewne rzeczy były wyjaśnione, inne tylko zasygnalizowane, rozwiązywaliśmy tę łamigłówkę wraz z głównym bohaterem. Czy w tej materii „Wszyscy święci New Jersey" przynoszą jakieś objawienie? Otóż nie. O trudnych relacjach Tony'ego z rodzicami wiedzieliśmy, nowością tak naprawdę jest tylko wprowadzenie postaci opiekuna/kumpla/zastępczego ojca, czyli wspomnianego Montisantiego.

★★★☆☆☆

ALAN TAYLOR
„WSZYSCY ŚWIĘCI NEW JERSEY" („THE MANY SAINTS OF NEWARK")
USA 2021

wyst. Alessandro Nivola, Michael Gandolfini, Vera Farmiga

Jeśli chodzi o samą postać młodego Tony'ego Soprano, to w filmie Alana Taylora widzimy, że chłopak nie był wychowywany na żadnego przyszłego kapo. Wręcz przeciwnie, Dickie oraz mężczyźni z rodziny Soprano trzymali młodego z dala od brudnych interesów. Tony miał iść na studia, miał zostać gwiazdą futbolu amerykańskiego, miał prowadzić inne życie. Z drugiej strony nauczyciele, podkreślając jego potencjał, sygnalizowali: zdolny, ale leniwy. Wujowie za jego plecami kręcą głowami – szybki i silny, ale na zawodowca to nie wystarczy. Czyżby odpowiedź na pytanie: „Jak zostałem gangsterem?" brzmiała: „Bo tak jakoś wyszło?" (celowo prowokuję, nie chcąc zdradzać szczegółów fabuły).

ZBYT WIELE HISTORII NARAZ

Twórcy „Wszystkich świętych New Jersey" chcieli opowiedzieć naraz zbyt wiele historii. Film jest więc o dorastaniu Tony'ego, o mafijnej zdradzie, o rywalizacji gangów, o politycznym przebudzeniu czarnej mniejszości, o rasizmie, o Wietnamie – za dużo tego, powtórzę, wolałbym serial. A jak za dużo, to po łebkach, to zamiast zwartej fabuły opowieść staje się kolekcją ciekawie zakomponowanych scen, ale sztuka dodawania nie jest jeszcze sztuką opowiadania.

A jednak nie mogę w czambuł potępić tego filmu. Są w nim rzeczy, które bardzo mi się podobają. Wspomniana scena otwierająca film (cmentarna), świetne sceny w więzieniu, gdzie Dickie odwiedza swego stryja odsiadującego wyrok za morderstwo (stryj jest bratem bliźniakiem ojca, więc też gra go Ray Liotta). Dyskusje w sali widzeń to odpowiednik psychoterapii Tony'ego w serialu, a Ray Liotta jest znakomity. Młody Michael Gandolfini również, aż żal, że tak mało go dostajemy – może wkrótce to się zmieni, bo podobno HBO nie wyklucza możliwości produkcji kolejnego pełnometrażowego filmu. W ogóle obsada jest tu trafiona, stąd nieustanne poczucie niedosytu – dajcie tym postaciom więcej do zagrania! No i kapitalny jest moment, gdy przez centrum zrujnowanego zamieszkami Newark jeden z bohaterów kroczy przy dźwiękach płynącego zza kadru wiersza afroamerykańskiego poety Gila Scotta-Herona „Your Soul and Mine" (słowa barda pojawią się zresztą także w innej scenie pod koniec filmu, kiedy Harold sceniczne wezwanie do zrzucenia łańcuchów niewoli potraktuje jako zachętę do emancypacji czarnych gangsterów).

Na razie film „Wszyscy święci New Jersey", choć obecnie pokazywany w kinach, sprawił, że wielki ruch zaczął się w internetowych zasobach HBO – oto nagle na całym świecie widzowie streamingu zaczęli na nowo oglądać oryginał, czyli serial „Rodzina Soprano". Słusznie, jest tego wart. A że dwugodzinna reklama w formie filmu kosztowała 50 mln dol.? To nie tak wiele jak na współczesne budżety potentatów telewizji premium. Przecież na sam pierwszy odcinek „Zakazanego imperium" HBO wydało ponad 20 mln.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9e340ad6ae

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

A więc wojna!

★★★★★★

SEZON 3
„SUKCESJA" („SUCCESSION")
USA 2021

wyst. Brian Cox, Jeremy Strong, Kieran Culkin

Trzeci sezon „Sukcesji" zaczyna się z przytupem, od miejsca, w którym skończył się sezon drugi: ciężkie publiczne oskarżenia wysunięto pod adresem magnata medialnego i miliardera. Co gorsza, zrobił to jego własny syn. Doczekaliśmy się więc tego, co sygnalizowane było od samego początku tej błyskotliwej serii – kto chce władzy i fortuny, ten musi ją wziąć kosztem ofiar. A jako że rzecz dzieje się w rodzinie, ofiarą musi paść patriarcha.

„Sukcesja" to połączenie „Dynastii" (ach, uwielbiamy obserwować kłopoty obrzydliwie bogatych!) oraz „Gry o tron" – wszystko kręci się tu wokół tego jednego miejsca na szczycie, z którego rządzić można wszystkim. Tyle że w porównaniu z bohaterami „Sukcesji" nawet dwulicowe łotry z sagi fantasy Martina okazują się prostoduszne i łagodne. Oczywiście serial wymyślony przez Jesse'ego Armstronga wpisuje się we współczesną modę na wyszydzanie bogaczy i składanie na ich barki odpowiedzialności za wszystkie grzechy świata. Jednak podsumowanie go w ten sposób byłoby niedopuszczalnym uproszczeniem. W istocie jest to czarna satyra na wszystko, co w ludzkiej naturze niefajne. A w sezonie trzecim widzimy to szczególnie wyraźnie, bo kiedy tlący się dotąd konflikt wybuchnie otwarcie (i jakże spektakularnie!), chwytom poniżej pasa końca nie będzie. Niczym w „Breaking Bad" nader często zamiast wyborów między dobrem a złem pojawiają się wybory między różnymi rodzajami zła, a kompasem ostatecznie stają się chciwość, bezwzględność i dbanie o własny interes.

Wielką zaletą „Sukcesji" jest utrzymanie nie tylko poziomu scenariusza, lecz także klimatu produkcji – płynnie przechodzimy z sezonu w sezon, jakbyśmy rozstali się z bohaterami wczoraj. No i aktorzy: pasują do siebie cudownie, tworząc niezapomniany obraz dysfunkcyjnej rodziny, co do której nigdy nie mamy pewności: czy to władza i dolar wyzwoliła w jej członkach mroczne instynkty, czy może po prostu zawsze tacy byli. A może niektórzy po prostu… lubią tacy być? Tego przecież nauczył nas Frank Underwood w „House of Cards". ©℗

NOWE SEZONY: „NARCOS: MEKSYK"

Trzeci sezon serialu „Narcos: Mexico" będzie ostatnim – co wcale nie musi oznaczać, że franczyza musi zakończyć żywot. Nie zobaczymy w nim już charyzmatycznego Diego Luny (grał Felixa Gallardo), ale pojawią się inne znajome twarze, także dawno niewidziane. Ten rozdział historii karteli będzie bardzo krwawy, zagłębiamy się bowiem w otchłań wielkiej wojny wydanej narkotykowym baronom przez Amerykę, wojny, której fronty nie przebiegały wcale w oczywisty sposób i która tak naprawdę trwa do dziś. ©℗

Piotr Gociek

• ***sezon 3 „Narcos: Meksyk"***

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

• *sezon 1* ***„Psychiatra u boku" („The Shrink Next Door")****, USA 2021*

• *sezon 3* ***„Co robimy w ukryciu" („What We Do in the Shadows")****, USA 2021*

• *sezon 1* ***„Arcane"****, USA 2021*

eprasa.pl 9e340ad6ae

Bażantów żal

KINO

Perły, korona i łzy, czyli „baśń zrodzona z tragedii". Uczłowieczenie pożałowania godnej familii Windsorów to największy, w ostatniej dekadzie, sukces brytyjskiej popkultury. W niekończącym się serialu z udziałem royalsów ważna, wręcz popisowa rola męczennicy, zdradzonej przez męża, lecz kochanej przez naród, przypadła Dianie Spencer. Patrzeć hadko, jak wyalienowana księżna cierpi katusze, zmuszona do spędzenia świąt w towarzystwie utytułowanych hipokrytów. Lekkomyślna, impulsywna, wiecznie spóźniona, nie umie i nie chce się dostosować do dworskich rytuałów. Znerwicowana bohaterka żebrze o współczucie służby, na świadków swej krzywdy bierze brukowce i paparazzich. Nęka ją widmo Anny Boleyn („Myślisz, że mnie też zabiją?"), Windsorowie są tu jedynie tłem. Karol jest zimny jak ryba, królowa – pogodzona z rolą marionetki. Diana nie chce, jak oni, prowadzić podwójnej gry. Marzy o wolności, której symbolem okazuje się amerykański fast food. Przypisywanie daru autorefleksji osobnikom wiodącym bażanci żywot jawi się nadmiarem uprzejmości, ale scenariusz jest zgrabny, a w niektórych momentach uroczo dwuznaczny. Fani i antyfani księżnej będą usatysfakcjonowani. Larrain sportretował już Jackie Kennedy i Pablo Nerudę. Kto będzie następny? Sugeruję Ninę Andrycz i Wisławę Szymborską. ©®

★★★☆☆☆
REŻ. PABLO LARRAIN
„SPENCER"
WIELKA BRYTANIA/ NIEMCY/CHILE 2021

wyst. Kristen Stewart, Jack Farthing, Sally Hawkins

Wiesław Chełminiak

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

SEKRET PSZCZELARZA

KINO

Heshmat nie ma lekko, do pracy musi wstawać o trzeciej rano. Pouya chciałby wyjechać z Iranu, najpierw musi jednak odsłużyć wojsko. Javad, też w mundurze, bierze przepustkę, żeby się oświadczyć ukochanej. Darya odwiedza wujka mieszkającego tam, gdzie diabeł mówi dobranoc. Cztery nowele, wspólny temat: sumienie człowieka zmuszanego do zabijania. Filmy Rasoulofa, kręcone ukradkiem i przemycane za granicę, irytują ajatollahów, lecz zachwycają jurorów międzynarodowych festiwali, tęskniących za kinem w stylu Kieślowskiego. Kraj, w którym rządzą „forsa i nepotyzm", a za niewłaściwe poglądy można dostać karę śmierci, potrzebuje moralistów, wytykających rodakom małoduszność i brak odwagi. Zachód uwielbia zaś wygadanych, brzydzących się przemocą, egzotycznych wywrotowców. A Ziemia wciąż się obraca. Jedyna pociecha, że w ciężkich czasach powstaje najwięcej dobrych filmów, książek i muzyki.

★★★★☆☆
REŻ. MOHAMMAD RASOULOF
„ZŁO NIE ISTNIEJE" („SHEYTAN VOYUD NADARAD")
IRAN/NIEMCY/ CZECHY 2020

wyst. Ehsan Mirhoseini, Kaveh Ahangar, Mahtab Servati

ZA CARA I KAJZERA

KINO

To było tak dawno, że najstarsi górale nie pamiętają. Niemcy już zdobyli Łódź, a mieli apetyt na Warszawę, trzecie co do wielkości miasto imperium Mikołaja II. Front ustabilizował się nad Rawką. Szturmowanie wrażych okopów skutkowało wielkimi stratami, więc panowie w pikielhaubach sięgnęli po broń masowej zagłady. Rosyjskich żołnierzy potraktowano gazem łzawiącym, a potem chlorem. Chociaż po obu stronach walczyli i ginęli Polacy, a recepturę trujących chmur opracował chemik noblista z Wrocławia, hekatomba z 1915 r. została zapomniana. Fabularyzowany dokument Ireneusza Skruczaja ma ambicje to zmienić, ale konstrukcja filmu (archiwalia przekładane inscenizacjami, wspomnieniami świadków tudzież batalistyką w stylu amerykańskim) osłabia klarowność. Boję się, że groby ofiar pierwszego ataku gazowego w dziejach Europy pozostaną lokalną atrakcją turystyczną. ©®

★★★☆☆☆
REŻ. IRENEUSZ SKRUCZAJ
„OBŁOKI ŚMIERCI. BOLIMÓW 1915"
POLSKA 2021

wyst. Jarosław Kostrzewa, Agnieszka Palka, Krzysztof Marczyk

recenzuje Wiesław Chełminiak

GRA TYGODNIA: „MARIO PARTY SUPERSTARS"

★★★★★☆

Pamiętacie czasy pegasusa i dyskietki z gatunku 64in1? Nie zamierzam porównywać nieporównywalnego, ale takie skojarzenie przebiegło mi przez głowę, gdy włożyłem do switcha kartę z „Mario Party Superstars". Już w tytule mamy jasność, że jest to gra imprezowa. Ponad setka minigierek z bohaterami ze świata Mario sprawdza się najlepiej w grze ze znajomymi przy jednej konsoli. Można bawić się też on-line, a nawet przeciw SI, ale u samotników lepiej sprawdzą się inne odsłony serii Mario. Dla imprezowiczów i rodzin zróżnicowane pod względem rodzajów zadań i poziomu trudności „Superstars" będzie trafionym wyborem. ©®

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Radosław Wojtas

- ***Gatunek:*** *Zręcznościowa, imprezowa*
- ***Platforma:*** *NS*
- ***Producent, wydawca PL:*** *Nintendo, ConQuest Entertainment a.s.*

eprasa.pl 9e340ad6ae

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Szekspir mówi po polsku

Antoni Libera najwyraźniej znakomicie poczuł się w starożytnym Rzymie, bo niemal zaraz po przetłumaczeniu na nowo tragedii Racine'a z „Brytaniką" i „Bereniką" na czele sięgnął do rzymskich tragedii samego Szekspira i oto mamy przed sobą przełożonego przez niego „Juliusza Cezara" i „Antoniusza i Kleopatrę".

Obie tragedie łączy, oczywiście, osoba Marka Antoniusza. Wspaniale brzmią jego mowy nad ciałem zabitego Cezara wypełniające niemal cały III akt pierwszej z wymienionych tragedii. Ten wytrawny polityk z tłumem go słuchającym robił, co chciał. To jego słowa sprawiły, że motłoch rzymski (niech będzie, że lud), jeszcze przed chwilą przyklaskujący zabójcom, gwałtownie odwrócił się od nich i ruszył na miasto, by podpalać domy spiskowców, a ich samych zmuszać do opuszczenia Rzymu.

Antoniusz, opiewając cnoty Cezara, co i raz przewrotnie wtrącał, że był on ponoć – jak twierdził Brutus – żądny władzy i pełen pychy, a wszak „Brutus to człowiek czcigodny". To wielokrotne zapewnienie o czcigodności Brutusa było w istocie jednym, wielkim znakiem zapytania.

Szekspir nie krył podstępności i manipulatorstwa Antoniusza w pewnym momencie stwierdzającego wprost: „No, to wiatr posiany! / Teraz niech przyjdzie burza. Niech się dzieje!". No i zadziało się! Niemniej jednak u Szekspira ani Antoniusz, ani Brutus nie są poddani jednoznacznym ocenom, choć chce się wierzyć, że słowa, którymi zwracał się – bez świadków! – Marek do zabitego Cezara nie miały żadnego ukrytego znaczenia i że mówił on to, co naprawdę myślał i czuł:

O, przebacz mi, skrwawiona szczypto prochu,
Że tak ulegam tym, co cię zgładzili!
Nie było w dziejach bardziej szlachetnego

FOT. ADOBE STOCK

Niż ty człowieka. A więc biada ręce,
Która przelała tę bezcenną krew!
A teraz patrząc na twe liczne rany,
Które jak usta otwarte błagają,
Abym udzielił im swojego głosu,
Niejako w ich imieniu przepowiadam,
Że na mieszkańców Rzymu spadnie klątwa:
Wybuchną waśnie i wojna domowa,
I cały kraj pogrąży się w chaosie.
Gwałt i zabójstwo staną się powszednie,
A ociekanie krwią czymś tak znajomym,
Że matki będą obojętnie patrzeć
Na rozdzierane w strzępy swoje dzieci.
Codzienność zła zagłuszy wszelką litość,
A duch Cezara w towarzystwie Ate,
Owej bogini waśni i bezprawia,
Pałając żądzą zemsty, będzie wołał:
„Śmierć przeniewiercom", i spuści psy wojny,
Aby ta zbrodnia cuchnęła nad ziemią
Trupim odorem ludzkich ciał i szczątków,
Bezgłośnie błagając o pochówek.

Jest „Juliusz Cezar" nie tylko jeszcze jedną, jakby to ujął Jacek Kaczmarski, „lekcją historii klasycznej". To – jak czytamy w słowie od tłumacza – „wielka opowieść Shakespeare'a o niemoralności władzy i nieprzezwyciężalnych sprzecznościach. Nie można być w pełni uczciwym politykiem i przywódcą. Aby zdobyć najwyższe urzędy w państwie, a następnie panować i nie dać się zepchnąć ze świecznika, trzeba zdradzać, być nielojalnym i zawierać nowe sojusze. Ale nawet i wówczas – jeśli do perfekcji opanowało się sztukę obłudy, pochlebstwa i manipulacji – nie można być pewnym, że któregoś dnia nie wyjdzie z tłumu jakiś Artemidoros z rulonem w ręce i nie krzyknie nerwowo: »Przeczytaj to natychmiast! Tutaj są ważne rzeczy, które ciebie dotyczą«".

Tak właśnie jest, a czytając kwestię Brutusa wypowiedzianą nad przebitymi mieczami Kasjuszem i Tytyniuszem („Są jeszcze tacy Rzymianie jak ci? / Cześć wam, panowie! Żegnajcie, ostatni! / Rzym już nie wyda takich jak wy – nigdy"), zapominamy o wszystkich ich małościach i w ślad za mówcą chylimy przed nimi czoło.

Antoni Libera podkreśla, że naczelna zasada, jakiej trzymał się w swojej pracy nad rzymskimi tragediami Szekspira, polegała na tym, „by nie przekładać słów, lecz intencje". Podobnie jak przy przekładach Racine'a czy Sofoklesa tłumacz różnicuje nasz tradycyjny jedenastozgłoskowiec sprawiający, że wiersz zamienia się często w monotonną, przepraszam za wyrażenie, katarynę. U Libery się jej nie słyszy, a język angielskiego mistrza, choć wydatnie uwspółcześniony w przekładzie, nic nie traci ze swojej wyjątkowości, jak zarazy unikając tak rozpowszechnionych dzisiaj kolokwializmów, wulgaryzmów (!) i, najogólniej rzecz biorąc, potoczystości mylonej z prostactwem.

Bardzo chciałbym zobaczyć w teatrze zarówno przyrządzonego przez Antoniego Liberę „Juliusza Cezara", jak i „Antoniusza i Kleopatrę". Świetnie wystawionego i zagranego przez mistrzów sztuki scenicznej. Ale pewnie się nie doczekam. W polskich teatrach króluje hucpiarstwo reżyserów w rodzaju Jakuba Skrzywanka czy Andrzeja Błażewicza. Jeśli osobnicy tacy jak oni mają się zabrać do Szekspira, to już zadowolę się lekturą wydanego przez PIW pierwszego tomu „Tragedii rzymskich", niecierpliwie czekając na drugi – z „Koriolanem". Też sam go sobie przeczytam – z rozkoszą. ©℗

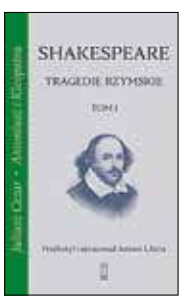

★★★★★★
„TRAGEDIE RZYMSKIE", TOM I
PRZEŁOŻYŁ I OPRACOWAŁ ANTONI LIBERA, PIW, WARSZAWA 2021

eprasa.pl 9e340ad6ae

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Kobieta na krawędzi

Jak to dobrze, że „Trylogia kopenhaska" powstawała pół wieku temu! Dziś te same tematy podane byłyby w niestrawnym sosie ideologicznym, bo literatura o losie kobiecym zamieniła się w feministyczne pałkarstwo. Tove Ditlevsen, ceniona duńska pisarka, opowiada po prostu o rzeczach, które jej się przydarzyły. Nie jest to rozmemłane, mazgajskie życiopisanie. Chłodny, bezlitosny ton przypomina mi trochę prozę Jana Wolkersa (aczkolwiek Ditlevsen nie jest wulgarna).

Ditlevsen to dziecko innej epoki. Urodzona w roku 1917, w robotniczej dzielnicy Kopenhagi (dziś to teren turystycznej atrakcji, Tivoli), szybko zaczęła marzyć o karierze pisarki. Jej wspomnienia, ułożone z trzech książek wydanych początkowo osobno, układają się dwutorowo: to znój twórcy, a zarazem próba ułożenia sobie życia prywatnego – poszukiwanie miłości, która przytrafia się albo zbyt wcześnie, albo zbyt późno. Tove zresztą zaczyna wątpić, czy w ogóle taka jest jej przeznaczona. Znamy to rozdarcie, tę dwoistość. Virginię Woolf doprowadziła do śmierci w rzece Ouse. Katherine Mansfield do nienasycenia, które nigdy nie kończyło się pełnią szczęścia. Prozę Ditlevsen stawiam obok książek tych znakomitych autorek.

„Dzieciństwo", „Młodość", „Uzależnienie" – trzy etapy życia, które pisarka podsumowywała i opisywała z perspektywy lat w ostatniej dekadzie życia. „Dzieciństwo jest długie i wąskie jak trumna, nie można się z niego wydostać samodzielnie". Dzieciństwo nadwrażliwca, trudnych relacji z rodzicami (zwłaszcza z matką), wstydu i biedy, a jednocześnie już wtedy czas dostrzegania piękna tam, gdzie inni przechodzą pośpiesznie i nie odwracają nawet głowy. „Młodość" – czyli czas pierwszych miłości, praca pokojówki, praca w drukarni, trupa teatralna, rozmaite inne zajęcia; wszystko to ważne, bo trzeba za coś żyć. I nieważne, bo liczy się marzenie o pisaniu. „Właśnie do tego dążę, krocząc mrocznymi, krętymi drogami. Właśnie z tego codziennie czerpię siłę, żeby wstać". I część ostatnia, czyli zmaganie się z uzależnieniem od opiatów. Znikają przyjaciele, znikają kochankowie, zostaje nałóg.

Wszystko boli. Dorastanie, kochanie, pisanie. Wszystko kosztuje. „Prawo miłości zawsze oznacza krzywdzenie innych" – mówi Tove swemu żonatemu kochankowi. Wielkość tej książki nie tkwi w tym, że to spis boleści. Ale w tym, że to opowieść pisarki, która wszystkich tych rzeczy jest świadoma. ©℗

★★★★★☆
TOVE DITLEVSEN „TRYLOGIA KOPENHASKA" WYDAWNICTWO CZARNE 2021

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Obszerna biografia człowieka, który stał się w oczach świata wręcz symbolem amerykańskiej polityki zagranicznej. Niezwykle popularny, wciąż czytany, jest też nadal przedmiotem sporów: mistrz dyplomacji czy ofiara złudzeń?

WALTER ISAACSON „KISSINGER" ZYSK I S-KA

Podziwiany przez Zbigniewa Herberta, lekceważony przez salony – Szuber to jeden z naszych najciekawszych współczesnych poetów. Antoni Libera wybrał i opatrzył posłowiem utwory z lat 1969–2020 zmarłego rok temu twórcy.

JANUSZ SZUBER „PRÓBUJĘ BYĆ" PIW

Sekrety japońskiego półświatka, czyli podsumowanie 12 lat pracy amerykańskiego reportera, który dokonał nie lada sztuki. Był pierwszym nie-Japończykiem w dziejach gazety „Yomiuri Shimbun". Wkrótce serial HBO.

JAKE ADELSTEIN „TOKYO VICE" PORADNIA K

Król winien mieć dobre serce i mądrych doradców – przypomina izraelski mistrz krótkiej formy w opowiadaniu pięknie zilustrowanym przez Tami Bezaleli. To kolejna, czwarta już na naszym rynku, jego książka dla dzieci. ©℗

recenzuje Piotr Gociek

ETGAR KERET „MALEŃKIE KRÓLESTWO" WYDAWNICTWO WIDNOKRĄG

KOMIKS TYGODNIA: „USAGI YOJIMBO. BUNRAKU"

Niezwykłej sagi o szlachetnym króliku samuraju tom 34. Seria nie zdradza objawów wyczerpania, w albumie „Bunraku" dostajemy cztery świetne fabuły. Tytułowa to historia z teatrem kabuki, demonem i niezwykłymi aktorami w rolach głównych. Wzruszające „Bohater" oraz „Adachi" przypominają, że wierność ważniejsza jest niż porywy serca, a ostatnia – „Miecze klanu Higashi" – to przezabawna historia łotrzykowska, w której pojawiają się zmyślna Kitsune i łatwowierni łowcy nagród. Uwaga! Tym razem przygody Usagiego dostajemy w wersji kolorowej! ©℗

STAN SAKAI „USAGI YOJIMBO. BUNRAKU" EGMONT 2021

poleca Piotr Gociek

eprasa.pl 9e340ad6ae

Tulia (już) świątecznie

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

W połowie września w jednej z sieciówek z gatunku „mydło i powidło" na półce z napisem „produkty sezonowe" spotkałem… nie, wcale nie znicze, wkłady i wiązanki przed 1 listopada, ale artykuły bożonarodzeniowe – czerwone czapeczki, dzwoneczki, ozdoby etc., etc. Wcześnie, bo do takiej zmiany sklepowego asortymentu przywykliśmy raczej po uroczystości Wszystkich Świętych. Również w muzyce listopad to już czas na wydawanie płyt z kolędami i bardziej świeckimi piosenkami okołoświątecznymi.

W tym bigosie zawsze są jakieś prawdziwki. Czy takim będzie płyta zespołu Tulia? Mamy prawo na to liczyć, wszak szczecinianki potrafiły pozytywnie zaskoczyć. Najpierw jako wykonawczynie coverów na folkową nutę, czym zwróciły na siebie uwagę ludzi z Depeche Mode, którzy Tuliowe wykonanie „Enjoy the Silence" udostępnili w oficjalnych kanałach społecznościowych zespołu. Później już nie jako ciekawostka etnograficzna, ale zespół wygrywający w Opolu, zdobywający Fryderyka czy wreszcie reprezentujący Polskę na Eurowizji.

Najnowsza płyta Tulii – „Nim gwiazda zgaśnie" – trafi w ręce słuchaczy miesiąc przed tym, gdy będziemy wyglądać pierwszej gwiazdki. Lista utworów liczy 14 pozycji i są na niej zarówno najbardziej znane kolędy – m.in. „Bóg się rodzi", „Jezus malusieńki", „Gdy śliczna panna" – jak i utwory autorskie. „Oprócz kolęd i pastorałek z kanonu polskich śpiewników posłuchać można dwóch nowych autorskich utworów: »Gwiazdki z nieba« (która jest odpowiedzią na utwór „Nasza kołysanka" z naszej debiutanckiej płyty) oraz tytułowego »Nim gwiazda zgaśnie«" – czytamy w zapowiedzi.

Premiera „Nim gwiazda zgaśnie" 26 listopada. ©℗

Radosław Wojtas

NA SŁUCH

Seksowna, zadumana i odrodzona

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

★★★★★☆

MARIA DĘBSKA
„BO WE MNIE JEST SEKS"
AGORA

Premierowy album Marii Dębskiej, odtwórczyni głównej roli w filmie „Bo we mnie jest seks" opowiadającym o Kalinie Jędrusik, ikonie socjalistycznej popkultury lat 60. i 70.

Płyta zawiera dziewięć piosenek z repertuaru Kaliny, w większości autorstwa Jerzego Wasowskiego i Jeremiego Przybory. Dębska wciela się znakomicie w Jędrusik wokalistkę, by nie napisać – brawurowo. W swoich interpretacjach zachowała charakterystyczne dla aktorki westchnienia czy modulacje głosu. I jeśli w filmie robi to piorunujące wrażenie (aktorka otrzymała Złote Lwy na festiwalu w Gdyni), to na płycie aktorski kunszt Dębskiej nie jest już tak skuteczny. Płyta to jednak inna bajka. To, co w filmie wypada doskonale, w nagraniach jest tylko kopią oryginału. To nie wina Dębskiej. Z przyczyn oczywistych aranżacje miały być w duchu epoki, a interpretacje jak najbardziej zbliżone do tych znanych z Kabaretu Starszych Panów.

To nie jest zła płyta. Słucha się jej z przyjemnością, a przeplatające piosenki dialogi z filmu wybrane przez reżyserkę, Katarzynę Klimkiewicz, ubarwiają całość. Jeśli ktoś nie zna oryginalnych nagrań, to na pewno nie będzie rozczarowany. Album wieńczy premierowa piosenka „Nie będzie romansu", którą Maria Dębska w końcu zaśpiewała własnym głosem i to w duecie z Krzysztofem Zalewskim, który w filmie zagrał rolę kochanka Lucka. ©℗

★★★★☆☆

TORI AMOS
„OCEAN TO OCEAN"
DECCA

Na 16. albumie Amos przekształca osobistą traumę związaną z lockdownem i śmiercią matki w aktualne, uniwersalne przesłania. Pomimo słodko-gorzkich emocji płyta uzdrowi fanów znajomymi akcentami. Tori towarzyszą m.in. mąż/gitarzysta Mark Hawley i córka/wokalistka Tash.

★★★★☆☆

URSZULA
„TERAZ JA"
UNIVERSAL

W przyszłym roku będzie świętować 40-lecie działalności. Jej nowe piosenki nawiązują do przeszłości, ale brzmią współcześnie. Ich autorami są m.in. Ania Dąbrowska, Michał Grymuza i Sanah. Jest melodyjnie, rockowo, a nawet tanecznie, lecz przede wszystkim znajomo. ©℗

eprasa.pl 9e340ad6ae

Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości, ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości ani prawa do przyszłości.

Józef Piłsudski

DO RZECZY | HISTORIA

FUNDACJA STRAŻNIK PAMIĘCI

STRAŻNIK PAMIĘCI 2021

NAGRODY W KATEGORIACH:

STRAŻNIK PAMIĘCI

MECENAS | INSTYTUCJA | TWÓRCA

LAUREATÓW POZNAMY NA GALI 16 LISTOPADA 2021 r.

WIĘCEJ INFORMACJI: DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI

PARTNER STRATEGICZNY: ORLEN

PARTNERZY GŁÓWNI: PZU, Bank Polski, PGNiG, KGHM POLSKA MIEDŹ

PARTNER HONOROWY: NIKiDW

PARTNERZY: Grupa Azoty S.A., HUAWEI, Lasy Państwowe

WSPÓŁORGANIZATORZY: Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego; Narodowy Centrum Kultury; Instytut Współpracy Polsko-Węgierskiej im. Sándora Petőfiego

PATRONAT MEDIALNY: TVP, HISTORIA

prasa.pl 9e340ad6ae

Wykorzenienie

FOT. MAGDA HUECKEL

Grzegorz Kondrasiuk

Epidemiczne niepokoje, osobisty przestrach pod tytułem „Jak to, to i ja umrę?!" stały się dominantą spektaklu „Odyseja. Historia dla Hollywoodu"

Krzysztof Warlikowski ma w teatralnej Polsce status mistrza, a w mieście Warszawie – przyjazną atmosferę dla pracy Nowego Teatru, który od podstaw stworzył. Własna siedziba w dawnej bazie MPO przy ulicy Madalińskiego, w sercu Mokotowa, daje możliwości do tworzenia takiego teatru, który stał się jego marką: wielkopowierzchniowych i wielkoobsadowych spektakli, kontraktowanych nie tylko na potrzeby warszawskiej i polskiej publiczności, lecz także na światowe festiwale.

Taki jest też najnowszy spektakl Warlikowskiego: „Odyseja. Historia dla Hollywoodu". Powstawał długo, a do tego w trakcie prób przerywanych pandemicznymi ograniczeniami zmarł Zygmunt Malanowicz, który miał wcielić się w postać Odysa. „Odyseja" jest dedykowana Malanowiczowi, rozpoczyna się od wspomnienia jego charakterystycznej osoby, ale nie tylko dlatego najważniejszy w tej wielowątkowej, kontekstowej, asocjacyjnej układance okazał się temat śmierci. Epidemiczne niepokoje, osobisty przestrach pod tytułem „Jak to, to i ja umrę?!" stały się dominantą spektaklu, spychając na dalszy plan typowe u Warlikowskiego dekonstrukcje i kompromitacje kultury Zachodu czy wątki holokaustowe.

W jednej z pierwszych sekwencji stary człowiek, odwrócony plecami, przemierza wielką, surową, nieprzyjazną przestrzeń (znak firmowy scenografki Małgorzaty Szczęśniak). Startuje cyfrowy zegar i wkrótce zrozumiemy, że to lotniskowa hala przylotów, w której widzimy Odysa, chorego i śmiertelnie zmęczonego. Człowieka, który przeżył już wszystko i wraca do miejsca, które kiedyś było jego domem, i do ludzi, którzy kiedyś byli jego rodziną. Wraca, ale nie po to, by walczyć z zalotnikami o rękę Penelopy (Małgorzata Hajewska-Krzysztofik), ale aby tam umrzeć. Malanowicza zastąpił Stanisław Brudny z teatru Studio, niegdyś aktor Szajny, i stworzył rolę przejmującą. Znany z chwalebnej oszczędności, charyzmatyczny, ze swoim wiecznie jakby zadziwionym, pytającym głosem, którego się nie zapomina. Kiedy streszcza żonie i synom „Odyseję", na powitalnej kolacji, przy flaszce wódki, w pustym, wrogim domu, nie tyle gra, ile boleśnie, przeszywająco uwiarygodnia sytuację egzystencjalną człowieka wykorzenionego, pozbawionego jakiegokolwiek punktu odniesienia, zaprzeczenie antropologii chrześcijańskiej. Obraz człowieka, który nie ma po co walczyć (by, dla przykładu, przypomnieć „Męstwo bycia" Paula Tillicha), który nie potrafi już kochać i wierzyć.

Jednak Odys w tym czterogodzinnym seansie (którego nie sposób objąć w krótkiej recenzji) przewija się zaledwie kilkakrotnie. Głównym, organizującym opowieść, wątkiem, z analogicznym motywem niemożliwego, nieudanego powrotu, jest pożyczona od Hanny Krall historia zakochanej Żydówki (młoda Izolda – Maja Ostaszewska, stara Izolda – Ewa Dałkowska), która za główny cel swojego życia, wszelkimi metodami, obrała ocalenie męża (Szajek, człowiek „wydrążony" – przejmujący Mariusz Bonaszewski), a ten, po wojnie, ją zostawia i obwinia za śmierć rodziny. Zmieniając nieco literacki pierwowzór, twórcy przedstawienia kreują światy wyobrażone, blisko rzeczywistości. W serii scen, w których Izolda próbuje swoją historią zainteresować Hollywood, pojawiają się Marek Hłasko, Roman Polański, Liz Taylor, producent Bob Evans. Artystowscy, cyniczni, celebryccy, zainteresowani głównie sobą, no i mamoną (jakoś tak naturalnie wychodzi Jackowi Poniedziałkowi, Piotrowi Polkowi, Magdalenie Cieleckiej i Markowi Kalicie). Ten wątek z kolei uruchamia kolejny: niespodziewanie przywołany, a nawet zacytowany zostaje pamiętny dokument „Shoah" – jak się wydaje po to, by w monologu Lanzmanna skrytykować powierzchowne, produkowane seryjnie, idealizowane obrazki holokaustowe w stylu „Listy Schindlera". Zapewne intencją twórców przedstawienia było tu wypowiedzenie postawy, którą najkrócej można określić jako absolutyzowanie Holokaustu (jako centralnego wydarzenia w historii świata). Przy okazji jednak wprowadzili ryzykowne z punktu widzenia politycznej poprawności wątki zbieżne na przykład z rozpoznaniami Normana Finkelsteina.

Historia Izoldy znakomicie nadaje się do zilustrowania prawdy oczywistej dla każdego rzetelnego historyka, pisarza, reportażysty prawdy – losy ludzkie i ludzkie motywacje są nieproste i nieoczywiste, nadpisywanie na nich projektów ideologicznych zawsze odbywa się kosztem uproszczeń. Także i o tym jest ten spektakl. A także o momencie, kiedy świat celebrytyzmu, ufundowany na iluzji nieśmiertelności, spotyka się ze śmiercią (sceny z umierającą Liz Taylor). To zaskakujące – ten odrealniony i oniryczny teatr buduje od czasu do czasu połączenia z rzeczywistością. Owszem, teatr Warlikowskiego jest popowy i celebrycki, w oczywisty sposób metropolitalny i globalny, ale przy tym wszystkim od czasu do czasu próbuje wierzgać, co najciekawsze jest wtedy, kiedy buntuje się wobec świata, który go ukształtował i uwzniośił. ©℗

„ODYSEJA. HISTORIA DLA HOLLYWOODU"
NOWY TEATR W WARSZAWIE
REŻYSERIA: KRZYSZTOF WARLIKOWSKI
SPEKTAKL INSPIROWANY „ODYSEJĄ" HOMERA, NA PODSTAWIE „POWIEŚCI DLA HOLLYWOODU" I „KRÓLA KIER ZNÓW NA WYLOCIE" HANNY KRALL
PREMIERA: 4 CZERWCA 2021 R.

eprasa.pl 9e340ad6ae

DODATEK SPECJALNY – CZĘŚĆ 8

PRAWNA OBRONA § PRZED POLONOFOBIĄ

Zwalczanie „kłamstwa oświęcimskiego”

a swoboda badań i opinii

• „Kłamstwo oświęcimskie” w polskim porządku prawnym • „Polskie obozy śmierci” jako element „kłamstwa oświęcimskiego” • Jak inne państwa zwalczają negowanie zbrodni III Rzeszy? • „Kłamstwo katyńskie”, czyli druga strona tego samego medalu

PARTNERZY:

WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

MINISTERSTWO SPRAWIEDLIWOŚCI

FUNDUSZ SPRAWIEDLIWOŚCI

www.funduszsprawiedliwosci.gov.pl

TYGODNIK OPINII DO RZECZY

FUNDACJA STRAŻNIK PAMIĘCI

eprasa.pl 9e340ad6ae

Teren obozu na Majdanku
FOT. ADOBE STOCK

SPIS TREŚCI

51 JAKUB OSTROMĘCKI
ZBRODNIA, KŁAMSTWO I KARA
„Kłamstwo oświęcimskie" to termin ogólny, bardzo chwytliwy, ale nie dotyczy on jedynie negowania faktu mordowania ludzi w Auschwitz, lecz w ogóle zaprzeczania zbrodniom III Rzeszy. Od zbrodni przeciw pokojowi do masowych egzekucji i komór gazowych.

55 PIOTR WŁOCZYK
PRAWNY BAT NA FAŁSZERZY
Polska penalizuje „kłamstwo oświęcimskie" podobnie jak inne kraje Europy Środkowej, zakazując negowania zbrodni niemieckich na równi z kłamaniem na temat mordów komunistycznych. Zupełnie inaczej podchodzi do tego Zachód.

59 MINISTER MARCIN ROMANOWSKI
MÓWIENIE O „POLSKICH OBOZACH KONCENTRACYJNYCH" TO KŁAMSTWO OŚWIĘCIMSKIE
Z wiceministrem sprawiedliwości rozmawia Jacek Przybylski.

63 MACIEJ PIECZYŃSKI
POWRÓT „KŁAMSTWA KATYŃSKIEGO"
Odpowiedzialność Stalina za mord na polskich oficerach jest dziś w Rosji albo rozmywana, albo negowana. A przecież „kłamstwo katyńskie" jest dla prawdy o drugiej wojnie światowej nie mniej groźne niż „kłamstwo oświęcimskie".

eprasa.pl 9e340ad6ae

Zbrodnia, kłamstwo i kara

Jakub Ostromęcki

„Kłamstwo oświęcimskie" to termin ogólny, bardzo chwytliwy, ale nie dotyczy on jedynie negowania faktu mordowania ludzi w Auschwitz, lecz w ogóle zaprzeczania zbrodniom III Rzeszy. Od zbrodni przeciw pokojowi do masowych egzekucji i komór gazowych

Negowanie Holokaustu jest karane w większości krajów europejskich oraz w Izraelu. Akty normatywne zamiast słowem „Holokaust" czy „zbrodnie III Rzeszy" posługują się często ogólnym terminem „zbrodni ludobójstwa", „zbrodni przeciwko ludzkości", czasem z odniesieniem do zbrodni określonych przez trybunał norymberski. Takimi krajami są Francja, Liechtenstein, Szwajcaria czy Portugalia. Szczegółowe odwołanie do Holokaustu znajdziemy natomiast w kodeksach karnych Izraela, Włoch, Belgii, Niemiec czy Grecji.

Sytuacja w tym ostatnim kraju jest dość wyjątkowa, ponieważ same słowa negujące Holokaust nie są tam przestępstwem. Aby w Grecji skazać negacjonistę, trzeba mu jednocześnie wykazać, że głosząc swoje poglądy, podżegał do nienawiści. Takie rozwiązanie, obarczone dodatkowo bardzo poważnymi zarzutami wobec tego artykułu kodeksu karnego o naruszanie konstytucyjnej wolności słowa, doprowadziło do sytuacji, w której skazanie kogokolwiek za negowanie Holokaustu w Grecji stało się bardzo trudne.

Istnieje grupa państw, które ograniczają się do karania jedynie za negowanie zbrodni nazistowskich, oraz takie, które do tego katalogu włączają również zbrodnie komunistyczne. Nietrudno zgadnąć, że w tej drugiej grupie znajdą się kraje mające własne, ponure doświadczenia z komunizmem: Litwa, Polska, Czechy, Słowacja i Węgry. Rozwiązanie to zostało bardzo mocno zaatakowane przez część środowisk żydowskich reprezentowanych przez Dovida Katza, mieszkającego w Wilnie historyka amerykańskiego pochodzenia. Katz nawołuje do zwalczania koncepcji „podwójnego ludobójstwa" – niemieckiego i sowieckiego – twierdząc, że takie zestawienie pomniejsza cierpienie Żydów w czasie drugiej wojny światowej.

W Rosji prawo karzące negowanie Holokaustu używane jest do walki z wypowiedziami, które z nazizmem ani Holokaustem nie mają nic wspólnego. Artykuł 3541 rosyjskiego kodeksu karnego przewiduje karę grzywny, prac przymusowych lub pozbawienia wolności za „publiczne zaprzeczenie faktom stwierdzonym w wyrokach Międzynarodowego Trybunału Wojennego w Norymberdze, pochwalanie tych przestępstw, a na równi z tym »rozpowszechnianie świadomie nieprawdziwych informacji o działaniach ZSRS podczas drugiej wojny światowej«". Na podstawie tego przepisu można stanąć przed sądem przykładowo za stwierdzanie, że Polska została zaatakowana przez ZSRS wspólnie z III Rzeszą. Spotkało to Władimira Łuzgina, ślusarza z Permu, który zamieścił post o tej treści na portalu społecznościowym. Łuzgin został skazany na grzywnę 200 tys. rubli, czyli ponad 3 tys. dol.

W większości wymienionych krajów kary za negowanie Holokaustu wahają się od miesiąca do pięciu lat. Wyjątkiem są Włochy, gdzie za to przestępstwo grozi do sześciu lat pozbawienia wolności, i absolutny rekordzista, czyli Austria, gdzie za negowanie Holokaustu w połączeniu z próbą przywrócenia systemu narodowosocjalistycznego można iść do więzienia na lat 20.

W większości krajów europejskich sądy, rozpatrując sprawy związane z negowaniem Holokaustu, nie muszą, tak jak w USA, na żądanie jednej ze stron, wydawać specjalnych postanowień uznających Holokaust za dowód sądowy, czyli mówiąc wprost – stwierdzać, że miał on miejsce. Holokaust uznaje się przed sądami europejskimi za fakt taki sam jak czyjeś narodziny czy potwierdzone dokumentem małżeństwo. O przyczynach amerykańskiej odmienności będzie mowa niżej.

BEZWZGLĘDNIE ZA ODRĄ

W Niemczech ustawodawstwo przeciwko „kłamstwu oświęcimskiemu" ma bardzo długą tradycję, choć do 1994 r. w tamtejszym kodeksie karnym w kontekście zbrodni z nienawiści nie mówiono konkretnie o Holokauście. Piewców narodowego socjalizmu skazywano więc na podstawie artykułów o obrazie pamięci o zmarłych i zamordowanych tudzież podżeganiu do nienawiści wobec grup i kategorii społecznych – tzw. części składowych społeczeństwa. Szczegółowe odwołanie do Holokaustu znalazło się dopiero w nowelizacji kodeksu karnego z 1994 r. CDU i CSU próbowały doprowadzić do równego karania sprawców i piewców ludobójstwa innego niż nazistowskie. Motywacją niemieckiej prawicy nie była jednak w pierwszej kolejności troska o ofiary komunizmu w ogóle, ale pamięć o niemieckich wypędzonych. Projekt ten przepadł jednak głosami zarówno liberałów, jak i lewicy.

Niemieckie prawo bierze na cel nie tylko wypowiedzi, lecz także symbolikę. Insygnia III Rzeszy, podobnie jak

eprasa.pl 9e340ad6ae

Brama wjazdowa do obozu koncentracyjnego Auschwitz-Birkenau

FOT. PERSONA77/WIKIPEDIA/CC BY-SA 3.0 PL

np. państwa islamskiego, są w Niemczech zakazane. W Unii Europejskiej podejście najbardziej podobne do niemieckiego w kwestii symboliki prezentuje Rumunia.

W latach 1995–2008 w stan oskarżenia w związku z „kłamstwem oświęcimskim" i przestępstwami pokrewnymi postawiono w Niemczech 410 osób, z czego skazano 315. Trend ten na przestrzeni całego okresu wykazuje tendencję lekko wzrostową.

W Niemczech negując Holokaust czy wychwalając nazizm, nie można usprawiedliwiać się wolnością słowa. Może jednak do owej wartości odwoływać się ktoś, kto publicznie atakuje osoby, które w przeszłości w jakiś sposób były powiązane z dawnym reżimem nazistowskim. W 1958 r. Erich Lüth, urzędnik hamburskiego ratusza, rozpoczął kampanię przeciwko promocji nowego filmu „Unsterbliche Geliebte" (w wolnym tłumaczeniu: „Nieśmiertelni kochankowie").

Film był romansem opartym na XIX-wiecznej powieści i nie miał nic wspólnego nie tylko z nazizmem, lecz także z polityką w ogóle. Problem w tym, że jego reżyserem był Veit Harlan – przedwojenny propagandzista i twórca słynnej, obrzydliwej produkcji „Żyd Süss".

Producenci „Unsterbliche Geliebte" pozwali Lütha o narażenie ich przedsięwzięcia na straty i oszczerstwa. Niemiecki sąd stwierdził jednak, że o ile pozwany urzędnik mógł faktycznie działać na szkodę autorów filmu, o tyle jednak przemawiał za nim ważny interes społeczny i troska o reputację Niemiec na świecie. Nikt nie chciał przecież usłyszeć, że 12 lat po wojnie w Niemczech znów odradza się nazizm, tym razem ukryty pod postacią miłosnych historyjek.

W krótkiej historii RFN wielokrotnie zdarzało się, że politycy lewicy nazywali bawarską partię CSU „nazistami". Sądy broniły wtedy lewicowców, wskazując, że nie przekraczali oni wolności słowa, gdyż nie odnosili swoich tez do konkretnych osób. Podobnie zakończyła się sprawa pewnego nauczyciela, który w 1991 r. na swoim samochodzie umieścił naklejkę z napisem „Wszyscy żołnierze to mordercy". Oskarżono go, że swoją wypowiedzią podżega do nienawiści wobec grupy społecznej – w tym przypadku żołnierzy Bundeswehry. Sąd uniewinnił jednak nauczyciela, ponieważ – jak wskazano w orzeczeniu – nie miał on na myśli konkretnych żołnierzy znanych z imienia i nazwiska i w rozsądnych granicach korzystał z wolności słowa.

W Niemczech, negując Holokaust, nie można również zasłaniać się swobodą badań naukowych. W publikacjach rewizjonistów znajdują się częste odwołania do prac amerykańskich „specjalistów od badania egzekucji" lub chemików, których ustalenia mają przeczyć istnieniu komór gazowych. Sądy nie uznają jednak tego za okoliczność łagodzącą.

PAŁKARZE I BRUNATNA PALESTRA

Wśród kilkuset spraw o „kłamstwo oświęcimskie" po roku 1994 znajduje się kilka ciekawych przypadków. W 2007 r. przed oblicze sądu w heskim Friedbergu trafił aktywista NPD Marcell Wöll. Wcześniej miał już wyroki za naruszenia nietykalności cielesnej, ale teraz sprawa dotyczyła jego wystąpienia na jednym z wieców, w którym stwierdził, że młodzież niemiecka „poddawana jest praniu mózgu w związku z tzw. terrorem nazistowskim". Zapytany w radiu, czy twierdzi, że Holokaustu nie było, odparł, iż nie może odpowiedzieć na to pytanie, gdyż mogłoby to mieć dla niego „skutki prawne". Oględność wypowiedzi oraz późniejszy unik w czasie wywiadu

eprasa.pl 9e340ad6ae

nie uratowały Wölla. Dwa lata później działacz został prawomocnie skazany na cztery miesiące więzienia.

Przed obliczem niemieckich sądów stawali też wychwalający narodowy socjalizm... czynni adwokaci. Wielu z nich działało tak, jakby ich głównym celem nie była obrona swoich klientów – bardzo często oskarżonych o kłamstwo oświęcimskie – ale promocja własnych rewizjonistycznych poglądów. Jednym z pierwszych skazanych był adwokat z Mannheim Ludwig Bock. Na sali sądowej żądał powołania Helmuta Kohla na świadka. Bock oczekiwał od niego przyznania, że doraźny interes polityczny spowodował „ukrycie prawdy na temat Holokaustu". Protestował też przeciw obarczaniu Niemców wyłączną winą za zbrodnie drugiej wojny światowej. Do skazania Bocka wystarczyło, że trywializował on zbrodnie III Rzeszy.

Inny adwokat, Jürgen Rieger, głosząc podobne tezy, był bliski uniewinnienia. Sąd pierwszej instancji stwierdził bowiem, że o ile rewizjonizm i umniejszanie zbrodni nazistowskich w mowach Riegera nie podlegają dyskusji, o tyle tak długo, jak są one elementem strategii obrony jego klienta, tak długo sąd nie może skazać adwokata. Sąd drugiej instancji nie był jednak tak wyrozumiały. Rieger, podobnie jak Bock, nie był wcześniej karany, obaj więc zostali skazani na karę grzywny.

Najbarwniejszą postacią wśród niemieckiej rewizjonistycznej palestry jest Sylvia Stolz. Miała ona w zwyczaju podpisywać oficjalne pisma zwrotem „Heil Hitler". W czasie jednej z rozpraw sędzia, mając dosyć jej tyrad, w których wychwalała III Rzeszę, wyłączył jej mikrofon. Stolz nie dawała jednak za wygraną, próbując przekrzyczeć resztę uczestników rozprawy. Broniąc swoich klientów, też rewizjonistów, twierdziła, że Holokaust to wymysł Żydów oraz że prawodawstwo RFN jest nielegalne, gdyż zostało stworzone pod wpływem sił okupacyjnych, a Niemców powinno wciąż obowiązywać ustawodawstwo III Rzeszy. Stolz była wielokrotnie skazywana za swoje wypowiedzi. Dostała również zakaz wykonywania zawodu prawnika.

Rok 1945. Generałowie Eisenhower, Bradley i Patton przeprowadzają inspekcję stosu kremacyjnego w obozie koncentracyjnym Ohrdruf FOT. DOMENA PUBLICZNA

FRANCJA

Francja karze negowanie Holokaustu od 1990 r. Wcześniej negacjoniści mogli być pociągnięci jedynie do odpowiedzialności cywilnej. Tak stało się z Robertem Faurissonem, profesorem z uniwersytetu w Lyonie. W 1983 r. musiał on zapłacić odszkodowanie powodom, którzy poczuli się dotknięci jego tezami. Kwota ta, poza kosztami sądowymi, wynosiła… symbolicznego franka.

Francuscy negacjoniści mieli też przed 1990 r. dużo większe pole do popisu niż ich niemieccy koledzy – artykuły rewizjonistyczne w latach 70. można było znaleźć między innymi w dzienniku „Le Monde". Sytuacja ta zaczęła zmieniać się w latach 80., gdy Jan Marie Le Pen po raz pierwszy dostał się do Zgromadzenia Narodowego. Lider Frontu Narodowego ogłosił wówczas: „Nie powiedziałem, że komory gazowe nie istniały. Nie widziałem ich na własne oczy. Nie zajmowała mnie zbytnio ta kwestia. Sadzę jednak, iż był to nieistotny epizod w historii drugiej wojny światowej".

W 1990 r. grupa neonazistów zdewastowała żydowski cmentarz w prowansalskim Carpentras. Stało się to przyczyną uchwalenia tzw. ustawy Gayssota. Prawo to odnosi się do negowania zbrodni ludobójstwa uznanych przez Międzynarodowy Trybunał Wojskowy w Norymberdze. Jednym z pierwszych skazanych na podstawie tej ustawy był wspomniany już Robert Faurrison, który w kolejnym wywiadzie nazwał komory gazowe „bajeczką" rozpropagowaną przez zwycięzców w czasie procesów norymberskich. Swoje rewelacje powtórzył potem w irańskiej telewizji. Profesor został skazany na grzywnę. Usunięto go też z pracy na uniwersytecie.

Specyfiką Francji są silne powiązania negacjonistów ze światem arabskim czy szerzej – muzułmańskim. Jedną z bardziej znanych osób skazanych na podstawie ustawy był Roger Garaudy, niegdyś główny teoretyk francuskiego komunizmu, potem katolik, a na końcu, po ślubie z Palestynką, muzułmański konwertyta i zajadły antysyjonista. Według niego Holokaust to mit, który ma usprawiedliwić zbrodnicze postępowanie Izraela wobec Palestyńczyków. Garaudy został skazany na sześć miesięcy w zawieszeniu i 50 tys. franków grzywny.

We Francji próbowano rozciągnąć rzeczoną ustawę również na ludobójstwo

eprasa.pl 9e340ad6ae

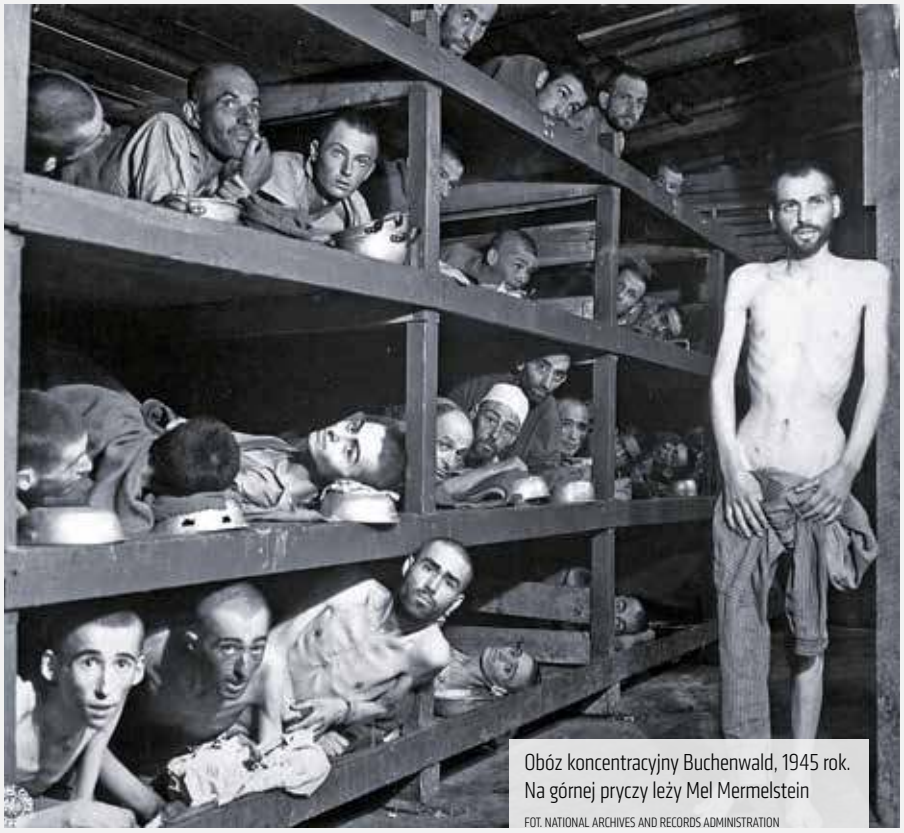

Obóz koncentracyjny Buchenwald, 1945 rok. Na górnej pryczy leży Mel Mermelstein

FOT. NATIONAL ARCHIVES AND RECORDS ADMINISTRATION

Ormian. Amerykański historyk Bernard Lewis w jednym z wywiadów zaprzeczył, że rzezie Ormian były ludobójstwem. Francuski sąd orzekł, że Lewis nie może być ścigany na podstawie ustawy Gayssota, gdyż ta dotyczy jedynie ludobójstwa uznanego przez trybunał norymberski. Francuscy Ormianie pozwali jednak historyka i w procesie zasądzono na ich rzecz symboliczne odszkodowanie.

W latach 1992–2000 we Francji wydano 29 skazujących wyroków w związku ze złamaniem ustawy Gayssota. Francuskie sądy w orzecznictwie i wykładni interpretują ustawę bardzo szeroko. Według tamtejszego Sądu Kasacyjnego do złamania ustawy wystarcza, by ktoś ledwie wyraził wątpliwości lub zaprzeczył zbrodniom przeciw ludzkości za pomocą insynuacji lub pod pretekstem ustalenia domniemanej prawdy historycznej. Wątpliwości w tej kwestii głosili nawet badacze rewizjonizmu pochodzenia żydowskiego, tacy jak Robert A. Kahn, który stwierdził, że ustawa Gayssota „została rozciągnięta na zachowania tylko w małym stopniu odnoszące się do Holokaustu" i jej istnienie „stawia bardzo ważne pytania na temat wolności słowa".

Francuscy historycy, w przeciwieństwie do niemieckich, w ogóle są bardzo niechętnie nastawieni do ustaw regulujących pamięć historyczną. „Samozwańczy rewizjoniści nie powinni być brani zbyt poważnie. Lepiej przyzwyczaić się do istnienia tej sekty" – stwierdził Pierre Vidal-Naquet, znany francuski historyk dziejów starożytnej Grecji. Inni wskazywali na to, że ustawa Gayssota miała wręcz odwrotny skutek – im bardziej nagłaśniano procesy przeciw rewizjonistom, tym większą popularność oni zdobywali.

Jedną z francuskich ustaw historycznych jest „loi Taubira". Ustawa ta uznaje niewolnictwo i nowożytny handel niewolnikami za zbrodnię przeciwko ludzkości. W 2004 r. historyk Olivier Grenouilleau stwierdził jednak, że przy całym swym barbarzyństwie niewolnictwo nie może być uznawane za zbrodnię przeciw ludzkości, gdyż właścicielom niewolników zależało na tym, aby ci przeżyli. Stowarzyszenie Francuzów z Antyli, Gujany i Reunionu złożyło zawiadomienie o złamaniu ustawy Gayssota w związku z negowaniem zbrodni przeciw ludzkości. Sprawa ta została umorzona między innymi w wyniku protestów francuskich historyków, którzy stanęli w obronie wolności słowa.

AMERYKAŃSKI SPOSÓB

„Nie ma czegoś takiego jak fałszywa idea" – stwierdził Sąd Najwyższy USA w 1974 r. „Jakkolwiek szkodliwa dana opinia by się wydawała, jej korekta nie powinna należeć do sądów i sędziów, ale do innych idei, które są z nią w stanie konkurować". USA twardo trzymają się pierwszej poprawki do konstytucji, która zdefiniowała w USA wolność słowa. Prawo do „opowiadania bzdur" jest tam uznawane za prawo człowieka. Można zatem w USA kłamać na temat swoich sukcesów wojennych i przypisywać sobie udział w heroicznych akcjach, w których w rzeczywistości nigdy się nie uczestniczyło, lub też chwalić się posiadaniem medalu, którego w rzeczywistości się nie ma. Tym samym wolno też w USA mówić na temat Holokaustu, co się komu podoba.

Jedynym sposobem na prawne zwycięstwo nad negacjonistą jest więc pozew cywilny. Najsłynniejsza batalia prawna związana z negowaniem Holokaustu w USA to tzw. sprawa Mermelsteina. W 1978 r. rewizjonistyczna organizacja IHR (Institute for Historical Review) szukając rozgłosu, zaczęła wysyłać listy do ocalałych z Holokaustu, w których obiecywała 50 tys. dol. każdemu, kto będzie w stanie udowodnić, że w Auschwitz istniały komory gazowe. Mel Mermelstein, ocalały z Auschwitz, wysłał zatem odpowiedź, w której udowodnił, że istnienie komór to fakt. Następnie zażądał nagrody. IHR zamilkło, więc Mermelstein pozwał stowarzyszenie, zarzucając mu złamanie postanowień umowy cywilnoprawnej, a także spowodowanie uszczerbku na zdrowiu psychicznym i uraz spowodowany zaprzeczaniem ustalonym faktom.

Adwokat Mermelsteina poprosił o włączenie ustaleń historyków na temat Holokaustu jako dowodu sądowego. Wniosek miał 300 stron i składał się głównie z cytatów z prac naukowych. Sąd przychylił się do tego wniosku. Sprawa ciągnęła się jeszcze kilka lat i ostatecznie zakończyła się zwycięstwem Mermelsteina, któremu IHR musiała wypłacić zaległą nagrodę oraz dodatkowo 40 tys. dol. zadośćuczynienia. Mermelstein ogłosił swoje zwycięstwo i publicznie stwierdził, że IHR podważało istnienie Holokaustu. Stowarzyszenie odpowiedziało wówczas pozwem o zniesławienie. Sędzia oddalił go jednak, nazywając powodów „płaskoziemcami". W Ameryce uznają najwyraźniej, że jest to lepszy sposób na zwalczanie negacjonizmu niż kary więzienia.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9e340ad6ae

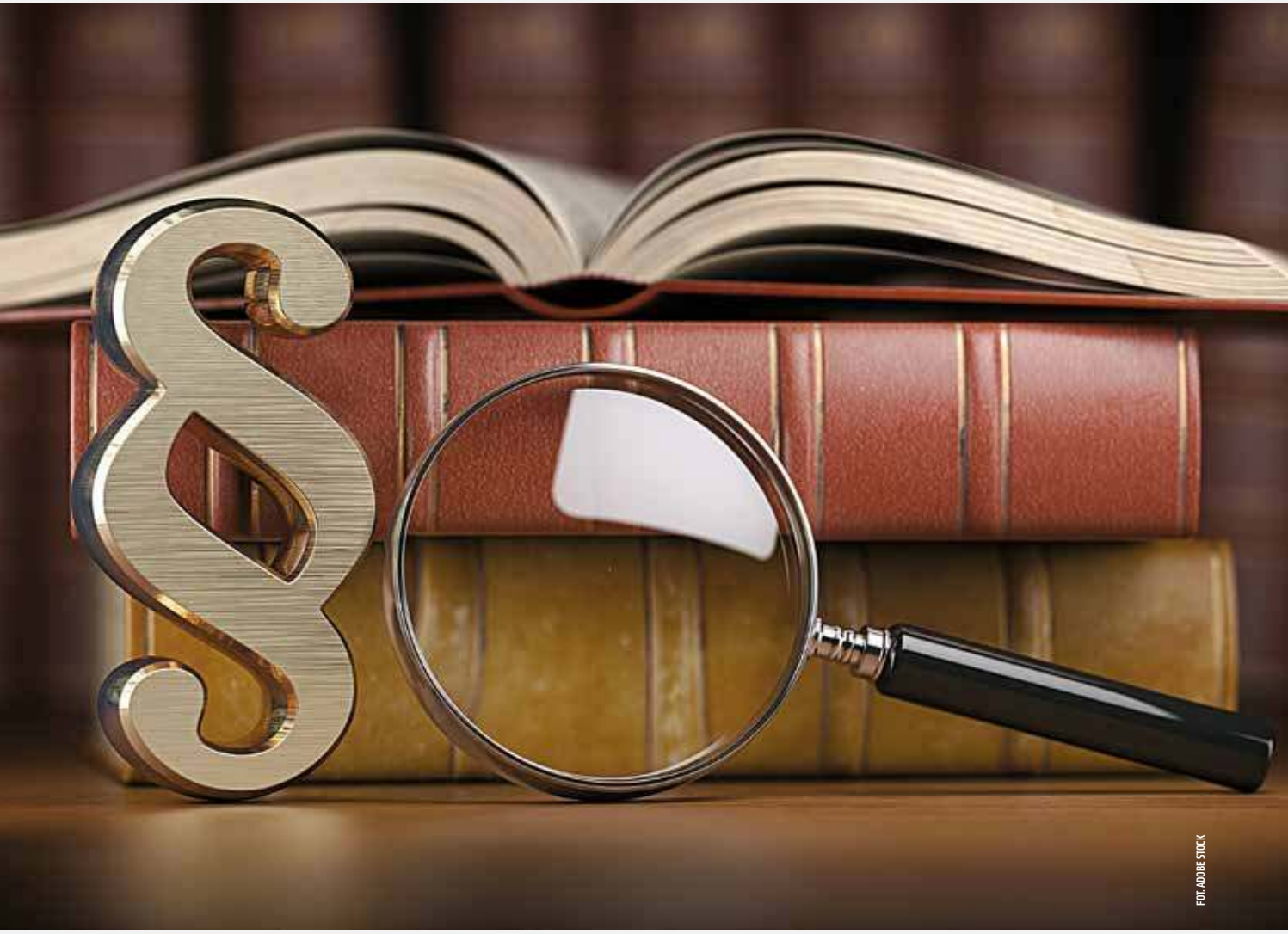

FOT. ADOBE STOCK

Prawny bat na fałszerzy

Piotr Włoczyk

Polska penalizuje „kłamstwo oświęcimskie" podobnie jak inne kraje Europy Środkowej, zakazując negowania zbrodni niemieckich na równi z kłamaniem na temat mordów komunistycznych. Zupełnie inaczej podchodzi do tego Zachód

W 1973 r. w Republice Federalnej Niemiec ukazała się broszura „Die Auschwitz-Lüge" („Kłamstwo oświęcimskie"). Autorem tej publikacji był Thies Christophersen, urodzony w 1918 r. były esesman, który w trakcie wojny był strażnikiem w Auschwitz w stopniu Sonderführera (dowódca specjalny). Książeczka ta stała się szybko „klasykiem" literatury neonazistowskiej. Przedstawiając własne wspomnienia z czasów drugiej wojny światowej, Christophersen twierdził, że w Auschwitz z pewnością nie istniały żadne komory gazowe, a obóz był jedynie wielkim zakładem przemysłowym.

Przez kolejne dekady negacjoniści na całym świecie powoływali się na „Die Auschwitz-Lüge", kontestując powszechnie przyjęte za pewnik ustalenia historyków – KL Auschwitz był niemieckim obozem zagłady,

eprasa.pl 9e340ad6ae

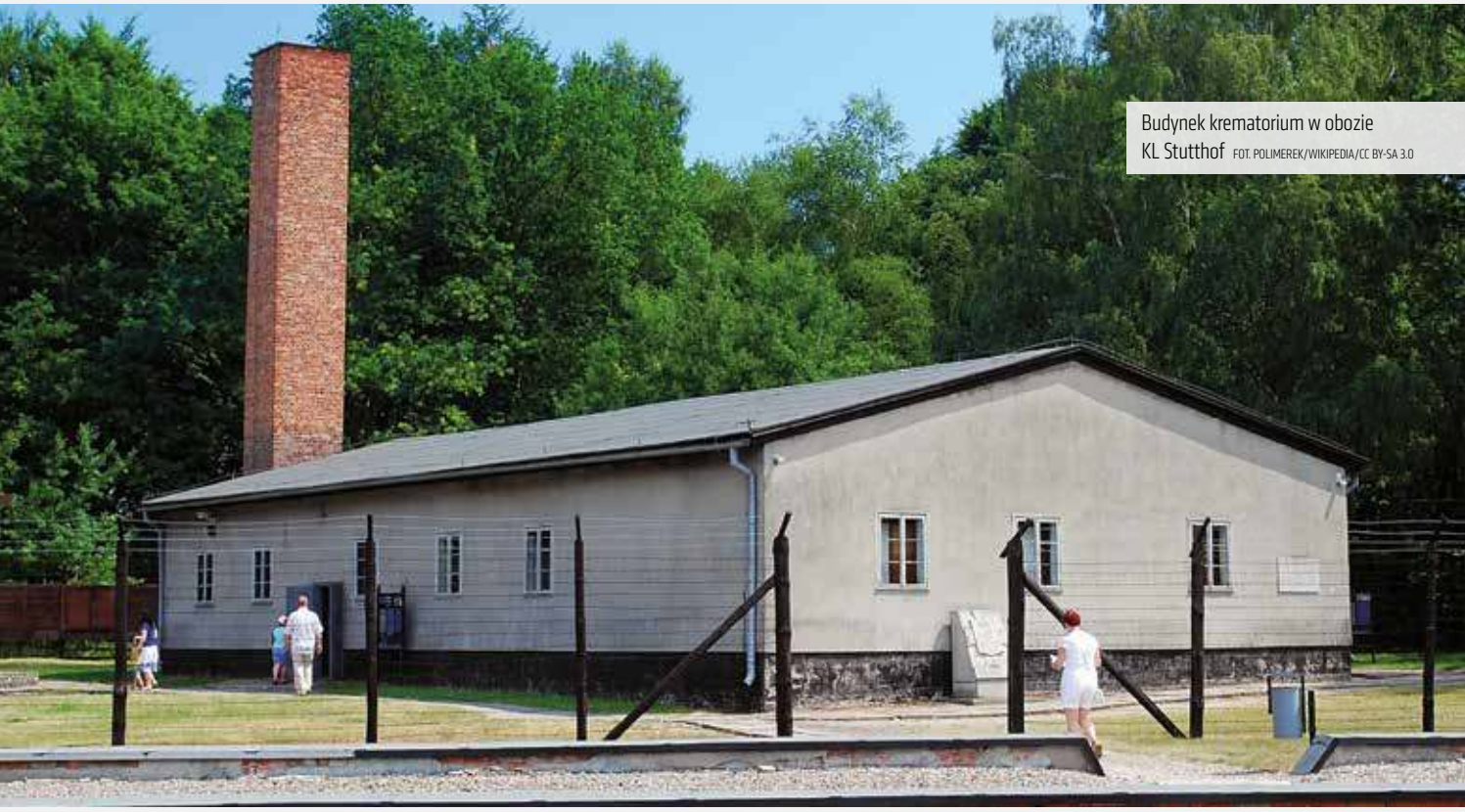

Budynek krematorium w obozie KL Stutthof FOT. POLIMEREK/WIKIPEDIA/CC BY-SA 3.0

w którym zamordowano ok. 1,1 mln osób. W ten oto sposób za sprawą Christophersena (choć bez wątpienia wbrew jego intencjom) do obiegu publicznego weszło sformułowanie „kłamstwo oświęcimskie" określające działania mające na celu wykoślawienie prawdy na temat zagłady Żydów.

„Od końca lat 80. negacjoniści ludobójstwa powołują się na bardziej »obiektywne« dowody, tj. wyniki badań chemicznych tynku zebranego ze ścian komór gazowych. Ekipy pseudoekspertów, udając turystów, po kryjomu wykuwali ze ścian komór gazowych kawałki tynku, by później poddać je analizie chemicznej na obecność związków cyklonu B – tłumaczą eksperci z Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau. – Związków tych oczywiście zawsze jest za mało, by można było uznać, że w pomieszczeniach tych zabijano ludzi. Co więcej – analizy te mają być oczywistym dowodem, że nikogo w nich gazem nie zabito".

Za sprawą Christophersena do obiegu publicznego weszło sformułowanie „kłamstwo oświęcimskie"

Wobec nasilających się tendencji negacjonistycznych ustawodawcy – przede wszystkim w Europie – stanęli wobec dylematu, jak zareagować wobec kłamstw na temat zbrodni III Rzeszy, nie krępując równocześnie zbyt mocno swobody wypowiedzi i badań naukowych. Czy ówczesne przepisy prawne mogły być wykorzystywane również do zwalczania jawnych kłamstw na temat masowych mordów przeprowadzanych przez Niemców? Czy jednak potrzebne są do tego zupełnie nowe mechanizmy?

IPN PRZECIW KŁAMSTWU

W czasach PRL w Kodeksie karnym (z 1969 r.) istniał zapis zabraniający gloryfikacji ideologii hitlerowskiej. Artykuł 270 kk stanowił, że „kto publicznie pochwala faszyzm lub jakąkolwiek jego odmianę", podlega karze pozbawienia wolności od sześciu miesięcy do lat ośmiu. Po upadku komunizmu w nowym Kodeksie karnym z 1997 r. znalazł się przepis (art. 256), który penalizował dodatkowo zachowania, które w epoce PRL siłą rzeczy nie mogły być karane: „Kto publicznie propaguje faszystowski lub inny totalitarny ustrój państwa lub nawołuje do nienawiści na tle różnic narodowościowych, etnicznych, rasowych, wyznaniowych albo ze względu na bezwyznaniowość, podlega grzywnie, karze ograniczenia wolności albo pozbawienia wolności do lat 2". Dzięki temu rozwiązaniu możliwe stało się, siedem lat po upadku PRL ściganie osób, które wychwalały system komunistyczny.

Polski ustawodawca uznał jednak, że należy wprowadzić do polskiego porządku prawnego przepis, który wprost zabraniałby nie tylko przedstawiania totalitarnych ideologii w pozytywny sposób, lecz także wprost penalizowałby zakłamywanie masowych zbrodni.

W ten sposób półtora roku po wprowadzeniu nowego, niekomunistycznego Kodeksu karnego Sejm uchwalił ustawę o Instytucie Pamięci Narodowej, w której znalazł się art. 55: „Kto publicznie i wbrew faktom zaprzecza zbrodniom, o których mowa w art. 1 pkt 1, podlega grzywnie lub karze pozbawienia wolności do lat 3. Wyrok podawany jest do publicznej wiadomości".

W artykule 1 pkt 1 mowa jest tymczasem o zbrodniach nazistowskich, komunistycznych, zbrodniach członków

eprasa.pl 9e340ad6ae

ukraińskich formacji kolaborujących z III Rzeszą Niemiecką oraz innych przestępstwach stanowiących zbrodnie przeciwko pokojowi, ludzkości lub zbrodnie wojenne.

Ustawa o IPN penalizuje negowanie zbrodni, do których doszło między 1 września 1939 r. a 31 lipca 1990 r. (dzień, w którym zlikwidowano Służbę Bezpieczeństwa MSW i powołano na jej miejsce Urząd Ochrony Państwa). Przesłanką konieczną do skazania jest publiczny charakter wypowiedzi – zaprzeczanie Holokaustowi w prywatnych rozmowach w niewielkiej grupie osób nie jest karane. W przypadku wyroku skazującego istnieje obowiązek podania go do publicznej wiadomości.

Eksperci zwracają jednak uwagę, że o ile ustawa precyzuje termin „zbrodnie komunistyczne", o tyle „zbrodnie nazistowskie" nie zostały uszczegółowione. W tym pierwszym przypadku chodzi o „czyny popełnione przez funkcjonariuszy państwa komunistycznego w okresie od dnia 17 września 1939 r. od dnia 31 lipca 1990 r., polegające na stosowaniu represji lub innych form naruszania praw człowieka wobec jednostek lub grup ludności bądź w związku z ich stosowaniem, stanowiące przestępstwa według polskiej ustawy karnej obowiązującej w czasie ich popełnienia [...]".

Jak wygląda w tym kontekście kwestia zabezpieczenia wolności nauki? Jak zwraca uwagę dr Tymoteusz Zych w książce „Prawda historyczna a odpowiedzialność za jej negowanie lub zniekształcanie": „W odniesieniu do strony podmiotowej przestępstwa wskazuje się na znamię umyślności cechujące analizowany czyn. W doktrynie zwraca się uwagę, że może on zostać popełniony wyłącznie w zamiarze bezpośrednim. Należy więc wnioskować, że przedmiotem penalizacji jest wyłącznie umyślne naruszenie zasad warsztatu historycznego. Znamię to nie zostanie spełnione w sytuacji, gdy celem osoby negującej faktyczny charakter zdarzeń określonych w przepisie jest »rzeczywiste poszukiwanie prawdy, a nie tylko manipulowanie faktami«".

Co istotne, polskie przepisy nie warunkują karania negacji wzywaniem do popełnienia przestępstwa, jak ma to miejsce w Grecji i we Włoszech. Do karania za negowanie m.in. zbrodni Holokaustu nawołuje państwa członkowskie Unia Europejska, na mocy decyzji ramowej z 28 listopada 2008 r. UE wzywa, by karane było „publiczne aprobowanie, negowanie lub rażące pomniejszanie zbrodni określonych w art. 6 Karty Międzynarodowego Trybunału Wojskowego, a skierowanych przeciwko grupie osób, którą definiuje się według rasy, koloru skóry, wyznawanej religii, pochodzenia albo przynależności narodowej lub etnicznej, lub przeciwko członkowi tej grupy, jeżeli czyny takie mogą podburzać do przemocy lub wzbudzać nienawiść skierowaną przeciwko tej grupie lub jej członkowi".

„Die Auschwitz-Lüge" Thiesa Christophersena FOT. DOMENA PUBLICZNA

ŚRODKOWOEUROPEJSKA SPECYFIKA

Polskie prawo penalizujące „kłamstwo oświęcimskie" podobne jest w tym zakresie do prawodawstwa m.in. Litwy, Węgier, Czech i Słowacji, gdzie zakazane jest zaprzeczanie zbrodniom nazistowskim oraz właśnie komunistycznym. Obie te kategorie występują obok siebie, co wcale nie jest oczywistością.

Polskie prawo podobne jest w tym zakresie do prawodawstwa m.in. Litwy, Węgier, Czech i Słowacji

Zupełnie inaczej kwestia ta wygląda bowiem na zachodzie Europy, m.in. we Francji, w Niemczech, Austrii czy Belgii (ale także w Izraelu), gdzie zakazane jest kwestionowanie zbrodni nazistowskich. O masakrach dokonywanych przez komunistów prawodawstwo tych krajów milczy.

Z tym „dualistycznym" podejściem do karania za kłamstwa historyczne walczy m.in. Dovid Katz, amerykański historyk, który jest jednym z najbardziej znanych krytyków tzw. podwójnego ludobójstwa. Jego zdaniem nie sposób bowiem zrównywać zbrodni III Rzeszy oraz Związku Sowieckiego.

– Takie stanowisko uważam za kompletne nieporozumienie – mówi „Do Rzeczy" Tadeusz Płużański, historyk specjalizujący się w tematyce zbrodni komunistycznych. – Jeżeli spojrzymy na historię, to ofiar mordów komunistycznych jest o wiele więcej niż ofiar nazizmu. Oba totalitaryzmy należy z całą stanowczością potępiać. Niestety, nawet w Polsce zbyt często pomija się ofiary komunizmu. Przykładowo w szkołach naucza się, że Polska straciła w czasie drugiej wojny światowej 6 mln obywateli – 3 mln Polaków i 3 mln Żydów z polskim obywatelstwem. Tymczasem nie mówi się tu o setkach tysięcy Polaków zamordowanych przez Sowietów i komunistów. Dlatego jest dla mnie zupełnie zrozumiałą rzeczą, że w katalogu zbrodni, którym nie można zaprzeczać, znajdują się zarówno te dokonane przez III Rzeszę, jak i Związek Sowiecki. Prawo musi dostrzegać, że masowych mordów dopuszczali się i Niemcy, i Sowieci.

Również zdaniem mecenasa Szymona Topy ze stowarzyszenia Patria Nostra, zajmującego się bronieniem przed sądami dobrego imienia narodu polskiego, równoległa

eprasa.pl 9e340ad6ae

penalizacja zbrodni nazistowskich i komunistycznych jest rzeczą jak najbardziej naturalną.

– Wydaje się, że art. 55 ustawy o IPN nie budzi wątpliwości jako przepis penalizujący tzw. kłamstwo oświęcimskie, stanowiąc podstawę do skazania osoby, która publicznie zaprzecza zbrodni Holokaustu. Mało tego, jeśli przepis ten traktować również jako instrument polityki historycznej (polityki pamięci), to raczej słuszne jest ujęcie tej problematyki w kontekście ochrony pamięci o zbrodniach popełnionych na narodzie polskim – mówi „Do Rzeczy" mecenas Szymon Topa. – Skutki okupacji obu totalitaryzmów odczuwamy do dzisiaj, zarówno w sferze demograficznej, jak i gospodarczej. Nie jest zatem dziwne, że w polskiej wspólnotowej pamięci, chronionej właśnie przez przepis art. 55 ustawy o IPN, zbrodnie popełnione na rozkaz Hitlera czy Stalina są w sensie normatywnym i aksjologicznym ujęte w tym samym przepisie. Nie można pominąć, że wobec agresywnej polityki historycznej rosyjskiego przywódcy potrzeba ochrony pamięci o ofiarach komunistycznej okupacji staje się szczególnie ważna.

Jak jednak zauważa mecenas Topa, art. 55 ustawy o IPN nie chroni Polski przed rozpowszechnianiem w mediach określeń typu „polski obóz zagłady". – Jak pokazują praktyka orzecznicza, a także wypowiedzi niektórych przedstawicieli doktryny prawa karnego, kwestionuje się możliwość skazania na podstawie tego przepisu dziennikarza posługującego się tego rodzaju wadliwymi kodami pamięci. Niejednokrotnie jest to wyraz braku przekonania o praktycznych możliwościach ścigania karnego dziennikarza, a w innych – naiwnego przekonania o braku wpływu tego rodzaju wypowiedzi na świadomość historyczną zagranicznej opinii publicznej – mówi mecenas Topa. – Zasadny zatem wydaje się powrót do prac nad opracowaniem jednoznacznych przepisów, które mogłyby dać polskim organom ścigania narzędzie do pociągania do odpowiedzialności osób, które zniekształcają pamięć o sprawcach zbrodni popełnionych na byłych więźniach obozów zagłady. Co istotne, można spróbować powiązać z penalizacją zaprzeczenia Holokaustu jako szczególnej kategorii, zaprzeczenie zbrodniom niemieckiego nazizmu, aby w ten sposób uzyskać akceptację środowisk żydowskich, oczekujących tego od Polski.

Mecenas Lech Obara ze stowarzyszenia Patria Nostra podkreśla, że w zwalczaniu kłamstw historycznych pomocne może być również prawo cywilne.

Od połowy lat 80. nieustannie zwiększa się liczba krajów, które zdecydowały się na penalizowanie „kłamstwa oświęcimskiego"

– W przypadku ludzi, którzy kłamią na temat naszej historii w sposób perfidny, szczególnie w kontekście drugiej wojny światowej, próbując przypisać Polakom zbrodnie popełnione przez innych, jestem w stanie wyobrazić sobie karanie takich czynów nawet więzieniem. Musimy jednak zdawać sobie sprawę z tego, jak wygląda praktyka w takich przypadkach. Najczęściej kłamstwa godzące w polską pamięć historyczną formułowane są poza granicami naszego kraju. Oznacza to, że musielibyśmy postawić przed polskim sądem obywatela innego państwa, który najpewniej nie będzie miał ochoty pojawić się w tym celu w Polsce. Tymczasem prawo, aby było szanowane, musi być skuteczne. Dlatego uważam, że prawo cywilne daje Polakom większe możliwości obrony naszej pamięci historycznej niż prawo karne. Głośne przeprosiny lub zasądzenie wysokiego zadośćuczynienia mogą równie dobrze odstraszać w przyszłości potencjalnych kłamców jak groźba więzienia – powiedział „Do Rzeczy" mecenas Obara.

Doktor Tymoteusz Zych z Instytutu Ordo Iuris pisze w książce „Prawda historyczna a odpowiedzialność za jej negowanie lub zniekształcanie", że od połowy lat 80. nieustannie zwiększa się liczba krajów, które zdecydowały się na penalizowanie „kłamstwa oświęcimskiego".

„Dla tej dynamiki znamienny jest przebieg debaty publicznej w Polsce, która długo koncentrowała się na dyskusji dotyczącej zgodności z konstytucyjnymi gwarancjami wolności wypowiedzi zakazu kwestionowania zbrodni komunistycznych i nazistowskich zbrodni niemieckich zawartego w art. 55 IPN – pisze dr Tymoteusz Zych. – Z czasem jednak ten wątek stracił na znaczeniu, a pod wpływem rozpowszechniania frazy »polskie obozy śmierci« dyskusja koncentrowała się na możliwości poszerzenia sankcji karnej, skutkując przyjęciem obowiązujących przez 137 dni przepisów o szerokim zakresie dyspozycji penalizujących dyfamację narodu polskiego i państwa polskiego poprzez przypisywanie im wbrew faktom odpowiedzialności za zbrodnie przeciwko pokojowi, zbrodnie wojenne oraz zbrodnie przeciwko ludzkości".

Jak jednak pokazało bardzo krytyczne przyjęcie przez opinię międzynarodową nowelizacji polskiej ustawy o IPN w 2018 r., tak znaczące poszerzenie sankcji karnej penalizującej znieważanie narodu polskiego wymaga również skutecznej osłony dyplomacji.

– Od początku przekonywałem, że nie powinniśmy ustępować w tej kwestii. Uleganie presji zagranicy to preludium do dalszego zniekształcania naszej historii. Nie brak bowiem za granicą potężnych sił, które dążą do przekonania świata, że druga wojna światowa wybuchła przez awanturnictwo Polaków, którzy chcieli budować obozy zagłady. Musimy za wszelką cenę bronić się przed tym kłamstwem – mówi Tadeusz Płużański. – Ja patrzę szeroko na termin „kłamstwo oświęcimskie". Dla mnie to nie tylko samo zaprzeczanie Holokaustowi, lecz także wmawianie nam, że niemieckie obozy koncentracyjne były „polskie". Każdy chyba w Polsce widzi, że w naszym kraju negowanie faktu, którym był Holokaust, jest zjawiskiem kompletnie marginalnym. Większym problemem jest tak często powtarzana fraza „polskie obozy". Musimy zrobić wszystko, by to oszczercze sformułowanie było jak najbardziej powszechnie uznawane na świecie za część „kłamstwa oświęcimskiego".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9e340ad6ae

Mówienie o „polskich obozach koncentracyjnych” to „kłamstwo oświęcimskie”

Z wiceministrem sprawiedliwości Marcinem Romanowskim

rozmawia Jacek Przybylski

JACEK PRZYBYLSKI: Polak nie może przed polskimi sądami dochodzić odszkodowań za sformułowania o „polskich obozach” w niemieckich mediach, o ile nie został indywidualnie wskazany w ich publikacjach – orzekł w czerwcu tego roku Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej. Taki wyrok zdaje się zamykać Polakom drogę do sądu w sprawach, w których są obrażani. Czy to oznacza, że można bezkarnie szkalować dobre imię narodu polskiego, bo polski patriota nie może już powoływać się na naruszenie swych dóbr osobistych po prostu z racji bycia Polakiem i dochodzić swoich racji przed polskim sądem?

MARCIN ROMANOWSKI: Nie jest dla mnie nowością, że TSUE broni interesów Niemiec, a organy Unii Europejskiej chcą rozstrzygać o tym, kto i co ma robić w Polsce – jak mają działać sądy, kto ma jakie kompetencje i kiedy. W swojej złej woli pomijają w tym zakresie polską konstytucję i polskie ustawy, stawiając się – bez żadnych podstaw – ponad tym prawem.

Według tego wyroku Niemcy staną się sędziami we własnej sprawie, co jest przecież kuriozalne. Niemieckie sądy będą rozstrzygać, czy obozy były polskie czy niemieckie i jak mogą to określać media. To absurd, ale też ogromne niebezpieczeństwo, bo wyrok ten wzmacnia możliwości prowadzenia kłamliwej narracji o historii i zakłamywania tej historii.

Trybunał pokazał też w tym przypadku, jak zmienna jest jego narracja w zależności od tego, czyjego interesu sprawa dotyczy. W 2011 r. uznał, że w podobnych sprawach można dochodzić ochrony dóbr osobistych przed polskimi sądami. Wtedy chodziło jednak o Brytyjczyków i Francuzów. Teraz, kiedy sprawa dotyczy sporu polskiego obywatela z niemieckim medium, staje po stronie Niemiec, bo w tle jest cała polityka historyczna Niemiec mająca wybielić ich nazistowską historię.

Sędziowie TSUE wydali ten kontrowersyjny wyrok, odpowiadając na pytanie prejudycjalne Sądu Apelacyjnego w Warszawie dotyczącego sporu między Stanisławem Zalewskim, byłym więźniem Auschwitz i prezesem Polskiego Związku Byłych Więźniów Politycznych Hitlerowskich Więzień i Obozów Koncentracyjnych (PZBWOK), oraz niemieckim wydawcą portalu Mittelbayerische.de z Ratyzbony, który w roku 2017 pisał o „polskim obozie zagłady Treblinka”.

W tym właśnie tkwi cała perfidia tego wyroku. Według unijnego prawa w sprawie jurysdykcji i uznawania orzeczeń sądowych oraz ich wykonywania w sprawach cywilnych i handlowych osoba, która uważa się za poszkodowaną, może wytoczyć powództwo na terenie państwa, w którym znajduje się centrum jej interesów życiowych, czyli głównie miejsce zamieszkania.

Jednak w przypadku sprawy pana Zalewskiego sędziowie TSUE uznali, że jego osoba nie została w żaden sposób wskazana w opublikowanym artykule – ani bezpośrednio, ani pośrednio.

To – zdaniem TSUE – zmienia postać rzeczy, bo brak tu szczególnie ścisłego związku pomiędzy sądem, w którego obszarze właściwości znajduje się centrum interesów życiowych osoby powołującej się na naruszenie jej dóbr osobistych, a przedmiotowym sporem. I w związku z tym polski sąd nie może rozpoznawać tego sporu.

A więc pozostają sądy niemieckie. I to te sądy będą nie tylko orzekały w takich sprawach, lecz także na przykład wyznaczały kolejne terminy. Pamiętajmy tutaj, że dobra osobiste, w tym prawa do wizerunku czy dobrego imienia, są immanentnie związanie z konkretną osobą i wygasają w momencie jej śmierci. Wystarczy więc odpowiednio długo prowadzić postępowanie, zwłaszcza że osoby, które uczestniczyły w tamtych tragicznych wydarzeniach, są już bardzo wiekowe.

Inny niemiecki wydawca – niemiecka telewizja ZDF – dopiero w 2019 r., po długiej sądowej batalii, wycofał skargę kasacyjną od wyroku polskiego sądu, który nakazał mu przeprosić byłego więźnia Auschwitz Karola Tenderę za zastosowanie w swoim materiale określenia „polskie obozy zagłady”. W tej sprawie Ministerstwo Sprawiedliwości zwróciło się w tym roku do ministra Konrada Szymańskiego z wnioskiem o skierowanie sprawy pana Karola Tendery w trybie art. 259 TFUE do Komisji Europejskiej. Pan Tendera nie doczekał sprawiedliwości. Niemiecka telewizja ZDF nie wykonała bowiem wyroku, mimo że Sąd Apelacyjny w Krakowie prawomocnie uznał, że sformułowanie „polskie obozy” jest nie tylko historycznym kłamstwem, lecz także naruszeniem indywidualnych dóbr Karola Tendery.

Wyrok czerwcowy w sprawie pana Stanisława Zalewskiego należy – moim zdaniem – rozpatrywać także w kontekście sprawy pana Karola Tendery. Nie bez przyczyny wspomniałem właśnie o możliwościach proceduralnych, które mają sądy i których mogą użyć w chwili, gdy

eprasa.pl 9e340ad6ae

postępowania miałyby być prowadzone właśnie przed nimi. Śmierć pana Tendery skutkowała bowiem umorzeniem postępowania.

Przypomnijmy też samą treść wyroku Federalnego Trybunału Sprawiedliwości w Karlsruhe, który uznał, że wyrok nie może być wykonany w Niemczech z uwagi na to, że jest tam konstytucyjnie chroniona wolność słowa, a to wyklucza nakazanie konkretnej treści przeprosin. Czyli znów wykorzystywanie kruczków i szukanie za wszelką cenę pretekstów, by nie przyznać się do tego, że na terenie Polski działały niemieckie obozy koncentracyjne i że to Niemcy odpowiadają za te zbrodnie.

Podobnych „błędów" w zagranicznych mediach jest niestety wciąż bardzo dużo. Zdarzył się on nawet byłemu prezydentowi USA Barackowi Obamie. Jak można z tym walczyć?

Nie ma innego sposobu, jak w każdej podobnej sytuacji reagować i podnosić alarm. W przypadku stacji ZDF dopiero sprawa sądowa i długoletnia batalia poskutkowały. Mimo butnej postawy i negowania treści wyroków i podważania ich w każdy możliwy sposób – na antenie już nie pojawiło się sformułowanie o „polskich obozach".

Amerykański „The Wall Street Journal" wprowadził zakaz określania niemieckich obozów na terenie Polski słowami „polskie obozy". To sformułowanie pojawia się teraz istotnie rzadziej na łamach tej gazety, chociaż co jakiś czas ma miejsce kolejny taki incydent, co zmusza polską stronę do reakcji.

Dzięki działaniom takich instytucji jak Instytut Pileckiego amerykańskiej Polonii czy fundacjom działającym w Polsce i za granicą udaje się stopniowo ograniczać powstawanie tych „błędów". Czym innym jest jednak błąd, a czym innym celowe działanie.

W przypadku mediów anglosaskich można jeszcze próbować wierzyć w tłumaczenie, że kłamliwy i obraźliwy dla Polaków termin to wynik ignorancji piszącego lub mówiącego. Wielokrotnie tego typu określeń używali jednak niemieccy dziennikarze. Czy wierzy pan, że pisanie o „polskich obozach" to tylko przejaw ignorancji czy może jednak celowej polityki, mającej na celu fałszowanie historii i rozmywanie prawdy?

Gdybyśmy rozmawiali o tej sprawie kilkadziesiąt lat temu, może jeszcze pod koniec ubiegłego wieku – powiedziałbym, że jest w tym na pewno wiele

FOT. MINISTERSTWO SPRAWIEDLIWOŚCI

eprasa.pl 9e340ad6ae

ignorancji i niedbałości. Jednak żyjemy w czasach, kiedy informacja dociera od razu do wszystkich zainteresowanych. Nie sądzę, żeby na całym świecie znalazł się odpowiedzialny dziennikarz, który nie słyszał o polskich protestach w sprawie nazywania polskimi niemieckich obozów śmierci.

Przecież redakcje mają jakąś strukturę, ktoś decyduje o poruszanych tematach, ktoś sprawdza teksty, choćby tylko pod względem gramatycznym. Uważam zatem, że jeśli dziś ktoś pisze o polskich obozach, to nie jest to po prostu błąd, tylko celowe działanie.

Niemcy widzą to chyba zupełnie inaczej. Thomas Schmid w „Die Welt" krytykował jeszcze w 2018 r. politykę historyczną obecnego polskiego rządu, „który zabiega o utworzenie z określonej interpretacji historii państwowego kanonu i chce oficjalnie i państwowo proklamować na zawsze polski naród heroicznym narodem ofiar". Zdaniem Schmida państwo będące republiką nie powinno narzucać społeczeństwu wiążącej interpretacji historii, a „Polska zastygła w ideologii martyrologicznej byłaby osobliwym członkiem Unii Europejskiej". Może my rzeczywiście przesadzamy z tą polską martyrologią?

Spójrzmy na fakty – wywołana przez nazistowskie Niemcy i Rosję Sowiecką druga wojna światowa była najkrwawszą wojną w historii ludzkości. Według danych IPN w Polsce zginęło w tym czasie prawie 6 mln obywateli, w tym Żydów. Polska straciła najcenniejszych przedstawicieli narodu – inteligencja zginęła w obozach, została rozstrzelana w katyńskich lasach, pogrzebana w gruzach powstańczej Warszawy. A ci, którzy walczyli dalej, zostali zamordowani w bezpieckich więzieniach.

Walczyliśmy na wszystkich frontach, przelewając krew za wolność wielu innych narodów. To wszystko są fakty, a w zasadzie tylko niewielka ich część. I kiedy mówimy o tych faktach i domagamy się uznania dla nich – niemiecki dziennikarz mówi nam, że przesadzamy i wytyka martyrologię. Polska polityka historyczna – a dodam, że przecież każde państwo ją prowadzi – opiera się na prawdzie. A ona nie leży pośrodku, tylko leży tam, gdzie ją historia umieściła. I my domagamy się tylko tego, żeby jej nigdzie nie przesuwać.

Mówienie o „polskich obozach koncentracyjnych" to forma zaprzeczania zbrodniom III Rzeszy, czyli tzw. kłamstwo oświęcimskie – przekonywał jeszcze jako prezes IPN prof. Leon Kieres. Podziela pan ten argument? Uważa pan, że przypisywanie Polakom współodpowiedzialności za Holokaust powinno być powszechnie uznawane za element „kłamstwa oświęcimskiego"?

„Kłamstwo oświęcimskie" jest twierdzeniem z zakresu prawa i dotyczy fałszowania rzeczywistości historycznej związanej z zagładą Żydów, Holokaustem. Jeśli więc ktoś mówi, że obozy, w których ginęli Żydzi, były polskimi obozami, to jest to „kłamstwo oświęcimskie". Jeśli ktoś przypisuje Polakom współodpowiedzialność za Holokaust, to też – nawet tylko w rozumieniu prawnym – jest to „kłamstwo oświęcimskie", bo Polacy nie byli częścią żydowskiej zagłady, a wręcz przeciwnie – mamy przecież wiele znanych przykładów heroizmu naszych rodaków, którzy stawali w obronie swoich żydowskich sąsiadów. Zresztą Polacy nieżydowskiego pochodzenia ginęli w tych samych obozach, w których ginęli Żydzi.

To, co budzi we mnie – lekko mówiąc – zdziwienie, to fakt, że polskie media liberalne tak chętnie podejmują dyskusję na temat roli Polaków w Holokauście, tak chętnie wyszukują przypadki, w których ktoś współpracował z Niemcami, wydając im na przykład ukrywających się Żydów. Padają określenia, takie jak: „nie wszyscy pomagali", „byli tacy, którzy zdradzali". Usiłuje się umniejszyć w świadomości społecznej rolę i poświęcenie tych, którzy oddawali swoje życie w obronie Żydów. Tu powinien wystarczyć chociaż tej jeden argument – tytuł Sprawiedliwy wśród Narodów Świata, nadawany przez instytut Yad Vashem osobom, które ratowały Żydów, otrzymało już ponad 7 tys. Polaków. To najliczniejsza grupa uhonorowanych, składająca się na ponad 25 proc. wszystkich Sprawiedliwych.

Na początku XXI w. Centrum Szymona Wiesenthala zmieniło treść swojego komunikatu w sprawie Ivana Demjanjuka, zastępując określenie „polskie obozy śmierci" określeniem „nazistowskie obozy śmierci w Polsce". Niemcy od kilku dekad prowadzą skuteczną politykę historyczną, której zadaniem jest zamazywanie odpowiedzialności za zbrodnie wojenne. Dlaczego obecnie niektórym zagranicznym dziennikarzom łatwiej jest oczerniać Polaków – czyli ofiary konfliktu – niż pisać prawdę o niemieckich oprawcach?

Odcinanie się Niemców od nazizmu rozumiem, bo przecież trudno jest zaakceptować tak trudną historyczną prawdę człowiekowi, który jest częścią niemieckiego narodu. Łatwiej mówić o mitycznych „nazistach", to rozmywa odpowiedzialność. I pomaga zapomnieć o tym, że ci „naziści" mówili po niemiecku.

Niemcy całe dziesięciolecia pracowali – i dalej pracują, jak wynika z naszej rozmowy – nad tym, żeby zatrzeć prawdę historyczną. Niemieckie zbrodnie przestają być niemieckie, a są nazistowskie – tę narrację chętnie podchwytują media zagraniczne, szczególnie te, które idą w głównym nurcie poprawności politycznej i „powszechnej zgody".

W całej Warszawie w miejscach mordu Polaków zaczęły ostatnio pojawiać się tabliczki, na których na słowo „naziści" naklejone jest słowo „Niemcy". Nie sądzi pan, że 80 lat po wybuchu wojny trzeba coraz częściej przypominać, kim byli „naziści", by karmione antypolską propagandą młode pokolenia na Zachodzie nie zapominały o tym, kto był katem, a kto był ofiarą?

Niemcy przez lata wydawali ogromne sumy pieniędzy na to, żeby w przekazie, który świat dostaje na temat zbrodni niemieckich, jak najmniej pojawiało się słowo „Niemcy", a było zastępowane przez „naziści". W wielu grach komputerowych, które mówią o drugiej wojnie, nie pada określenie „Germans" tylko „Nazi". Młodzież wychowana na takich grach czy filmach ma w głowie kodowaną informację, że ci „Nazi" to jakaś ponadpaństwowa i ponadnarodowa grupa, która chciała zawładnąć światem, zaczęła od Niemiec (dlatego mówi po niemiecku) i potem rozlała się po całym świecie.

Walkę o prawdę trzeba prowadzić wszędzie, gdzie to możliwe. My przecież nie chcemy, żeby współcześni Niemcy brali moralną odpowiedzialność za tamte zbrodnie, tylko żeby zaakceptowali swoją odpowiedzialność historyczną.

Skuteczności ochrony prawnej wobec „kłamstwa oświęcimskiego" wielu komentatorów przeciwstawia swobodę badań i opinii naukowych. Czy te dwie kwestie można połączyć i wyznaczyć granicę, gdzie jednak zaczyna się ostrzejsza walka z błędnymi kodami pamięci i np. kara bezwzględnego pozbawienia wolności za celowe fałszowanie historii i głoszenie jawnych kłamstw?

Ale przecież badania naukowe mają odkrywać prawdę, czyż nie tak? Mają prowadzić do poznania faktów. Z faktów wyciąga się wnioski. I tu jest oczywiście miejsce na interpretację, ale tylko w warunkach uznania faktów we wnioskowaniu. Jeśli więc ktoś podważa Holokaust,

eprasa.pl 9e340ad6ae

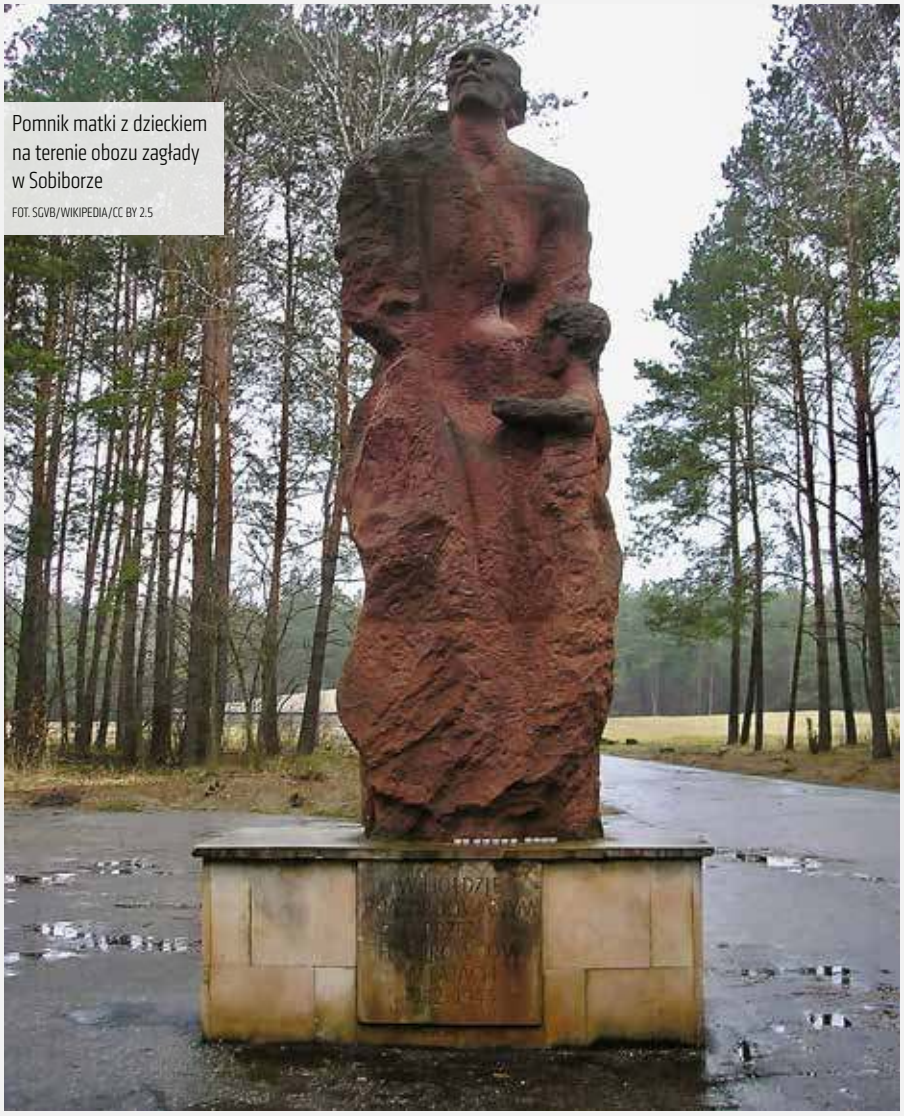

Pomnik matki z dzieckiem na terenie obozu zagłady w Sobiborze

FOT. SGVB/WIKIPEDIA/CC BY 2.5

mając przed sobą określone fakty, dokumenty, zeznania świadków i mnóstwo innych dowodów, to trudno tutaj mówić o naukowym podejściu. I to powinno być już na początku tego procesu zauważane i negowane przez samo środowisko naukowe.

Jeśli zaś chodzi o kary, to sprawa nie jest tak oczywista. Penalizacja takich zachowań zawsze daje możliwość kreowania się tym negacjonistom na obrońców wolności słowa i męczenników za prawdę, szczególnie w ich własnych szeregach. Wystarczy wspomnieć przykład Ursuli Haverbeck, która po wyrokach skazujących i odbyciu kary więzienia jest podziwiana za „nieugiętość i upór" w środowiskach faszyzujących. Na pewno jednak nie można rezygnować z walki z kłamstwem i z dążenia do wyroków, które potwierdzają prawdę.

To, że nie można zrezygnować, zdaje się być jasne dla każdego, komu zależy na dobrym imieniu Polski. Ale jak to zrobić? Ministerstwo Sprawiedliwości często powołuje się na dane naukowe i badania ekspertów, wprowadzając w życie nowe rozwiązania. Czy w przypadku rzeczonego problemu były podejmowane podobne przedsięwzięcia?

Instytut Wymiaru Sprawiedliwości, czyli instytut badawczy działający z ramienia Ministerstwa Sprawiedliwości, podejmuje wiele inicjatyw nauko-badawczych, których celem jest rozwój prawa polskiego i międzynarodowego, a także reagowanie i odpowiadanie na współczesne wyzwania prawne, takie jak patologie społeczne i zwalczanie przestępczości. Zarówno polscy, jak i zagraniczni eksperci zaangażowani w projekt pod kierownictwem IWS jasno wskazywali, że poprzednie nowelizacje ustawy o IPN nie odpowiadały standardom międzynarodowym, jednak – co bardzo istotne – podkreślali, iż karanie negacjonizmu jest obowiązkiem w świetle prawa międzynarodowego. W konsekwencji wprowadzenie przepisów dotyczących odpowiedzialności karnej za negowanie zbrodni międzynarodowych (nie tylko historycznych, lecz także współczesnych) jest koniecznością, jest obowiązkiem władz państwowych, aby zwalczać kłamstwa historyczne. W ramach przeprowadzonego projektu wskazano również, jak odbierane są te kwestie w środowisku żydowskim, co ma szczególne znaczenie dla interesów polskich i relacji międzynarodowych. Przeanalizowano również możliwe scenariusze skarg składanych przeciwko Polsce do Europejskiego Trybunału Praw Człowieka w związku ze ściganiem lub nieściganiem negacjonizmu i jakie strategie należy w związku z tym obrać. Mając na względzie, z jakim odbiorem na Zachodzie i wśród „polskiej" opozycji spotyka się ochrona dobrego imienia Polski, postępowania przed międzynarodowymi trybunałami są jak najbardziej prawdopodobne, szczególnie w odniesieniu do ścigania negacjonizmu.

W 2019 r. z dużym rozmachem rozpoczął działalność w Berlinie Instytut Pileckiego, który stara się propagować prawdę o historii drugiej wojny światowej. 8 października tego roku na łamach dziennika „Süddeutsche Zeitung" ukazał się artykuł pod tytułem „Groźna nauka", który opisuje, jak niemieccy historycy zastanawiali się podczas niedawnego panelu, czy należy zmieniać narrację Instytutu Pileckiego poprzez „bliższą współpracę czy ostracyzm", krytykując przy okazji politykę historyczną rządu PiS. Wyobraża pan sobie podobną dyskusję polskich historyków o działalności oddziału Goethe-Institut w Polsce?

Różnica pomiędzy polityką historyczną Polski a polityką historyczną Niemiec jest taka, że pierwsza ma na celu zachowanie historycznej prawdy, a druga – jak największe jej zatarcie. Stąd też takie dyskusje, jak ta nagłośniona przez „Süddeutsche Zeitung" – Niemcy szukają zawsze sposobu na to, by znaleźć sposób na zmianę narracji wobec niemieckich zbrodni. A takie zainteresowanie działalnością Instytutu Pileckiego dobrze tylko świadczy o jego działaniach. Widać, że udaje się trafić w istotne miejsca i wzbudzić dyskusję. Zauważmy, że ten sam „Süddeutsche Zeitung" w chwili, gdy w Berlinie otwierano oddział Instytutu, bardzo pozytywnie wyrażał się o jego zadaniach i podkreślał potrzebę takich działań. To pokazuje, że w Niemczech są środowiska, które też widzą potrzebę współdziałania w odkrywaniu i przekazywaniu prawdy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9e340ad6ae

Powrót „kłamstwa katyńskiego”

Maciej Pieczyński

Odpowiedzialność Stalina za mord na polskich oficerach jest dziś w Rosji albo rozmywana, albo negowana. A przecież „kłamstwo katyńskie” jest dla prawdy o drugiej wojnie światowej nie mniej groźne niż „kłamstwo oświęcimskie”

Najsłynniejszym i najbardziej radykalnym negacjonistą katyńskim jest Jurij Muchin. Stalinista, antysemita i wielkoruski szowinista w jednej osobie. Z wykształcenia inżynier metalurgii. Sławę zdobył jednak jako publicysta historyczny i propagator teorii spiskowych. Jego zdaniem polskich oficerów w Katyniu zamordowali Niemcy. Tezę tę po raz pierwszy obwieścił swoim czytelnikom w 1995 r. w książce pt. „Katyńska powieść kryminalna”. Pisał w niej: „Polscy oficerowie ginęli w katyńskim lesie od niemieckiego strzału w tył głowy. To niezbyt sprawiedliwe. Sowiecka kula – to też niedobrze. Tylko polska kula byłaby najwyższym stopniem sprawiedliwości”. To dowód, że Muchin jest stalinistą z krwi i kości. Jego zdaniem polscy oficerowie zasługiwali na śmierć z rąk rodaków, ponieważ zostali wzięci do niewoli. A to przecież w standardach stalinowskich zdrada ojczyzny…

Co ciekawe, choć misją Muchina jest ponowne przypisanie sprawstwa katyńskiego Niemcom, to jednocześnie z dużo większą sympatią niż o Polakach pisze i mówi on właśnie o Niemcach. III Rzeszę nazywa „bardzo poważnym europejskim bandytą”, II Rzeczpospolitą natomiast określa pogardliwym mianem „europejskiego chuligana”. Stalinista chwali Hitlera za jego agresywną politykę. Oczywiście wobec Polski, nie wobec Związku Sowieckiego. Zdaniem Muchina bowiem „Danzig” (czyli Gdańsk) to odwieczne niemieckie miasto, więc Niemcy mieli moralne prawo „bronić mieszkających tam rodaków przed samowolą polskich ekstremistów i biurokratów”.

Warszawa, odmawiając Hitlerowi spełnienia jego żądań, doprowadziła tak naprawdę do wybuchu drugiej wojny światowej: „Tępi i podli polscy politycy w imię swoich kretyńskich ambicji nie pozwolili na stworzenie sojuszu antyhitlerowskiego, wywołali drugą wojnę światową, w której właśnie polska ludność poniosła największe procentowe straty”. Według Muchina sami są więc sobie winni, że potem Niemcy wymordowali ich oficerów. A teraz jeszcze próbują wbrew faktom o tę zbrodnię oskarżyć Moskwę. Skandal! Moskwa, zdaniem Muchina, też jest sama sobie winna. W 2005 r. ten stalinista zrealizował film pseudodokumentalny pt. „Katyńska podłość”. Próbował w nim udowodnić, że wydany przez Stalina rozkaz likwidacji polskich oficerów to fałszywka, sfabrykowana przez Gorbaczowa. Ostatniego przywódcę ZSRS porównuje z Goebbelsem, dla którego ma jednak więcej szacunku. Gorbaczow, „kłamiąc na temat sowieckiej winy za Katyń”, miał jakoby zrzucić winę na własny naród, aby rozbić Układ Warszawski.

Sam Muchin to karykaturalne uosobienie najbardziej radykalnych, prostalinowskich sympatii Rosjan, stęsknionych za latami świetności geopolitycznej sowieckiego imperium. Jego poglądy w połowie lat 90., na fali jelcynowskiego okcydentalizmu, postrzegane jako skrajne i marginalne, dziś zyskują coraz więcej zwolenników.

LENISTWO NKWD

Negacjoniści katyńscy są poważnie traktowani również przez państwowe media. „W rozmowie z agencją RIA Nowosti Władysław Szwed przytoczył cały szereg faktów, które – jak przekonuje – świadczą o tym, że Katyń był dziełem nazistów, a nie stalinowskiego kierownictwa NKWD” – można przeczytać na stronie samej agencji, w artykule opublikowanym w marcu 2020 r. Władysław Szwed to publicysta historyczny, politolog i polityk, prominentny działacz Liberalno-Demokratycznej Partii Rosji Władimira Żyrinowskiego. W wywiadzie dla rządowej agencji przekonywał, że „naziści” po klęsce pod Stalingradem uświadomili sobie, że do pokonania ZSRS nie wystarczy im jedynie potęga militarna. Dlatego postanowili rozbić jedność koalicji antyhitlerowskiej za pomocą prowokacji. Czyli – oskarżając Moskwę o dokonane przez siebie zbrodnie.

Swoje ahistoryczne tezy zawarł w opublikowanej w 2007 r. książce pt. „Tajemnica Katynia”. Trzy lata później pojawiło się drugie wydanie pt. „Katyń. Współczesna historia problemu”. Autor tłumaczył wznowienie „ogromnym zainteresowaniem czytelników”, ale również potrzebą reakcji na bieżące wydarzenia. Szwed skrytykował politykę Kremla, który po katastrofie smoleńskiej wykonał parę gestów pod adresem Polski, jednoznacznie podkreślając odpowiedzialność Stalina za zbrodnię. „Współcześni antystaliniści z powodzeniem stosują stalinowskie metody dławienia odmiennych poglądów” – pisał Szwed. Publicysta w swoich książkach i wypowiedziach medialnych przytacza absurdalnie brzmiące, rzekome „dowody” na niemiecką winę. Oto, na przykład, zamordowani oficerowie mieli być pochowani w pełnym umundurowaniu, wraz z odznaczeniami wojskowymi, których noszenia zabraniały regulaminy sowieckich obozów jenieckich. Inny „dowód”: masowe groby były bardzo głębokie i zapełnione wieloma warstwami równo ułożonych trupów, a przecież wiadomo, że tylko słynący z zamiłowania do porządku Niemcy byliby do czegoś takiego zdolni – enkawudzistom nie

eprasa.pl 9e340ad6ae

Szczątki mjr. Adama Solskiego z 57. Pułku Piechoty, zidentyfikowane w 1943 r. FOT. DOMENA PUBLICZNA

chciałoby się tak starać, a gestapowcom musiało zależeć na maksymalnym wypełnieniu starannie wykopanego dołu. Ponadto o falsyfikacji zbrodni miał również świadczyć fakt, że część oficerów, których nazwiska znalazły się na ogłoszonej przez Niemców liście katyńskiej, tak naprawdę nie zginęła w katyńskim lesie. Przecież pomyłki być nie mogło, to musiało być ukartowane! – sugeruje rosyjski publicysta. „Przypisywanie" Sowietom winy za zbrodnię w podsmoleńskich lasach nazywa „nazistowsko-polską wersją".

Dwa lata temu ukazała się książka pt. „Katyń. Kłamstwo, które stało się historią" Jeleny Prudnikowej. Publicystka, podobnie jak Muchin, nie ma wykształcenia historycznego. Jest fizykiem. We wstępie książki zaznacza, że są dwie, mocno udokumentowane i uargumentowane, wersje tego, co się wydarzyło w Katyniu: wina Hitlera i wina Stalina. W toku rozważań rozpatruje też problem zbrodni z „etycznego" punktu widzenia. Jej zdaniem, skoro Armia Czerwona wyzwoliła Polskę od Hitlera, który wymordował około jednej czwartej polskiej ludności, to zgłaszanie pretensji do państwa, „dzięki któremu nie tylko Polska, lecz także Polacy istnieją jeszcze na kuli ziemskiej", po prostu nie przystoi. Ostatecznie Prudnikowa przyznaje rację tej pierwszej wersji. Na okładce książki, nad tytułem, widnieje motto, cytat ze Stalina: „Po mojej śmierci na moją mogiłę wysypią górę śmieci, ale wiatr historii bezlitośnie ją rozmiecie!".

Muchin, Szwed, Prudnikowa czy Goriaczenkow otwarcie szerzą „kłamstwo katyńskie"

„Katyń. Spekulacje na tragedii" – to z kolei tytuł wydanego w 2016 r. opowiadania dokumentalnego Grigorija Goriaczenkowa. Pisarz przybliża czytelnikom „historię polskich oficerów, więźniów trzech specjalnych obozów GUŁagu w obwodzie smoleńskim, rozstrzelanych przez niemieckich okupantów jesienią 1943 r.". „W książce zdemaskowane zostały insynuacje antysowieckich i rusofobicznie zorientowanych autorów dotyczące okoliczności tragicznej śmierci Polaków" – czytamy w notce reklamującej publikację.

KREML TORPEDUJE

Muchin, Szwed, Prudnikowa czy Goriaczenkow otwarcie szerzą „kłamstwo katyńskie". Bez większego wsparcia, ale i bez słowa krytyki ze strony władz rosyjskich. Jednak Kreml w mniej oczywisty niż publicyści negacjoniści sposób torpedował prawdę o tej zbrodni już wcześniej. W zasadzie od momentu, w którym tę prawdę oficjalnie uznał. W komunikacie agencji TASS z kwietnia 1990 r. Katyń nazwano „jedną z najcięższych zbrodni stalinizmu". Jednocześnie prozachodni liberał Gorbaczow polecił swoim służbom wykreować narrację o analogicznej zbrodni, dokonanej przez Polaków na obywatelach sowieckich. Anty-Katyniem stała się tragedia czerwonoarmistów wziętych do niewoli podczas wojny 1920 r. Umierali z głodu i chorób. Nie ma żadnego dowodu na to, że była to planowa eksterminacja. To jednak nie przeszkadza Moskwie i jej akolitom od 30 lat powtarzać kłamstwa o „polskich obozach koncentracyjnych" i forsować w ten sposób rzekomą symetrię win pomiędzy Polakami a Rosjanami. W kwietniu 2017 r., tuż przed kolejną rocznicą zbrodni, na cmentarzu w Katyniu została zamontowana tablica, informująca o „zagładzie dziesiątek tysięcy czerwonoarmistów", „zamęczonych" w polskiej niewoli. Rok później powstało tam muzeum, gdzie zaprezentowano wystawę na temat stosunków polsko-rosyjskich w XX w. Można było się z niej dowiedzieć m.in. o „tysiącach żołnierzy Armii Czerwonej, którzy ginęli w polskich obozach koncentracyjnych".

eprasa.pl 9e340ad6ae

Uroczystości ku pamięci pomordowanych w Katyniu, Warszawa, 2007 r.

FOT. MACIEJ SZCZEPAŃCZYK/WIKIPEDIA/CC BY 3.0

O ile zatem „kłamstwo katyńskie" jest cieszącym się cichą akceptacją Kremla, ale za to wciąż marginalnym zjawiskiem, o tyle manipulacja katyńska jest już oficjalną, otwarcie rozpowszechnianą narracją. Można ją streścić następująco: „Tak, nasi zabili waszych. Ale wcześniej wasi zabili naszych". Związek przyczynowo-skutkowy ma tu znaczenie niebagatelne. Bo przecież z etycznego punktu widzenia ważne jest, kto pierwszy rzucił kamieniem. Skoro najpierw zabijali Polacy, to zawsze mord na Polakach można przedstawić jako zemstę. A zemsta, choć problematyczna, to jednak często daje się nie tylko uzasadnić, lecz także usprawiedliwić. „Wstyd się przyznać, ale nie wiedziałem, że w 1920 r. w wojnie polsko-sowieckiej dowodził osobiście Stalin […]. I wówczas, jak wiadomo, Armia Czerwona poniosła porażkę. Do niewoli zostało wziętych wielu czerwonoarmistów. Według ostatnich danych z głodu i chorób w polskiej niewoli zmarło ich 32 tys. […] Przypuszczam, powtarzam, to moje osobiste zdanie, że Stalin czuł osobistą odpowiedzialność za tę tragedię. I, po drugie, rozkazał wykonać tę egzekucję [na Polakach w Katyniu – przyp. red.], powodowany uczuciem zemsty" – to fragment przemówienia Władimira Putina, wygłoszonego w Katyniu 7 kwietnia 2010 r. Ówczesny premier Rosji przyznał przy tym, że zbrodniczy akt, powodowany zemstą, „nie przestaje być zbrodniczy". To jednak nie zmienia faktu, że to przemówienie stało się jednym z fundamentów manipulacji katyńskiej.

W 2014 r. w Rosji wprowadzono karę więzienia za rozpowszechnianie fałszywych informacji o roli ZSRS w drugiej wojnie światowej

Tymczasem teza o okrutnej, ale sprawiedliwej zemście Stalina za osobistą klęskę i tragedię czerwonoarmistów nie wytrzymuje krytyki. Wiadomo przecież, że dyktator traktował kapitulację jak zdradę. Zresztą, jak dowodzą historycy Stowarzyszenia Memoriał, w ramach tzw. operacji polskiej NKWD sowieccy jeńcy, którzy mieli nieszczęście wrócić do ojczyzny z polskich obozów, zostali… oskarżeni o szpiegostwo na rzecz Polski i poddani represjom, na równi z mordowanymi ze względu na pochodzenie Polakami żyjącymi w ZSRS. „Można zadać pytanie: Z jakiej racji Stalin miał się mścić na Polakach za wziętych do polskiej niewoli czerwonoarmistów, skoro w 1937 r. w ZSRS dobijano tych spośród nich, którzy przeżyli i wrócili?" – pytał retorycznie Nikita Pietrow, wiceprzewodniczący Memoriału, na łamach „Nowej Gaziety".

ARTYKUŁ 53

Pietrow już w 2013 r. pisał o „podwójnej grze Kremla" wokół Katynia. Jego zdaniem Moskwa na użytek zewnętrzny wypuszcza polityczne deklaracje i oświadczenia uznające odpowiedzialność stalinowskiego kierownictwa za rozprawę z obywatelami polskimi w 1940 r. W kraju natomiast „potakuje nostalgicznej idealizacji socjalistycznej przeszłości i nie ucina mnożących się spekulacji o tym, że jakoby nie wszystko jeszcze jest jasne w sprawie tej zbrodni, że może to jednak Niemcy są winni". Od tamtego czasu jest coraz gorzej. W 2014 r. w Rosji wprowadzono karę do pięciu lat więzienia za negowanie zbrodni nazistowskich i za rozpowszechnianie fałszywych informacji o roli Związku Sowieckiego w drugiej wojnie światowej. W lipcu 2021 r. Putin podpisał ustawę zakazującą zrównywania roli ZSRS i „faszystowskich" Niemiec w drugiej wojnie światowej. Jej wprowadzenie uzasadniał „próbami zakłamywania historii". Polski historyk, piszący o sowieckich zbrodniach, może więc podlegać w Rosji odpowiedzialności karnej.

– Na poziomie międzynarodowym nie ma skutecznych instrumentów prawnych do walki z „kłamstwem katyńskim". Wszelkie próby tworzenia takich rozwiązań są traktowane jako atak na wolność słowa czy badań naukowych, nawet jeśli ich celem jest przeciwdziałanie sterowanej politycznie, państwowej propagandzie, która z jakąkolwiek wolnością nie ma nic wspólnego – mówi „Do Rzeczy" mecenas Jerzy Kwaśniewski, prezes Instytutu Ordo Iuris. – Pewną możliwość daje natomiast nowelizacja ustawy o IPN. Artykuł 53 pozwala pozywać przed sądem cywilnym w Polsce tych, którzy naruszają dobre imię Polski i narodu polskiego. Powództwo takie może wytoczyć organizacja pozarządowa w zakresie swoich działań statutowych. Przepis ten nie stał się jeszcze przedmiotem konsekwentnej linii orzeczniczej polskich sądów. Uruchomiliśmy jako instytut kilka spraw na tej podstawie prawnej. Spraw możliwie mało kontrowersyjnych, mamy bowiem świadomość, że polityka historyczna to delikatna kwestia i łatwo tutaj wywołać atak medialny i niesprzyjającą postawę sądów – dodaje.

Prezes Ordo Iuris generalnie uważa jednak, że wyrok sądu nie może być jedynym narzędziem walki o prawdę. – Penalizacja kłamstwa zawsze może być potraktowana jako atak na wolność słowa. Dlatego spór o przeszłość powinien toczyć się głównie w przestrzeni narracyjnej. Polityka historyczna to najskuteczniejszy instrument walki o prawdę – mówi Kwaśniewski.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9e340ad6ae

Marsz, który salony kochają nienawidzić

Rafał A. Ziemkiewicz

Liberalna lewica pragnie powstrzymać Marsz Niepodległości za każdą cenę. Nawet za cenę śmieszności

Coroczne ataki polityków i „autorytetów" liberalnej lewicy na Marsz Niepodległości stały się już rutyną – właściwie od lat nie pojawił się w nich żaden nowy element. Może tylko unikanie w ostatnich dniach przez TVN24 i inne propagandowe tuby lewicy samej nazwy „Marsz Niepodległości", zastępowanej „Marszem Narodowców". Jest to zabieg tego samego gatunku, co „Trybunał Julii Przyłębskiej" czy „Prokuratura Ziobry". W istocie Marsz nie jest tylko marszem środowisk narodowych, jakkolwiek to one inspirowały imprezę – gdyby sami tylko narodowcy byli w stanie regularnie co roku wyciągać na ulicę ponad 100 tys. manifestantów, byliby znaczącą, samodzielną siłą polityczną.

W istocie Marsz, zorganizowany wspólnie przez narodowców i wolnościowców (można więc powiedzieć, że stanowiący prefigurację powstałej kilka lat później Konfederacji), wyrósł przede wszystkim na sprzeciwie wobec michnikowszczyzny i liberalnej lewicy. Z całą pewnością na niszową inicjatywę Młodzieży Wszechpolskiej, ONR i partii Korwin-Mikkego nie wybrałyby się takie tłumy, gdyby nie histeryczna próba „Gazety Wyborczej", która wezwała do „wykopania" narodowców – w jej języku „faszystów" – ze stolicy. „Wykopanie" zmieniła potem na „wygwizdanie" i ogłosiła, że zakupiła 100 tys. gwizdków, by rozdać je warszawiakom, którzy wezmą udział w blokadzie marszu – nawet przy niezbyt oszczędnym gospodarowaniu sporo tych gwizdków powinno jej zostać do dziś.

Żartowałem wtedy, że redaktor Blumsztajn, który był twarzą tej akcji, zasłużył na złotą, honorową odznakę ONR – to jego aktywność zmieniła bowiem Marsz z manifestacji kilku niewielkich partii w manifestację przeciwko symbolizowanym przez „Gazetę Wyborczą" postkomunistycznym elitom III RP oraz całemu układowi „Okrągłego Stołu". Skupił on więc także zwolenników bardziej umiarkowanej prawicy, w tym kluby „Gazety Polskiej" i innych wyborców PiS, mimo że samo kierownictwo tej formacji zawsze odnosiło się do Marszu niechętnie, a Jarosław Kaczyński, podzielający „endekofobię" środowisk, w których się kształtował – pamiętajmy, jak ciepło wyraża się zawsze o Janie Józefie Lipskim, poza wszystkim autorze historycznego paszkwilu „Katolickie państwo narodu polskiego" – wręcz go brutalnie atakował, niekiedy jednym głosem z michnikowszczyzną, np. stawiając znak równości między narodowcami a antysemityzmem.

TRAUMY I FOBIE

Od pierwszej chwili nienawistną kampanię przeciwko Marszowi oparto na udziale w inicjatywie ONR i pomówieniu tej formacji o „faszyzm", podtrzymywanym zresztą co roku – ostatnio powtórzył je w TVN prof. Friszke. W pierwszej próbie „wygwizdania" Marszu zaznaczył się udział lokalnego warszawskiego artysty, który poprzebierał kontrmanifestantów w oświęcimskie pasiaki. Do dziś może to służyć jako wzorcowy przykład piramidalnego idiotyzmu, budowanego przez michnikowszczyznę wokół polskiej tradycji narodowej. Pomijając już, że ONR była tylko jednym z trzech oficjalnych organizatorów pierwszych Marszów (później przejęło tę funkcję specjalnie założone Stowarzyszenie Marsz Niepodległości), formacja ta miała tylko tyle wspólnego z nazizmem, że jej założyciel Jan Morsdorf zamęczony został w Auschwitz (gdzie trafił wskutek stanowczej odmowy jakiejkolwiek współpracy z Niemcami), a wielu wycho-

eprasa.pl 9e340ad6ae

FOT. BEATA ZAWADZKA/EAST NEWS

wanków zapisało się wspaniale w walce z okupantem – by wspomnieć choćby Janka „Rudego" Bytnara czy Jana „Anodę" Rodowicza. W powstaniu warszawskim stworzony przez narodowców batalion „Chrobry II", broniący Dworca Głównego i tunelu średnicowego, okazał się jedyną jednostką, która utrzymała do końca wyznaczone pozycje – w jego szeregach walczył m.in. Witold Pilecki, choć sam do NSZ nie należał.

Cokolwiek sądzić o przedwojennych narodowych radykałach, odmawianie im tych zasług na podstawie opinii prof. Friszkego czy jednej sędziwej uczestniczki powstania, prezentującej opinie dla ogółu kombatantów ekscentryczne, jest wyjątkową podłością i grubym historycznym kłamstwem. Propagandyści liberalnej lewicy żonglują tu z upodobaniem znaczeniami słowa „faszyzm" – przeciętny Polak pod wpływem wieloletniego dyskursu mediów kojarzy to słowo z hitleryzmem, a przyparci do muru propagandyści lewicy stwierdzają, że przedwojennym narodowym radykałom nieobce były fascynacje Mussolinim. Niewątpliwie, ale znacznie silniej zaznaczały się one wśród piłsudczyków, szczególnie w zainspirowanym przykładem włoskim „Ozonie" Śmigłego-Rydza.

Z drugiej strony nie ma co ukrywać, że po nazwę marginalnej przed wojną i istniejącej zaledwie przez kilka miesięcy organizacji sięgnięto w III RP właśnie po to, żeby sprowokować Michnikowy salon. Pojawienie się w sferze publicznej tych trzech liter, wokół których umoczeni w stalinizm bądź wywodzący się z komunistycznych rodzin prominenci „demokratycznej opozycji" zbudowali ogromną, rozgrzeszającą legendę (na zasadzie: „Wszystko było lepsze od tego endeckiego ciemnogrodu"), musiało ich rozjuszyć i, poruszając traumy i fobie, sprowokować do działań irracjonalnych.

GŁĘBOKI NONSENS

Dominującym elementem w tej corocznej walce z Marszem jest właśnie głęboki nonsens postępowania kolejnych już zmian lewicowo-liberalnych przywódców. Marsz stał się obsesją liberalnej lewicy, sprowadzającą ją do roli symetrycznego przeciwnika wciąż przecież niszowych partii narodowych. I to nawet nie całego środowiska narodowców, a konkretnie skonfliktowanego z innymi jego przywódcami Roberta Bąkiewicza, którego znaczenie taka symetria niezwykle podnosi, jednocześnie odbierając znaczenie np. Rafałowi Trzaskowskiemu, który przejął pałeczkę głównego budowniczego popularności Marszu po Blumsztajnie.

Między pierwszą a drugą turą ten sam Trzaskowski, zabiegając o wyborców Krzysztofa Bosaka, zapewniał ich, że sam gotów jest w Marszu iść – ale trwało to tylko do wyborczej niedzieli. Natychmiast po niej wrócił Trzaskowski do wielokrotnie przećwiczonej retoryki: „Marsz faszystów trzeba zatrzymać za wszelką cenę". Zwłaszcza za scenę śmieszności. Nazajutrz po ogłoszeniu wszem wobec, jakoby wiec Donalda Tuska na placu Zamkowym zgromadził 100 tys. uczestników (co samo w sobie było kolejnym ośmieszeniem się ratusza), Trzaskowski oznajmił, że Marsz stanowiłby „zagrożenie epidemiologiczne". Potem sięgnął po kruczek prawny i dzięki życzliwości „rozgrzanych" warszawskich sędziów odebrał Marszowi status zgromadzenia cyklicznego. Co prawda, nie zmienia to faktu, że ratusz nie ma prawa odmówić zgody na zgromadzenie, ale, po pierwsze, umożliwiło mu „zasadzenie" na trasie Marszu manifestacji feministek, a po drugie, mając po swojej stronie wspomnianych sędziów, można nie zważać na prawo. Trzaskowski uparcie powtarza więc, że „nie widzi możliwości legalnego odbycia się Marszu" – choć widzi możliwość wszelkich innych zaplanowanych na 11 listopada zgromadzeń. Wszystko to w połączeniu z pogróżkami, że „za przebieg nielegalnego Marszu odpowiadać będzie wyłącznie policja", czyli PiS.

Czy Trzaskowski chce w ten sposób, jak domyśla się wielu komentatorów, celowo sprowokować brutalne incydenty? Na pewno on i jego polityczne zaplecze o takowych marzą i liczą, że będą mogli winę za nie przypisać rządzącym. W dziesięcioletniej historii Marszu używano przeciwko niemu tej broni wielokrotnie, wykorzystując do prowokacji policyjnych tajniaków, sprowadzonych „tituszków" (jak nazwano żulerkę w służbie władzy podczas ukraińskiego Majdanu), a przede wszystkim bandziorów z Antify, nie tylko polskiej – w 2012 r. sprowadzeni do bicia „faszystów" bojówkarze z Niemiec uznali za takowych rekonstruktorów w mundurach z czasów napoleońskich. Na zlecenie PO-wskiego ministra spraw wewnętrznych Sienkiewicza, jak otwarcie mówił w nagranej przez kelnerów rozmowie były szef CBA, podpalono budkę i śmietnik pod ambasadą rosyjską. Nie można w kontekście Marszu nie pamiętać, że – jak ujawnił w ubiegłym roku portal „Życie Stolicy" – ratusz wydał 3,6 mln zł z pieniędzy podatników na szkolenie z „taktyk miejskich" lewicowych bojówek i ma prawo oczekiwać, iż mu się one odwdzięczą.

Ale, jak wiadomo, zamieszki wybuchają wtedy, gdy chce tego policja – a nad policją od roku 2015 PO już nie panuje. Od tego też momentu – jak nożem uciął – skończyły się prowokacje, podpalenia i bijatyki. Wyjątkiem był dopiero rok ubiegły, kiedy grupie anarchistów udało się sprowokować bijatykę na rondzie de Gaulle'a. Było to pośrednio skutkiem obostrzeń epidemicznych, które zmusiły organizatorów do dziwacznej formuły „przejazdu" i utrudniły pracę Straży Niepodległości, do tego czasu dobrze współpracującej z siłami porządkowymi. Czy w tym roku policja zachowa się tak jak w poprzednim czy tak jak w latach 2016–2019 – nie sposób z góry przewidzieć.

Jakkolwiek będzie, narracje dla polskich i światowych lewicowo-liberalnych mediów są już przecież napisane. I z góry wiadomo, że są to narracje w duchu symbolicznego, wielokrotnie przypominanego dialogu z anteny TVN24, który odbyli prowadzący z reporterką relacjonującą Marsz w roku 2011: „Idą, skandują faszystowskie hasła". „Jakie hasła skandują, konkretnie?". „Bóg, honor, ojczyzna!".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9e340ad6ae

FOT. ATTILA HUSEJNOW/FORUM

Z Robertem Bąkiewiczem, prezesem Stowarzyszenia Marsz Niepodległości, organizatorem Marszu Niepodległości *rozmawia Ryszard Gromadzki*

Niepodległość nie na sprzedaż

RYSZARD GROMADZKI: W ostatnich wypowiedziach powtarza pan, że tegoroczny Marsz Niepodległości jest ważniejszy od tych w latach poprzednich. Dlatego że – parafrazując klasyka – „wszyscy szatani sprzysięgli się przeciw Polsce"?

ROBERT BĄKIEWICZ: Myślę, że teza, którą pan postawił, jest prawidłowa. W tej chwili Polskę atakuje wszelkie zło. Atakuje ją zewnętrznie ze Wschodu i z Zachodu. Mówię o presji migracyjnej ze strony Białorusi i sytuacji panującej na granicy z tym państwem, która w istocie jest formą wojny hybrydowej. Z drugiej strony mamy presję ze strony Niemiec, które dążą do pozbawienia nas suwerenności energetycznej. Dodajmy do tego prawdziwą inwazję antykultury, która stawia sobie za cel walkę z chrześcijaństwem w Polsce, prowadzoną nie tylko z zagranicy, lecz także od wewnątrz, realizowaną przez ludzi, którym przyświecają antynarodowe cele, którzy chcą zniszczyć naszą tradycję i tożsamość. Myślę, że dziś bardziej niż kiedykolwiek wcześniej trzeba zamanifestować przywiązanie do suwerennego i niepodległego państwa polskiego. Jestem przekonany, że ogromna część społeczeństwa z aprobatą odnosi się do tych wartości, chce je widzieć w Polsce teraz i w przyszłości. Myślę, że będzie to mocny komunikat do naszych sojuszników i do naszych wrogów, ale też do polityków, którzy dokonują teraz wyborów albo za suwerennością, albo za globalizacją. To fundamentalne wybory, które będą miały wpływ na losy państwa polskiego w przyszłości.

Obraz Marszu Niepodległości przekazywany przez lewicowo-liberalne media w Polsce i na Zachodzie jest utrwalony w stereotypie, według którego 11 listopada w Warszawie będzie miała miejsce kolejna „faszystowska orgia". Tę narrację podsycają ujęcia brutalnych zamieszek wszczynanych przez zamaskowanych osobników. Jak przełamać ten stereotyp deformujący prawdziwy obraz Marszu Niepodległości?

Możemy próbować przełamać ten stereotyp solidarnością, zjednoczeniem, demonstracją wspólnoty. Nie miejmy jednak złudzeń, siły, które atakowały Marsz Niepodległości, będą atakowały go z jeszcze większą zajadłością. Wierzę, że konfrontacja manipulacji i kłamstw z prawdą musi doprowadzić w którymś momencie do sytuacji, w której duża część Polaków, ale też wielu ludzi na Zachodzie, dostrzeże fałsz zawarty w kliszach utrwalanych na temat Marszu Niepodległości. Poza tym jakkolwiek wykrzywiony byłby obraz tego zgromadzenia, musimy pamiętać, że jest ono oceniane w kontekście realnej polityki. Być może media na Zachodzie będą mówiły o „orgii faszyzmu", niemniej politycy będą mieli dokładną informację, jakie skutki wywołują wśród Polaków ich decyzje. To może być argument decydujący w negocjacjach z Unią Europejską. Może to być także argument dla tych, którzy prowokują wobec nas agresję ze Wschodu bądź myślą o nasileniu tej agresji. Zjednoczony naród, przynajmniej w istotnej części, jest polityczną przeszkodą w wojnach nowego typu, które są w tej chwili prowadzone na świecie. Z jednej strony nie powinniśmy się przejmować żadnymi stereotypami na temat marszu, z drugiej zrobić wszystko, co możliwe, żeby ten prawdziwy obraz rozszedł się jak najszerzej. Każdy z nas, uczestników czy sympatyków Marszu Niepodległości,

eprasa.pl 9e340ad6ae

wszyscy polscy patrioci powinniśmy rozpowszechniać prawdziwy obraz tego wydarzenia w Polsce i za granicą, a tym samym walczyć z kłamstwem na nasz temat.

Napięcie przed tegorocznym Marszem Niepodległości jest bardzo wysokie. Zaczęło się jak zwykle od decyzji prezydenta Warszawy, który odmówił zgody na to wydarzenie, za to zgodził się na przemarsz feministek tradycyjnym szlakiem Marszu Niepodległości. Decyzję Rafała Trzaskowskiego, potwierdzoną przez sąd okręgowy, podważył wojewoda mazowiecki Konstanty Radziwiłł, który zgodził się na Marsz Niepodległości, uznając go za zgromadzenie cykliczne. To postanowienie unieważnił z kolei Sąd Apelacyjny. Trudno oprzeć się wrażeniu, że działania prezydenta Warszawy i sądów mogą doprowadzić 11 listopada do wybuchu niekontrolowanej przemocy na wielką skalę...

Robimy wszystko jako Roty Niepodległości czy Straż Narodowa, żeby nasi ludzie byli jak najlepiej przygotowani do natychmiastowego rozwiązywania problemów, jeśli te się pojawią. Żeby byli w stanie wychwytywać ewentualnych prowokatorów we współpracy ze służbami. Żeby mieli wiedzę, jak praktycznie w skuteczny sposób doprowadzić całe zgromadzenie z punktu A do punktu B. Wydaje mi się, że nie ma takiego drugiego zgromadzenia w Polsce, w którym organizator wnosiłby tak duży wkład w zapewnienie bezpieczeństwa uczestnikom. Jednocześnie nie ma takiego drugiego zgromadzenia w Polsce, w którym tak wiele sił chciałoby ten marsz unicestwić, zatrzymać go, upokorzyć, doprowadzić do tego, że zostanie znienawidzony przez Polaków. My będziemy robili wszystko, co możliwe, żeby ten marsz był bezpieczny, żeby nie spowodował pogorszenia sytuacji Polski na arenie międzynarodowej. Nasze zgromadzenia ma służyć wzmocnieniu Polski i jedności Polaków.

Duże znaczenie dla tego, co wydarzy się podczas Marszu Niepodległości, będzie miała postawa policji. W ubiegłym roku policja reagowała bardzo agresywnie wobec uczestników marszu w kontraście do demonstracji tzw. strajku kobiet, wobec których zachowywała się niezwykle powściągliwie pomimo ataków na kościoły i aktów profanacji.

Rzeczywiście, ta dysproporcja w reakcjach policjantów rzucała się w oczy. Co znamienne, policja pomimo licznych materiałów dokumentujących jej brutalne działania 11 listopada zeszłego roku do dziś się z nich nie wytłumaczyła.

Czy klimat nienawistnej histerii tworzony wokół Marszu Niepodległości nie świadczy o bardzo głębokim pęknięciu społecznym, które mamy dziś w Polsce? Czy ten głęboki rów, który dzieli Polaków w podejściu do wartości, własnego państwa, jest jeszcze do zasypania? Czy jesteśmy skazani na nieuchronny konflikt, dwa narody w jednym słabym państwie?

Ten podział jest odbiciem szerszego procesu, który dotyczy całej Europy, świata Zachodu. To walka cywilizacji z antycywilizacją, kultury z antykulturą. My, polscy patrioci, jesteśmy przywiązani do kanonu wartości, który jest umocowany na etyce, moralności chrześcijańskiej, w którym prawda w ujęciu filozoficznym jest czymś, co istnieje obiektywnie. Dla drugiej strony jest to coś całkowicie relatywnego. Dla nas istnieje kategoria obiektywnego dobra, nasi przeciwnicy definiują ją zupełni na opak, nazywając zło dobrem, a dobro próbując wykluczyć i potępić. Wydaje się, że jest to konfrontacja, z której przede wszystkim korzystają marksiści i ich spadkobiercy.

Nieustający w budowie kolejnej wersji „nowego lepszego świata"...

Ten „nowy lepszy świat", o którym tak dużo mówią, ma opierać się na tolerancji. De facto jest dokładnie tak jak w świecie Orwella, w którym wszyscy są równi, ale niektórzy równiejsi. Oni oczywiście chcą się zaliczać do tych równiejszych. Jest to proces, który powinien nas, polskich patriotów, mobilizować do aktywności, do podjęcia sztandaru kontrrewolucji. Jeśli chcemy zatrzymać proces dechrystianizacji, niszczenia naszych rodzin, naszych dzieci, to musimy zdecydowanie stanąć pod sztandarem Boga, a nie sztandarem szatana. To marksiści stoją pod sztandarem szatana. Oni uważają, że człowiek jest w stanie sam zdefiniować pojęcie prawdy, dobra czy piękna. To współczesne barbarzyństwo prowadzące wprost do ogromnej atomizacji społecznej, stanu, w którym obce siły będą sprawowały władzę nad niewolnikami, którzy do tego będą chcieli być tymi niewolnikami z własnej woli. Również podczas Marszu Niepodległości powinniśmy przeciwstawić się tej neomarksistowskiej, niszczycielskiej agendzie.

Polska jako „przedmurze" broniące Europy przed antycywilizacją to wciąż inspirująca idea czy tylko echo odległej historii?

Przez wieki rzeczywiście byliśmy „przedmurzem" chrześcijaństwa i dawaliśmy sobie świetnie radę w tej roli. Dzisiaj również jesteśmy chrześcijańskim przedmurzem, choć w innym wymiarze. Wrogowie naszej cywilizacji, wrogowie naszej ojczyzny zdają sobie sprawę, że Polacy są wciąż jeszcze narodem stosunkowo konserwatywnym. Ale wiedzą też, że procesy, które zostały uruchomione wiele lat temu, wraz z początkiem transformacji, przynoszą efekty pożądane z ich perspektywy. Chodzi o postępującą dechrystianizację, antagonizację społeczeństwa skutkującą narastającymi podziałami i nienawiścią. To rozbicie tkanki społecznej stanowi znakomite podglebie do wprowadzenia totalitarnych metod sprawowania władzy.

W opisie lewicowo-liberalnych mediów jawi się pan jako cyniczny prawak-celebryta „poukładany" z PiS, któremu w zamian za różne polityczne przysługi oddawane w potrzebie hojnie odpłaca się milionami przekazywanymi na przykład z Funduszu Patriotycznego będącego w dyspozycji Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego na stowarzyszenia, które pan kontroluje. Jak pan odpowie na taki przekaz?

Z jednej strony jest to próba izolacji środowiska, z którym współpracuję, którego jestem częścią. Stąd ta doklejana mi „gęba faszysty". Z drugiej strony – próba przyklejenia tej „faszystowskiej gęby" do PiS i wykorzystania tego w walkach partyjnych czy – może bardziej adekwatnie – plemiennych. Czuję się trochę tak, jak bym miał udowadniać, że nie jestem wielbłądem, bo krytyka kierowana pod moim adresem nie jest oparta na faktach i uczciwej ocenie mojej działalności. Ja po prostu kocham Boga, kocham Polskę i wykorzystuję rozum, który dał mi Pan Bóg, jak najlepiej do tego, żeby wspierać budowę silnego państwa, które jest oparte na wartościach katolickich. Chciałbym być uczciwy w prowadzeniu polityki bez względu na te plemienne podziały, które mamy w Polsce, które tak głęboko nas dzielą. Chcę wyrwać nas z tych szablonów, w które wszyscy jesteśmy wpisywani, z tych politycznych plemion przypisujących sobie wyłączność na budowę dobrej, pięknej Polski. To zamykanie oczu na rzeczywistość taką, jaką ona jest. A ja nie chcę zamykać oczu na rzeczywistość. Chcę pracować na dobrą przyszłość dla Polski, dla moich dzieci, dla dzieci moich rodaków. W ten sposób chciałbym odpłacić Polsce to, co jestem jej winien, to, czego wymaga Bóg. Chciałbym tym zapracować na życie wieczne, jakkolwiek by to dziwnie zabrzmiało w tym bardzo zlaicyzowanym świecie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9e340ad6ae

Na froncie z COVID-19

Łukasz Warzecha

Szczepienia jako ochrona totalna się nie sprawdziły. Sanitarystyczne zapędy władzy też się osłabiają – studzą je sondaże

Gdzieniegdzie wiszą wciąż billboardy reklamujące szczepienia z napisem „Ostatnia prosta". Można odnieść wrażenie, że hasło cokolwiek się przeterminowało. Rząd zaczął się nim posługiwać, gdy uruchamiano dopiero powszechny dostęp do szczepień, czyli w maju. Pan premier i minister Michał Dworczyk z pompą uruchomili kampanię, w którą zaangażowano znane osoby. Celem było przekonanie Polaków, że jeśli przyjmą szczepionkę, to problemy się zakończą i będzie można wrócić do normalnego życia. Otóż – nie bardzo.

Z perspektywy blisko już roku od rozpoczęcia akcji szczepień można powiedzieć, że z całą pewnością nie zakończyły one epidemii. Widać to po krajach, gdzie współczynnik zaszczepienia jest najwyższy. W Wielkiej Brytanii wynosi obecnie 67 proc. plus ponad 6 proc. zaszczepionych częściowo, tymczasem dzienna liczba nowych przypadków jest największa od stycznia i wynosi blisko 50 tys. (2,32 na milion mieszkańców). W Izraelu, innym czempionie restrykcji i szczepień (65 proc. zaszczepionych w pełni plus 5,7 proc. częściowo), notowanych jest obecnie ok. 600 przypadków dziennie – ponad 108 na milion mieszkańców. To wyraźny spadek, tyle że szczyt przypadał na wrzesień – ponad 1,2 tys. przypadków na milion – gdy poziom szczepień był już bardzo wysoki.

W pewnym momencie narracja się zatem zmieniła. „Ostatnia prosta" przestała być drogą do zakończenia epidemii, ale do ograniczenia liczby hospitalizacji. To się jednak również nie powiodło. W Wielkiej Brytanii liczba pacjentów przyjmowanych dziennie do szpitali w związku z COVID rośnie i na koniec października sięgała ponad 100 osób na milion. W Izraelu z kolei spadała (ok. 19 osób na milion), ale i tak była o wiele wyższa niż w znacznie mniej zaszczepionej Polsce (0,53 osoby na milion – dane z 24 października). Z kolei liczba pacjentów z COVID w szpitalach była pod koniec października porównywalna w Wielkiej Brytanii i Polsce – mimo ogromnej różnicy w poziomie szczepień.

Zatem może szczepienia odbijają się w liczbie zgonów? I tutaj obraz jest niejednoznaczny. Owszem, nie będziemy mieć pełnej wiedzy bez informacji o tym, czy umierające na COVID osoby były zaszczepione czy nie, czy miały choroby współistniejące i w jakim były wieku. Popatrzmy jednak na same liczby. Zgony w Wielkiej Brytanii rosną od czerwca i dziś jest to ponad 2,3 na milion ludzi. Trochę więcej niż w Polsce na początku listopada (2,13). W Izraelu z kolei mały szczyt był we wrześniu, w tym samym czasie co szczyt zakażeń. Dzisiaj liczba zgonów na milion to 0,67. Trudno znaleźć tutaj prostą korelację pomiędzy poziomem zaszczepień a liczbą hospitalizacji czy zgonów – w każdym razie trudno ją odnaleźć na poziomie ogólnych statystyk.

Zwróciłem się do Ministerstwa Zdrowia z pytaniem o to, jaki odsetek osób obecnie hospitalizowanych w Polsce w związku z COVID-19 jest w pełni zaszczepiony oraz jak to wygląda w liczbach bezwzględnych. Do momentu powstawania tego tekstu nie otrzymałem jednak odpowiedzi.

WIĘCEJ POLAKÓW SZCZEPIĆ SIĘ NIE CHCE

W Polsce poziom zaszczepienia pozostaje uparcie na poziomie ok. 50 proc., a dokładnie wynosi ok. 53 proc., przy czym różnica pomiędzy zaszczepionymi w pełni a częściowo wynosi raptem jeden punkt procentowy, co sygnalizuje bardzo niewielką ochotę na szczepienie. Można nawet postawić tezę, że akcja osiągnęła swój szklany sufit i dużo więcej Polaków szczepić się już nie będzie. Być może pod wpływem wzrostu liczby zakażonych na szczepienie zgłosi się jeszcze kilka procent, ale wątpliwe, żebyśmy osiągnęli pułap 70 czy więcej procent zaszczepionej populacji.

Wynika to z kilku przyczyn, które regularnie pojawiały się w sondażach na temat szczepień i raczej się nie zmieniły mimo upływu czasu. Są wśród nich między innymi obawa o skutki uboczne szczepionki – a przypomnieć trzeba, że fundusz kompensacyjny nadal nie został powołany. We wrześniu zapisy powołujące tę strukturę były, owszem, gotowe, ale zostały wpisane do ustawy nowelizującej Ustawę o zapobieganiu i zwalczaniu chorób zakaźnych

eprasa.pl 9e340ad6ae

FOT. WITOLD JAROSŁAW SZULECKI/EAST NEWS

z 2008 r., która zawierała również budzące sprzeciw nawet w samym PiS zapisy segregacyjne. Ustawa ostatecznie nie weszła pod obrady, a więc nie weszła też sprawa funduszu. Zresztą proponowane wówczas zapisy i tak były oceniane jako – najłagodniej mówiąc – niewystarczające lub wprost kompromitujące. Sumy proponowanych odszkodowań były niskie, a ich granicę ustawiono na 100 tys. zł. Przede wszystkim zaś działania niepożądane, które uprawniałyby do ubiegania się o odszkodowanie, ograniczono do tych pojawiających się w karcie produktu leczniczego.

Inny powód to nieskuteczność szczepionki jako ochrony totalnej – a tak przecież była początkowo reklamowana. Dziś wiadomo, że szczepienie chroni w większości przed ciężkim przebiegiem i śmiercią, ale już niekoniecznie przed hospitalizacją, a już na pewno nie przed zakażeniem. Ludzie kalkulują i wychodzi im, że jeśli nie są w grupie zwiększonego ryzyka, a COVID i tak mają się zarazić, to wolą to niż przyjmowanie substancji, którą uznają za słabo sprawdzoną.

Wreszcie jednym z powodów może być natrętna proszczepionkowa propaganda, która odnosi skutek przeciwny do oczekiwanego. Jeden z polityków obozu Zjednoczonej Prawicy, krytycznie nastawiony wobec rządowej strategii, mówi mi: „Gdyby odwołano ministra Niedzielskiego i schowano prof. Horbana, bardzo możliwe, że liczba chętnych do szczepienia by wzrosła. Oni działają jak jego antyreklama".

Tymczasem szef resortu zdrowia poniósł dotkliwą polityczną porażkę. Adam Niedzielski, który nie jest przecież politykiem, ale jedynie urzędnikiem postawionym na czele MZ w wyniku pewnego zbiegu przypadków, popełnił błąd, ogłaszając w ubiegłym tygodniu w Polsat News, że gotowy jest już projekt ustawy, wprowadzający możliwość sprawdzania przez pracodawców statusu zaszczepienia pracowników. To również była dwa miesiące temu część szykowanej nowelizacji i właśnie ona wywoływała najmocniejszy sprzeciw. Tym razem minister Niedzielski ogłosił w Polsacie „coś", bo nikt tak naprawdę nie wie co. Nawet w klubie PiS trudno się dowiedzieć, czy mowa jest o obejmującej tylko jedną sprawę nowelizacji do ustawy z 2008 r. czy może o jakimś odrębnym akcie prawnym, całkowicie nowym.

NIEDZIELSKI ZBIERA CIOSY

Szef resortu zdrowia jednak przelicytował. Powiedział, że konsultował się z klubami opozycji – które, poza Konfederacją, są nastawione w większości proszczepionkowo i prosegregacyjnie – i uzyskał ich poparcie dla swojego projektu. „Mam też deklaracje z innych klubów, że głosowanie za takim rozwiązaniem będzie pozytywne. Pod tym względem ustawa na pewno przejdzie" – oznajmił. Przy okazji skomentował słowa poseł PiS Anny Marii Siarkowskiej, która ostro sprzeciwia się takim pomysłom i przypomina, że są to metody sanitarnej segregacji. „W tym wypadku mamy do czynienia z takim poziomem nieracjonalności, zacofania czy zabobonu, że można powiedzieć, że to nie przystaje wykształconemu człowiekowi" – powiedział Adam Niedzielski.

– To było niskie ze strony pana ministra – mówi „Do Rzeczy" poseł Siarkowska. – Adam Niedzielski jest urzędnikiem, nie powinien beształ posłów, którzy sprawują wobec niego funkcję kontrolną. Zresztą jego wypowiedź składała się wyłącznie z inwektyw, nie było w niej żadnej merytoryki. Nie bardzo rozumiem, co miał na myśli pan minister, mówiąc o zabobonach. Czyżby za zabobony uznawał prawa i wolności obywatelskie? Uważam, że od ministra polskiego rządu można oczekiwać wyższej kultury wypowiedzi – konkluduje Siarkowska.

Przede wszystkim jednak sprzeciw wewnątrz klubu PiS wywołały słowa o konsultowaniu się z opozycją. Wyszło bowiem na to, że szef resortu zdrowia przekonywał do swojego pomysłu posłów z innych klubów, ale nie z klubu partii rządzącej, w którym jego projekt jest nieznany. Takie postępowanie skrytykował już publicznie nowy wicepremier Henryk Kowalczyk, polityk bliski Jarosławowi Kaczyńskiemu i Beacie Szydło.

Chwilę później Niedzielski otrzymał kolejny cios – liderzy klubów opozycyjnych zaczęli kwestionować jego słowa o poparciu dla projektu i prowadzonych konsultacjach. „Nikt z PiS, na czele z ministrem Niedzielskim, nie konsultował z PSL ustawy dotyczącej weryfikowania szczepień pracowników. Od ponad roku rządzący nie znaleźli czasu na rozmowy w tej sprawie z opozycją, a dziś próbują zrzucić z siebie odpowiedzialność za klęskę procesu szczepień" – oznajmił w rozmowie z Wirtualną Polską Władysław Kosiniak-Kamysz. W podobnym tonie mówi wiceszef klubu Lewicy Krzysztof Gawkowski: „Z nikim z Lewicy minister Niedzielski się nie konsultował. Podczas Forum Ekonomicznego osobiście proponowałem ministrowi spotkanie, wysyłałem nawet list w tej sprawie. I nic, cisza".

Wygląda więc na to, że minister Niedzielski blefował lub – mówiąc wprost – kłamał na temat poparcia dla swojego tajemniczego projektu. Ta czysto polityczna afera, niedotykająca przecież istoty sprawy, najpewniej odsunie znów w nieokreśloną przyszłość pierwszą autentycznie segregacyjną regulację, którą miałby uchwalić polski parlament.

To cecha charakterystyczna polskiego sporu o strategię epidemiczną: dzięki perturbacjom politycznym i nastawieniu dużej części elektoratu partii rządzącej polityka rządu pozostaje relatywnie liberalna. Mimo znacznego wzrostu liczby zakażeń mowa jest na razie o bardzo delikatnych restrykcjach w rodzaju ograniczenia liczby osób mogących wchodzić do centrów handlowych, sklepów, kin. Owszem, lobby sanitarystyczne w postaci covidocelebrytów, rekrutujących się przede wszystkim spośród lekarzy, coraz śmielej podnosi głowę. Lecz ich zalecenia niemal na pewno przegrają ostatecznie z realizmem rządzących, wyrażającym się w uważnej obserwacji sondaży. A te dla sanitarystów nie są na szczęście łaskawe.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9e340ad6ae

Rolnictwo

to nie przemysł, ziemia nie fabryka, zwierzęta nie maszyny

FOT. JAN

Janusz Wojciechowski, komisarz UE ds. rolnictwa

Rolniczy Zielony Ład nie jest zagrożeniem, lecz nadzieją dla rolnictwa polskiego. Zagrożeniem byłby brak Zielonego Ładu

W artykule „Zielony rozkład polskiego rolnictwa" („Do Rzeczy" nr 43/2021 z 25 października) Jakub Wozinski wyraził tezy i opinie w kwestii tzw. rolniczego Zielonego Ładu, priorytetu politycznego Komisji Rolnej wobec rolnictwa europejskiego na lata 2023–2027. Już sam wspomniany tytuł publikacji wskazuje, że zdaniem autora unijny Zielony Ład kopie rolnictwu grób.

Zanim odniosę się do kilku absurdalnych zarzutów z tego artykułu, najpierw przedstawię, czym jest rolniczy Zielony Ład, jakie są jego założenia i jaka geneza.

NIEDOBRA ZAMIANA ROLNICTWA W PRZEMYSŁ

„... Postępujcie tak, aby nie ulegać pokusie zwiększania wydajności i zysku ze szkodą dla natury. Gdy człowiek zapomina o tej zasadzie, natura prędzej czy później zbuntuje się przeciw niemu...".

Tych słów, adresowanych do rolników, nie wypowiedział żaden polityk ani żaden ideolog lewicy czy prawicy. Wypowiedział je w 2000 r. w homilii do rolników św. Jan Paweł II.

Mam te słowa w pamięci jako komisarz Unii Europejskiej odpowiedzialny za rolnictwo europejskie, w tym także za rolnictwo polskie.

W rolnictwie europejskim obserwujemy, niestety, oznaki zjawiska wyścigu na coraz większą intensywność i uprzemysłowienie produkcji rolnej, co przynosi w niektórych sektorach rolnictwa złe skutki dla natury i dla samych rolników. Rolnik wczoraj jeszcze duży, dziś jest już tylko średni, jutro będzie mały, a pojutrze zniknie. W ciągu jednej dekady w UE zniknęły 4 mln gospodarstw rolnych, po tysiąc każdego dnia, z 14 mln gospodarstw zrobiło się ich 10 mln.

Hodowla świń znika już z małych gospodarstw i koncentruje się w gospodarstwach coraz większych. Średnie gospodarstwo „świńskie" w Danii ma 3,7 tys. sztuk (w Polsce jeszcze 133 sztuki, choć liczba gospodarstw z trzodą zmniejszyła się dziesięciokrotnie).

Podobnie hodowla kur w systemie klatkowym. Przykład z Polski – produkcja jaj kiedyś prowadzona w setkach tysięcy gospodarstw rodzinnych dziś została z tych gospodarstw wyparta i skoncentrowana w kilkuset wielkich fermach chowu obejmujących dziesiątki czy nawet setki tysięcy sztuk w jednej fermie. Te wielkie hodowle przynoszą zyski ich właścicielom, ale łączy się to niestety z upadkiem setek tysięcy małych i średnich gospodarstw rodzinnych, które w coraz intensywniejszej konkurencji przemysłowej po prostu nie mają szans.

A wspomniany wyżej „bunt natury" już się objawia plagami, chorobami takimi jak ptasia grypa czy ASF, które dziesiątkują zwłaszcza wielkie hodowle, powodują konieczność utylizacji dziesiątek milionów zwierząt i przynoszą ogromne straty. Nie mamy z tych wielkich hodowli ani większej produkcji, ani większego bezpieczeństwa żywnościowego.

Musimy to zmienić, musimy dać małym i średnim gospodarstwo rodzinnym szansę nie tylko przetrwania, lecz także rozwoju. I to jest głównym celem przeprowadzanej właśnie reformy Wspólnej Polityki Rolnej UE oraz Zielonego Ładu, który jest elementem tej reformy. Wokół tej reformy osiągnęliśmy niedawno w Unii Europejskiej polityczny kompromis. Zdaniem zdecydowanej większości rolników – dobry kompromis.

ROLNICTWO ZRÓWNOWAŻONE, ZGODNE Z NATURĄ

Zaproponowany przez Unię Europejską rolniczy Zielony Ład jest próbą przywrócenia rolnictwu europejskiemu, w tym rolnictwu polskiemu, jego naturalnej roli gospodarczej i społecznej.

eprasa.pl 9e340ad6ae

EKONOMIA

Zielony rozkład polskiego rolnictwa

POLSKA JAK GŁUPI JASIO

KATASTROFALNE SKUTKI REGULACJI

ŻYCZENIOWE MYŚLENIE

Udało się znacząco zwiększyć unijny budżet na rolnictwo. Polskie rolnictwo w tym budżecie otrzyma na najbliższych siedem lat rekordowo wysoką kwotę 150 mld zł. To jest ponad 10 tys. zł na każdy hektar polskiej ziemi rolnej i ponad 100 tys. zł na statystyczne polskie gospodarstwo. Tak, to nie jest żadna łaska, bo rolnicy łaski nie potrzebują, natomiast potrzebują pomocy, by mogli zachować i rozwijać swoje gospodarstwa, by mogli zapewnić nam wszystkim bezpieczeństwo żywnościowe.

Znacznie większe niż dotychczas wsparcie otrzymają małe i średnie gospodarstwa rodzinne. Unia będzie wspierać krótkie łańcuchy dostaw, lokalne przetwórstwo, lokalny handel płodami rolnymi i rolniczą sprzedaż detaliczną.

Polska ma ogromny rynek 38 mln obywateli i konsumentów żywności, polskie rolnictwo nie musi być uzależnione wyłącznie od eksportu. W polskich sklepach powinna być dostępna dobra i zdrowa żywność z pobliskich polskich pól. To właśnie będzie wspierać Unia Europejska w ramach strategii od pola do stołu. Ta droga od pola do stołu musi być zdecydowanie krótsza. Gdy zmniejsza się koszty odległych transportów, rolnik dostanie więcej za swoje produkty, a konsument zapłaci mniej za żywność na lokalnym rynku.

POMOC, NIE PRZYMUS

W opinii publicznej pojawiły się nieprawdziwe informacje (powiela je też redaktor Wozinski), że Unia Europejska chce niszczyć rolnictwo, że ma zakazywać hodowli zwierząt i produkcji mięsa czy mleka. To jest absolutna nieprawda. Unia Europejska nie zamierza niczego likwidować. Nie zamierza i nie planuje też rolników do czegokolwiek zmuszać wbrew ich woli. Wszystkie programy i działania przewidziane we Wspólnej Polityce Rolnej mają charakter dobrowolny, rolnik może do nich przystępować, ale nie musi. Unia chce natomiast wspierać finansowo zdrową i zrównoważoną produkcję rolną, w tym zrównoważoną i zdrową hodowlę zwierząt w warunkach dobrostanu w małych i średnich gospodarstwach rodzinnych. W gospodarstwach, nie w udających rolnictwo wielkich kombinatach przemysłowych.

KRAJ MAŁYCH I ŚREDNICH GOSPODARSTW NIE MA POWODÓW DO OBAW

Rolniczy Zielony Ład akurat dla Polski nie niesie żadnych zagrożeń. Polska ma bowiem rolnictwo oparte na małych i średnich gospodarstwach. Emisje gazów cieplarnianych z polskich pól, używanie środków ochrony roślin czy intensywność hodowli są w Polsce znacznie

eprasa.pl 9e340ad6ae

niższe niż średnia w Unii Europejskiej i kilkakrotnie niższe niż w niektórych krajach na zachodzie Europy. Oczywiście chcemy, żeby całe rolnictwo europejskie było bardziej przyjazne dla środowiska, klimatu czy dobrostanu zwierząt, ale Polska jest akurat stosunkowo blisko tych celów.

Zielony Ład w warunkach polskich może nie tylko uratować tysiące małych i średnich gospodarstw rodzinnych i zapewnić im rozwój, lecz także może spowodować przywrócenie produkcji, zwłaszcza zwierzęcej w wielu z tych gospodarstw rodzinnych, które tę produkcję przerwały, nie będąc w stanie konkurować z rolnictwem wielkoprzemysłowym.

Dla polskich małych i średnich gospodarstw rodzinnych Zielony Ład i reforma Wspólnej Polityki Rolnej to naprawdę wielka nadzieja.

A teraz polemika bezpośrednio z kilkoma tezami artykułu redaktora Wozinskiego.

Zielony Ład w warunkach polskich może uratować tysiące małych i średnich gospodarstw rodzinnych

1. Redaktor Wozinski krytykuje tzw. społeczną warunkowość wprowadzoną do Wspólnej Polityki Rolnej, a polegającą na tym, że gospodarstwo rolne może stracić unijne dopłaty, jeśli nie przestrzega praw zatrudnionych w nim pracowników. Popieram ten pomysł, a wbrew sugestiom Jakuba Wozinskiego popiera go również polski rząd, bo to rozwiązanie wprowadzone zostało głównie pod wpływem dramatów, jakich doświadczali właśnie polscy pracownicy rolni (i nie tylko polscy), zmuszani do niewolniczej pracy na plantacjach rolnych w Hiszpanii czy we Włoszech. Miały tam miejsce praktyki z pogranicza niewolnictwa i handlu ludźmi. I co – przestępcy wykorzystujący pracę zniewolonych ludzi mają otrzymywać unijne dopłaty? Tego pan Wozinski broni?

2. Redaktor Wozinski pisze, że Unia Europejska chce przeznaczyć 10 proc. gruntów rolnych na ugory, co jest zwyczajną nieprawdą. Tak zwane obszary nieprodukcyjne mają wynosić nie 10, a 4 proc., a pod pewnymi warunkami nawet 3 proc., przy czym zwolnione z tego obowiązku mają być gospodarstwa do 10 ha i to jest akurat niezbędne dla minimalnej ochrony bioróżnorodności. Nie sposób zgodzić się na to, by jednorodne monokulturowe uprawy obejmowały 100 proc. gruntów, hen po horyzontu kres. Na chłopskich polach zawsze były miedze, rowy, polne grusze, kępy drzew, to jest niezbędne i tego nikt rozsądny nie kwestionuje. Zając, bażant, kuropatwa, jeśli jeszcze jest, też ma prawo gdzie się schować. No chyba że chcemy zaorać i zabronować całą ziemię, razem z jej bioróżnorodnością, ale to byłaby zła droga. Droga do buntu natury, przed którym przestrzegał św. Jan Paweł II.

3. Redaktor Wozinski sugeruje, jakoby rolniczy Zielony Ład został Polsce narzucony z Brukseli. Otóż nie – rolniczy Zielony Ład (podkreślam – rolniczy – nie mylić go należy z przemysłowym) powstał najpierw w Warszawie i został opisany w programie rolnym Prawa i Sprawiedliwości z 2019 r., na wiele miesięcy przed Zielonym Ładem. W tym programie są i „zielone rolnictwo", i rozwój gospodarstw ekologicznych, i krótki łańcuch dostaw od pola do stołu, i dobrostan zwierząt (m.in. słynna „Krowa 500 plus", na początku wyśmiewana, a dziś stanowiąca flagowy program, z którego korzysta ponad 50 tys. rolników), i zwiększenie wsparcia dla małych i średnich gospodarstw rodzinnych, i sprzedaż bezpośrednia, i rozwój lokalnego przetwórstwa oraz lokalnych rynków rolnych – wszystko to, co potem znalazło się w rolniczym Zielonym Ładzie. Ja ten plan konsekwentnie realizuję, bo wierzę i jestem pewien, że jest to plan dobry dla rolnictwa polskiego.

4. Redaktor Wozinski przytacza krytyczne wobec rolniczego Zielonego Ładu poglądy byłego ministra rolnictwa Jana Krzysztofa Ardanowskiego. Tymczasem pan Ardanowski jako minister popierał rolniczy Zielony Ład (vide: relacje prasowe z posiedzenia Rady Ministrów UE do spraw rolnictwa z lipca 2020 r.), w Brukseli słowa nie pisnął przeciwko Zielonemu Ładowi, a poglądy zmieniły mu się dopiero, gdy ministrem być przestał. Teraz chciałby, żeby rząd odnosił się krytycznie do rolniczego Zielonego Ładu, ale sam jako minister krytycznie się nie odnosił. Skądinąd słusznie, bo to plan zgodny z programem PiS i dobry dla polskich rolników.

5. Redaktor Wozinski, przywołując wspomnianego byłego ministra Ardanowskiego, sugeruje, że przeciw Zielonemu Ładowi protestuje cała rolnicza Europa. To nieprawda. Odbyłem ostatnio wiele spotkań z rolnikami, m.in. we Włoszech, w Grecji, w Portugalii, Irlandii czy Niemczech i od tamtejszych rolników złego słowa na Zielony Ład usłyszałem. A Włosi to już właściwie Zielony Ład u siebie wprowadzili. Mają 8 proc. unijnej ziemi rolnej i 18 proc. unijnej produkcji rolniczej i to osiągnęli, mając średnie gospodarstwa takie jak Polska – 11 ha. I mają już agroekologię obejmującą 18 proc. gruntów rolnych, krótkie łańcuchy dostaw, rolniczą sprzedaż detaliczną, korzystają z programów dobrostanu zwierząt i nie narzekają, tylko cieszą się, że będą mogli to rozwijać.

6. Redaktor Wozinski próbuje też przedstawiać rolniczy Zielony Ład jako wyłącznie unijną fanaberię. Tymczasem o zrównoważeniu produkcji rolniczej, o uczynieniu jej bardziej przyjazną dla środowiska, klimatu i dobrostanu zwierząt mówi już dzisiaj cały świat, wystarczy sięgnąć do dokumentów ostatniego szczytu krajów G20 w Rzymie. Jeśli ktoś dziś myśli w Europie, że będzie się ścigał w konkurencji światowej na intensywność i masowość produkcji rolniczej, to jest w błędzie i żeby nie został z tym podejściem jak przysłowiowy Himilsbach z angielskim. Bo na świecie zaczyna się wielki wyścig na jakość produkcji rolniczej i tu Europa ma wielką szansę, a Polska nawet większą niż reszta Europy.

7. I wreszcie redaktor Wozinski pyta, dlaczego jako komisarz do spraw rolnictwa stałem się twarzą tych zmian. Odpowiadam – dlatego, że to są zmiany dobre dla rolnictwa w Polsce i w całej Europie. Bo to są zmiany, które mają uratować rolnictwo przed skutkami morderczego wyścigu do tego, by się zamieniało w przemysł.

A przecież rolnictwo to nie przemysł, ziemia to nie fabryka, zwierzęta to nie maszyny.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Odpowiedź autora tekstu w następnym numerze „Do Rzeczy".

eprasa.pl 9e340ad6ae

CZAS PRZEDSIĘBIORCÓW

REPUBLIKA

VIII Edycja

„Czy Polski Ład będzie impulsem rozwojowym dla polskiej gospodarki?"

Finał cyklu debat „Czas przedsiębiorców" na antenie TV Republika. VIII edycja tego wydarzenia, którego organizatorem jest Telewizja Republika, przy współpracy z Radą Gospodarczą Strefy Wolnego Słowa, poświęcony został Polskiemu Ładowi.

– Polska w stosunku do Europy miała niskie podatki, ale teraz udało nam się uszczelnić ten system. Przez wiele lat podatki skupiały się na tym, żeby uderzać w klasę średnią. Prawdopodobnie dzięki zmianom Polskiego Ładu więcej osób wejdzie do ubezpieczeń społecznych – mówił Tomasz Sakiewicz.

– Dyskusja o gospodarce jest potrzebna. To ważne, że dyskusja odbywa się w TV Republika. Rada gospodarcza stara się reprezentować małych i średnich przedsiębiorców zawsze. Dla nas „Czas przedsiębiorców jest zawsze" – zapewnił Kamil Goral z Rady Gospodarczej Strefy Wolnego Słowa.

– Prognozowanie w dzisiejszych czasach niepewności jest dość skomplikowane. Co miesiąc badamy nastroje wśród polskich przedsiębiorstw. Indeks koniunktury osiągnął poziom neutralny. W ostatnim czasie najlepiej miały się branże handel i transport – wyjaśniła Katarzyna Dębkowska z Polskiego Instytutu Ekonomicznego.

– Kryzys powstał po tym, jak Niemcy uzależniły Europę od rosyjskiego gazu. Dla nas może się on zakończyć bez konsekwencji, bo zawczasu wiedzieliśmy, jak się zabezpieczyć. Rosnące ceny energii będą napędzały inflację. Mamy bardzo silny aspekt produkcyjny. Wiele firm jest podwykonawcami. Koszty pracy teraz rosną i mamy problem utrzymać konkurencyjność tych firm. To jest element, który będzie kluczowy – powiedział Dawid Piekarz, ekspert Instytutu Staszica.

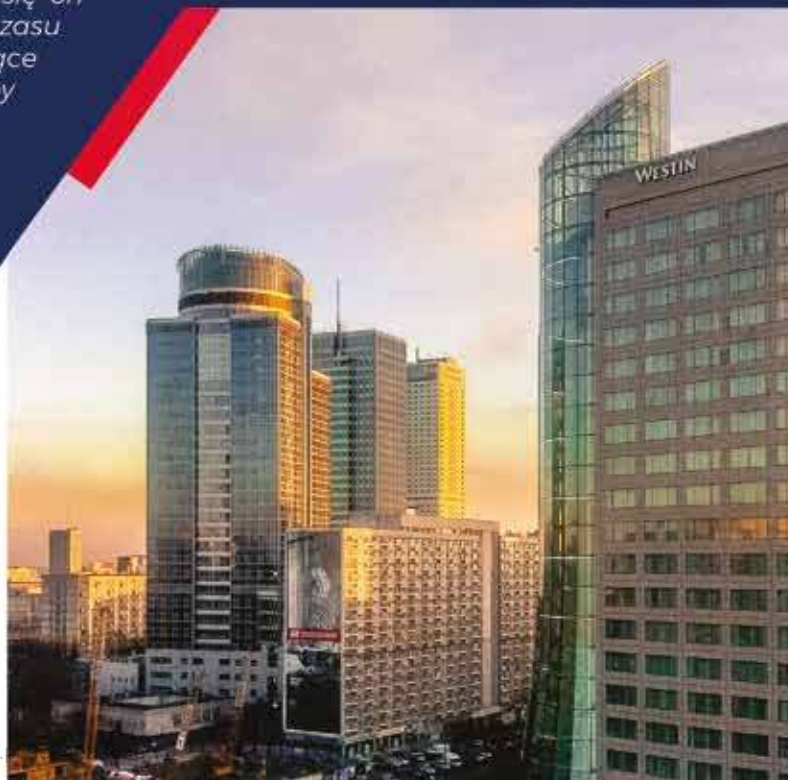

Sponsor strategiczny:

ORLEN

eprasa.

Indie we krwi

Łukasz Czarnecki

W roku 1857 brytyjskimi posiadłościami w Indiach wstrząsnęło powstanie tubylczych żołnierzy Kompanii Wschodnioindyjskiej – sipajów. W trakcie trwających dwa lata walk obie strony konfliktu prześcigały się w okrucieństwie, a obudzone wówczas upiory nękać miały Anglików przez kolejne dekady

W połowie XIX w. Półwysep Indyjski był najcenniejszą z ziem wchodzących w skład imperium brytyjskiego. Oficjalnie nie znajdował się pod zarządem Korony, stanowiąc własność Kompanii Wschodnioindyjskiej, której jednym z udziałowców było państwo. Od XVII w. Kompania wciąż powiększała zakres posiadania i władzy nad podbitymi ziemiami. Proces ten trwał przez wiele lat, a jego zwieńczeniem było dokonanie w latach 40. i 50. XIX w. wielu aneksji dotychczas niezależnych księstw indyjskich, pod pretekstem bezpotomnego wymarcia rządzących nimi dotychczas rodów. Oficjalne oświadczenia były jednak tanią wymówką – niektórzy ze zmarłych maharadżów w rzeczywistości mieli następców, jednak ich prawa do tronów zostały zakwestionowane przez Brytyjczyków.

CZARNE CHMURY

Przez długi czas stosunki między Europejczykami a Hindusami układały się znośnie. Wielu urzędników i wojskowych służących w Indiach wrastało w tutejszą rzeczywistość i wchodziło w związki rodzinne z tubylcami.

eprasa.pl 9e340ad6ae

Walki podczas buntu sipajów na obrazie Orlanda Norie'ego

FOT. PRINTS, DRAWINGS, AND WATERCOLORS FROM THE ANNE S.K. BROWN MILITARY COLLECTION/BROWN UNIVERSITY LIBRARY

W XVIII w. nikogo nie gorszył tu widok Anglika mającego hinduską żonę lub konkubinę. Niektórzy z przybyszów całkowicie przejmowali nawet indyjski sposób bycia. Sytuacja zaczęła się zmieniać, gdy na subkontynent zaczęły napływać białe kobiety. Brytyjczycy zaczęli tworzyć w Indiach ściśle zamknięte środowisko, a posiadanie hinduskiej żony lub mieszanych rasowo dzieci stało się prostym sposobem na popełnienie towarzyskiego samobójstwa.

To, że biali zaczęli się wywyższać, stanowiło najmniejszy problem. Destabilizacji bardziej posłużyło wiele kroków poczynionych przez Kompanię Wschodnioindyjską po zakończeniu wojen napoleońskich. Brytyjczycy starali się nie ingerować w miejscowe zwyczaje i wierzenia. Wiek XIX przyniósł zmianę tej polityki i do Indii zaczęły napływać rzesze pastorów, gotowych nieść (i to często w sposób dość agresywny) Ewangelię miejscowym. Biorąc pod uwagę wysoką pozycję hinduistycznych kapłanów i ich wpływ na ziomków, nie trzeba było być prorokiem, by z tego tytułu przewidzieć kłopoty.

Tymczasem Brytyjczycy narzucali kolejne reformy. Wiele z nich było pozytywnych – jak choćby zakaz palenia wdów na stosach pogrzebowych ich mężów czy rozpoczęcie budowy sieci szkół nauczających na europejską modłę – ale i tak szokowały one przyzwyczajonych do wielowiekowych (choć czasem barbarzyńskich) tradycji miejscowych. Po Indiach zaczęła krążyć plotka, że ostatecznym celem białych sahibów jest zamienienie wszystkich Hindusów w chrześcijan i całkowite zniszczenie ich rdzennej kultury.

ŻOŁNIERSKA DOLA

Jednym z najważniejszych fundamentów, na których opierała się władza Kompanii nad Indiami, była jej potężna armia. W Wielkiej Brytanii nie dało się znaleźć wystarczającej liczby ochotników chętnych do tego, by rzuciwszy wszystko, wyjechać na drugi koniec świata, ryzykować życie i zdrowie w bitwach toczonych pod morderczym indyjskim słońcem. Dlatego też Anglicy, tworząc swe siły zbrojne na subkontynencie, sięgnęli po miejscowe źródło rekruta. Tym sposobem narodziły się oddziały sipajów – tubylczych żołnierzy służących w brytyjskich barwach. Kariera w siłach zbrojnych Europejczyków przez długi czas stanowiła dla miejscowych na tyle atrakcyjną ścieżkę zawodową, że pod koniec XVIII w. przeważająca część sipajów pochodziła z najwyższych kast indyjskich, w tym nawet – będącej na czubku kastowej piramidy – warstwy bramińskiej.

Sipajowie dowiedli swej wierności i bitności w dziesiątkach bitew toczonych zarówno przeciw własnym rodakom, jak i poza granicami Indii. To oni stanowili choćby znaczny odsetek sił brytyjskich walczących w Chinach podczas wojen opiumowych. Na ich barkach spoczywał spokój rodzinnego półwyspu, w którego militarnym krajobrazie dominowali. W latach 50. XIX stulecia pod flagą Kompanii służyło ponad 230 tys. sipajów i tylko 45 tys. Anglików, z których jedna trzecia była rozproszona jako oficerowie po tubylczych formacjach. Choć jednak usługi indyjskich kolaborantów były dla białych sahibów niezastąpione, z czasem warunki ich służby zaczęły się pogarszać.

Wymownym znakiem tego, że sprawy idą w złym kierunku, była choćby kwestia żołdu. W czasach wojen napoleońskich wynosił on siedem szylingów miesięcznie, zaś 40 lat później, na chwilę przed wybuchem indyjskiego powstania... dokładnie tyle samo. Tymczasem koszty utrzymania wzrosły w Indiach dwukrotnie. Inną bolączkę stanowił system awansów – zdobycie wyższego stopnia wojskowego zależało nie od umiejętności kandydata, lecz od wysługi jego lat. W efekcie kariera licznych indyjskich oficerów utknęła w miejscu, co przyczyniło się do wzrostu frustracji ich korpusu. Co gorsza, niezależnie od swej rangi dowódca indyjski zawsze znajdował się na straconej pozycji względem oficera brytyjskiego, nawet jeśli ten miał niższy stopień. W efekcie doświadczony pułkownik sipajów mógł zostać zmuszony do wykonywania rozkazów młodego białego porucznika, co, jak łatwo się domyślić, tego rodzaju stare wiarusy uważały za uwłaczające ich godności. Pochodzącą z elit indyjskich część tubylczego korpusu gryzł też fakt, że jego elitarność odchodziła powoli w przeszłość. Potrzebujący wciąż nowych rekrutów Brytyjczycy otworzyli drzwi rekrutacji w szeregi sipajów szeroko przed przedstawicielami wszystkich warstw społecznych Indii. Nagle bramini służący w wojsku zaczęli stanowić mniejszość zmuszoną do codziennego zadawania się z członkami pośledniejszych kast.

Źle na morale hinduskich oddziałów wpływało zachowanie ich angielskich oficerów. O ile sto lat wcześniej brytyjscy dowódcy nie mieli nic przeciwko brataniu się ze swymi żołnierzami, o tyle teraz kontakty pozasłużbowe starano się ograniczyć do minimum, a nowe pokolenie oficerów odnosiło się do podwładnych z obojętnością lub wręcz pogardą. Normą stało się, że gdy sipajowie udawali się do dowodzącego nimi białego sahiba z jakąś prośbą lub sugestią, ten nie wysłuchawszy nawet tego, z czym przychodzą, odsyłał ich do diabła. Biorąc to wszystko pod uwagę, zdumieniem musi napawać fakt, że

eprasa.pl 9e340ad6ae

bunt sipajów, który wybuchł w maju 1857 r., okazał się dla Brytyjczyków totalnym zaskoczeniem.

ZABIĆ BIAŁYCH SAHIBÓW

Iskrą, która doprowadziła do wybuchu powstania, było wprowadzenie na wyposażenie indyjskiej armii nowych, posiadających większy zasięg, karabinów. Przeważająca większość tubylczych żołnierzy odmówiła korzystania z nich. Powodem był drobny szczegół dotyczący ich ładowania – pociski dostarczono żołnierzem w papierowych tubkach zawierających kulę i ładunek prochowy potrzebny do jej wystrzelania. Pakunek należało otworzyć zębami i załadować broń. Aby pocisk gładko wszedł w lufę, producent smarował go tłuszczem. I tu właśnie leżał pies pogrzebany, bo do natłuszczenia nabojów wykorzystano mieszankę smarów, w skład której weszły m.in. świńskie i krowie sadło. Tymczasem krowy, jak wiadomo, są świętymi zwierzętami hinduizmu. Dodatkowo w oddziałach sipajów służył też duży odsetek muzułmanów, dla których z kolei tabu żywieniowym była wieprzowina, a więc i świński tłuszcz.

Katastrofa zaczęła się w mieście Meerut. Gdy 85 tutejszych sipajów odmówiło korzystania z nowych karabinów, 9 maja 1857 r. zostali postawieni przed sądem wojskowym i na oczach towarzyszy broni zdegradowani oraz skazani na 10 lat ciężkich robót. Odprowadzani do więzienia skazańcy głośno wzywali rodaków do tego, by ich bronili. Tego wieczoru sipajowie zaczęli szemrać o buncie.

Następnego dnia w niedzielę o godz. 17 trzy regimenty sipajów chwyciły za broń i wymordowały swoich białych oficerów. Do rebeliantów przyłączyła się tłuszcza z bazaru, zabijająca każdego Anglika, który wpadł im w ręce. Skończyłoby się zapewne całkowitą rzezią, gdyby nie fakt, że w Meerut stacjonował też silny oddział Brytyjczyków, którzy przeszli do kontrataku. Za wiele jednak zdziałać im się przeciw buntownikom nie udało, bo ci szybko opuścili miasto i ruszyli w kierunku Delhi. Jako ponurą zapowiedź tego, co czeka białych sahibów, zostawili za sobą zwłoki 41 ofiar, w tym ciężarnej żony jednego z oficerów, którą wypatroszyli.

Następnego dnia rebelianci pojawili się w Delhi, nad którym nominalną władzę sprawował Bahadur Szah II, ostatni potomek dawnych indyjskich cesarzy z dynastii Mogołów. Ten siwobrody starzec liczył sobie już 81 lat, a jego rządy były czysto iluzoryczne – o wszystkich sprawach decydował angielski „doradca". Zbuntowani sipajowie wdarli się do pałacu i wymordowawszy wszystkich znalezionych w nim Europejczyków, dotarli do sędziwego monarchy, po czym obwołali go cesarzem Indii. Chcąc nie chcąc, spadkobierca Mogołów zgodził się przyjąć cesarską koronę. Tymczasem na ulicach miasta działy się dantejskie sceny, bo trwała metodyczna rzeź białych. W pewnym momencie Delhi wstrząsnął huk, gdy grupa brytyjskich żołnierzy, widząc, że metropolia jest stracona, wysadziła w powietrze miejski arsenał, chcąc zapobiec przejęciu złożonej w nim broni przez buntowników.

Rewolta zaczęła rozlewać się po północnych Indiach. Sipajowie uśmiercali białych dowódców, po czym przystępowali do mordowania ich rodzin. Szczególnie drastyczne sceny, które urosły później w wiktoriańskiej świadomości do rangi symbolu całego konfliktu, miały miejsce w mieście Cawnpore.

Tutejszy czterotysięczny garnizon składał się w przeważającej większości z sipajów. Jego dowódca – gen. Hugh Wheeler – szczęśliwie nie dał się jednak zaskoczyć i zawczasu zbudował wokół części koszar palisadę, za którą zgromadził 400 uzbrojonych europejskich mężczyzn wraz z kobietami i dziećmi w liczbie 500. Gdy indyjski garnizon Cawnpore dołączył do buntu, biali nie zostali od ręki wymordowani. Wheeler miał nadzieję, że zrewoltowani Hindusi, zaspokoiwszy pierwszy szał zniszczenia, pociągną w kierunku Delhi. Tak się jednak nie stało. Sipajowie podjudzeni przez emisariusza jednego z rebelianckich wodzów – Nana Saheba, który obiecał im za zabicie Anglików wypłatę podwójnego żołdu oraz darmową żywność – przystąpili do oblężenia małej twierdzy. Przez trzy tygodnie generał ze swymi ludźmi odpierał ze straceńczą odwagą kolejne szturmy, znosząc głód i ostrzał artyleryjski. W końcu jasne było, że Brytyjczycy dłużej się nie utrzymają, wiec gdy rebelianci zaproponowali Wheelerowi i jego ludziom honorową kapitulację i bezpieczne opuszczenie miasta, ten złożył broń. Gdy wycofujący się Anglicy dotarli nad pobliski Ganges i zaczęli wchodzić na pokład mających wywieźć ich z Cawnpore łodzi, ogień otworzyła do nich ukryta rebeliancka artyleria. Większość pozostałych na brzegu sipajowie wyrżnęli. Rzeź przeżyła grupa kobiet i dzieci, które uwięziono w jednym z miejskich domów. Z czasem zapędzono do niego innych złapanych członków rodzin pomordowanych Brytyjczyków i pilnie strzeżono. Gdy w okolicy Cawnpore pojawił się ciągnący przeciw rebeliantom angielski korpus, liderzy buntowników, bojąc się, że więźniarki mogą stać się dla swych wybawców źródłem informacji o zdradzieckiej rzezi, podjęli decyzję o ich zamordowaniu. Grupa sipajów weszła do prowizorycznego więzienia i zaszlachtowała mieczami bezbronne angielskie kobiety i dzieci, nie dając pardonu nikomu.

IMPERIUM KONTRATAKUJE

Odpowiedź Brytyjczyków na indyjski bunt była zdecydowana. Europejskie oddziały stacjonujące na subkontynencie zaczęły się koncentrować i po osiągnięciu odpowiedniej liczebności ruszyły w pole. Równocześnie z Wysp Brytyjskich wypłynęły statki wiozące posiłki.

Walcząc z buntownikami, biali sahibowie nie okazywali swym wrogom litości. Złapanych buntowników czekały wymyślne męki natury fizycznej i psychicznej. Kiedy Brytyjczycy wkroczyli do Cawnpore i odkryli miejsce tamtejszej masakry kobiet i dzieci, którego ściany dosłownie skąpane były we krwi, spędzili braminów i kazali im własnoręcznie zmyć krwawe plamy, by zgodnie z ich systemem wierzeń uczynić ich nieczystymi. Przymusowych czyścicieli po pracy powieszono, wysyłając na tamten świat w przekonaniu, że w zaświatach czeka na nich potępienie. Schwytanych sipajów przywiązywano niekiedy do wylotów luf armatnich, po czym oddawano salwy. Do 8 lipca 1859 r. powstanie zostało oficjalnie stłumione.

Krwawe wydarzenia przekonały Londyn, że Kompania Wschodnioindyjska przestała sprawdzać się w roli administratora najcenniejszej kolonii imperium. 2 sierpnia 1858 r. rząd ogłosił, że subkontynent przechodzi pod bezpośredni zarząd Korony. Rewolta sipajów zaś, choć stłumiona, zostawiła blizny w zbiorowej tożsamości Brytyjczyków, którzy odtąd nigdy nie czuli się w Indiach całkowicie bezpieczni i już zawsze, widząc hinduskiego służącego krojącego pieczeń, zastanawiali się, czy nie czeka on tylko na okazję, aby tym samym nożem poderżnąć im gardło.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9e340ad6ae

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

TYLKO U NAS!

PORUSZAJĄCY WYWIAD Z WETERANEM SPOD TOBRUKU

Aleksander B. Skotnicki – **Wizy życia dla Żydów**
Piotr Zychowicz – **Polska i Japonia: współpraca wywiadów**
Tomasz Stańczyk – **Sprawiedliwi dyplomaci**
Pierre Servent – **Tajemnica lotu Hessa**
Jacek Bartosiak – **Polska musi być potężna**
Sławomir Koper – **Zagadka śmierci Piastów**
Arkadiusz Karbowiak – **Izraelska inwazja na Liban**
Piotr Semka – **Rommel: Lis Pustyni**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 9e340ad6ae

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Propaganda ojczyźniana

Państwa postkomunistyczne mają tendencję do fałszowania historii i wykorzystywania jej do bieżących celów. Mowa o tzw. polityce historycznej. W jej uprawianiu bryluje Rosja, która w niebywały wręcz sposób manipuluje historią wielkiej wojny ojczyźnianej.

Obraz przedstawiany przez kremlowską propagandę różni się od prawdziwego przebiegu wojny jak dzień od nocy. Znakomitą odtrutką na te zabiegi jest książka Borysa Sokołowa „Straszliwe zwycięstwo". Autor krok po kroku dekonstruuje sowieckie mity.

Według Sokołowa:

1. Sowiecka polityka zagraniczna w latach 1939–1941 nie miała charakteru obronnego. Przeciwnie, była skrajnie agresywna. Stalin miał taki sam udział w rozpętaniu drugiej wojny jak Hitler.

2. Straty wojenne Armii Czerwonej były znacznie większe niż straty Wehrmachtu. Nawet w ostatnim okresie wojny.

3. Stalin i jego marszałkowie byli dyletantami, ich jedyną taktyką było „zasypanie wroga trupami". Trupami, dodajmy, własnych żołnierzy.

4. Związek Sowiecki nigdy nie poradziłby sobie z Niemcami samodzielnie. Wygrał wyłącznie dzięki dostawom uzbrojenia od Anglosasów.

6. Bolszewicy w trakcie i po zakończeniu wojny dopuszczali się straszliwych zbrodni. Zamiast „wyzwalać" – ciemiężyli.

„Historię wielkiej wojny ojczyźnianej – pisze Sokołow – rozpatruje się tylko jako narzędzie propagandy politycznej. Bierze się pod uwagę wyłącznie te wydarzenia, które można interpretować jako heroiczne. Historia to jednak nie tylko bohaterstwo i tragedie. To także przestępstwa, podłości i hańba. Kiedy trzeba poruszać takie tematy, ledwie się je wspomina i w miarę możliwości usprawiedliwia".

Sokołow słusznie pisze, że jedyna różnica między Hitlerem a Stalinem polegała na tym, że Stalin znalazł się w obozie zwycięzców, a Hitler w obozie przegranych.

„Straszliwe zwycięstwo" to kapitalna książka. W jednym się jednak z autorem nie zgadzam. Nie uważam, żeby naród rosyjski musiał teraz „wyrażać skruchę" z powodu sowieckich zbrodni. Współcześni Rosjanie nie ponoszą bowiem za nie winy. Historię trzeba rzetelnie, uczciwie opisać. A nie za nią przepraszać. To wystarczy. ©℗

★★★★★★
BORYS SOKOŁOW
„STRASZLIWE ZWYCIĘSTWO"
WYDAWNICTWO LITERACKIE

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Zapomniane zwycięskie powstanie?

Jeżeli jedną z definicji „powstania" jest „zbrojne wystąpienie ludności przeciw dotychczasowej władzy okupacyjnej", to wydarzenia z listopada 1918 r. można nazywać kolejnym powstaniem narodowym.

W październiku Niemcy prowadzili intensywne rozmowy z internowanym w Magdeburgu Piłsudskim. Generalicja pruska miała nadzieję, że uda się jej wymusić przysięgę lojalności i wykorzystać go do stworzenia w Warszawie proniemieckiego rządu, jak w Republice Litewskiej, gdzie powstał gabinet Augustinasa Voldemarasa. Piłsudski jednak odmówił, gdyż wiedział, że wojna niebawem się skończy i że zostanie zwolniony. Tak też się stało – 8 listopada został przewieziony z Magdeburga do Berlina na bezowocne dla strony niemieckiej negocjacje, a następnego dnia specjalnym pociągiem wyprawiony do Warszawy.

W stolicy pojawił się 10 listopada w godzinach porannych. Władze niemieckie zachowały ścisłą tajemnicę – o powrocie Komendanta wiedziało zaledwie kilka osób. Na peronie na Piłsudskiego oczekiwali: książę Zdzisław Lubomirski (członek Rady Regencyjnej) oraz szef miejscowego POW – Adam Koc.

Piłsudski nie tracił czasu, natychmiast odbył rozmowy z Radą Regencyjną, ze współpracownikami z POW oraz z przedstawicielami różnych opcji politycznych. Natomiast w nocy przyjął przedstawicieli garnizonu niemieckiego, a tematem była ewakuacja Niemców z Polski. Piłsudski nalegał, by przeprowadzić ją jak najszybciej, tak by żołdactwo nie spustoszyło kraju. Niemcy nie zamierzali jednak wyjeżdżać w pośpiechu, pragnęli bowiem powrócić z wojny z jak największymi łupami. Negocjacje nie przyniosły rezultatu – planowano je kontynuować kolejnego dnia.

Gdy w Warszawie rozeszły się wieści o przyjeździe Piłsudskiego, ludność zaczęła zbierać się pod jego mieszkaniem, a zgromadzenie szybko przerodziło się w stutysięczną manifestację. Członkowie POW obsadzili niektóre punkty w mieście i niemieccy żołnierze obawiali się wyjść na ulice. Dlatego następnego dnia wyrazili zgodę na wszystkie warunki: opuszczenie Królestwa Polskiego w ciągu tygodnia, pozostawienie na miejscu całego majątku wraz z bronią osobistą.

Akcja przebiegła bardzo sprawnie, walki wybuchły tylko w kilku miejscach, trwały jednak krótko i nie przyniosły ofiar śmiertelnych po polskiej stronie. Znakomicie spisali się też polscy kolejarze, dzięki czemu w ciągu sześciu dni stolica została opróżniona z Niemców. Być może, gdyby dzień 11 listopada był w Warszawie krwawy, nikt nie miałby wątpliwości, że wybuchło powstanie narodowe, które zakończyło się olbrzymim sukcesem. A tak mowa jest tylko o rozbrajaniu… ©℗

eprasa.pl 9e340ad6ae

DODATEK SPECJALNY

MUZEUM HISTORII POLSKI

DYREKTOR ROBERT KOSTRO
O BUDOWIE SIEDZIBY MUZEUM

WYSTAWA „ENIGMA. ZAGADKA ROZWIĄZANA"

ENIGMA – TAJNE POLE BITWY

ZBIÓR AMBASADORA SOKOLNICKIEGO
W KOLEKCJI MHP

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

MUZEUM HISTORII POLSKI

eprasa.pl 9e340ad6ae

Najbardziej wyczekiwane muzeum w Polsce

Muzeum Historii Polski to obecnie największa i jednocześnie najważniejsza inwestycja muzealna w Polsce. Na 7,3 tys. mkw. wystawy stałej znajdzie się ponad 3,6 tys. eksponatów. – Zgromadzenie tej kolekcji było ogromnym wysiłkiem – podkreśla Robert Kostro, dyrektor MHP

Rozmowa z Robertem Kostro, dyrektorem Muzeum Historii Polski

Muzeum Historii Polski to najdroższa, warta 760 mln zł, inwestycja kulturalna w Polsce. Kiedy zostanie otwarte dla zwiedzających?

Na przełomie lat 2022 i 2023. Przy czym trzeba powiedzieć jasno, że inwestycja jest najdroższa, bo również największa. Tej skali muzeum po prostu nie może być małe. Wystawa stała MHP będzie w Polsce największą wystawą historyczną o powierzchni 7,3 tys. mkw. Dla przykładu: wystawa stała Niemieckiego Muzeum Historycznego w Berlinie ma 8 tys. mkw. Ma to być budynek pełniący nie tylko funkcję muzeum w sensie wystaw stałych i czasowych, lecz także dużej instytucji kulturalnej. Znajdą się w nim audytorium na prawie 600 miejsc, sale kinowa i konferencyjna, przestrzenie edukacyjne czy sala małego historyka, gdzie rodzice będą mogli zostawić dziecko pod opieką edukatorów.

Budowa wystartowała w 2018 r., wcześniej długo walczyliśmy o lokalizację i środki na budowę. Ale przy tej skali obiektu to nic nadzwyczajnego. Czas realizacji Europejskiego Centrum Solidarności czy Muzeum II Wojny Światowej wynosił mniej więcej tyle samo.

Czym wyróżnia się siedziba muzeum?

Jeśli chodzi o architekturę, to zwróciłbym uwagę na dwie rzeczy. Po pierwsze na to, że przestrzeń wystaw stałych i czasowych została zbudowana bez barier architektonicznych w postaci filarów czy podpór. Druga rzecz to audytorium. To przestrzeń wielofunkcyjna, która będzie służyła jako sala konferencyjna, ale też sala dla imprez o charakterze kulturalnym, w tym koncertów. Będzie to jedna z najlepszych pod względem akustyki sal w Warszawie. Wstępnie jesteśmy już umówieni z Polską Orkiestrą Sinfonia Iuventus na to, by mieli u nas stałe miejsce koncertowe.

Ma to być nowoczesne muzeum ze świadomie budowaną narracją. Jaką?

Podobnie jak Muzeum Powstania Warszawskiego używamy różnych środków scenograficznych i multimediów. Ale w tej chwili w muzealnictwie widoczna jest tendencja używania w większym stopniu obiektów oryginalnych. I tu bardzo się różnimy od Muzeum Powstania Warszawskiego czy Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN. Bo tamte wyjściowo miały po kilkaset eksponatów, a my na wstępie będziemy mieć ich ponad 3,6 tys. To ogromna liczba! Żeby je zgromadzić, musieliśmy i kupować, i pozyskiwać dary, wypożyczyć obiekty z różnych innych instytucji muzealnych oraz współpracować z archeologami.

Natomiast jeśli chodzi o narrację, to naszym głównym wyzwaniem było samo skonstruowanie wystawy. Bo w przypadku Muzeum Powstania Warszawskiego to dość zwarta i mocno emocjonalnie nacechowana historia. Chcieliśmy utrzymać chronologiczny charakter opowieści historycznej, ale również zdawaliśmy sobie sprawę, że nie możemy opowiadać o wszystkim. W związku z tym dla każdej epoki wybraliśmy trzy główne tematy i jakąś ciekawą instalację scenograficzną, wokół której cała opowieść się rozwija.

Zależało nam na tym, żeby pokazać trzy aspekty dziejów Polski. Po pierwsze, opowiedzieć o wolności pokazywanej w kilku aspektach – jako niepodległości, praw obywatelskich, politycznych i wolności rozumianej jako prawa człowieka. Drugi filar jest związany z naszą tożsamością. Bo dzisiaj polskość wydaje nam się czymś oczywistym, a przecież np. w XVII w. polskim szlachcicem mógł być prawosławny mieszkaniec Ukrainy mówiący po rusku. I trzeci temat to pewne zagadnienia związane ze zmianami cywilizacyjnymi.

Opowiedzenie rozległej i wielowątkowej historii wymaga eksponowania obiektów różnego typu. Co zobaczymy w MHP?

Pierwszym dużym eksponatem jest łódź, dłubanka z X w., którą wydobyliśmy z jeziora Lednica. Była świadkiem początków państwa polskiego. Drugim takim świadkiem jest tysiącletni dąb, wydobyty z kolei z jeziora na Pomorzu Gdańskiem koło Pelplina. Wśród eksponatów dotyczących historii nowożytnej Polski szczególnie ciekawe są fragmenty marmurowej fasady rezydencji wazowskiej Villa Regia. W zbiorach MHP znajduje się także egzemplarz maszyny szyfrującej zbudowanej przez polskich kryptologów służącej do łamania szyfrów niemieckiej Enigmy. Enigm niemieckich jest na świecie mnóstwo. Ta do łamania szyfrów jest absolutnym unikatem! Warto wymienić jeszcze jeden eksponat, związany z kolei z upadkiem komunizmu: to fragmenty pomnika Feliksa Dzierżyńskiego, obalonego w listopadzie 1989 r. Te przykłady pokazują, że w muzeum każdy znajdzie coś interesującego. Mam nadzieję, że będzie tłumnie odwiedzane.

ARTYKUŁ PROMOCYJNY

eprasa.pl 9e340ad6ae

WYSTAWA „ENIGMA. ZAGADKA ROZWIĄZANA”

Między 9 a 28 listopada w Galerii Kordegarda na Krakowskim Przedmieściu w Warszawie dostępna dla zwiedzających będzie wystawa „Enigma. Zagadka rozwiązana”. Zostanie na niej zaprezentowany jeden z najcenniejszych eksponatów ze zbiorów Muzeum Historii Polski – zaprojektowana przez polskich inżynierów replika niemieckiej maszyny szyfrującej. Eksponat dokumentujący wielki sukces wywiadu II Rzeczypospolitej zostanie pokazany w Polsce po raz pierwszy

Jest to unikat – jedyny na całym świecie obiekt tego rodzaju udostępniony publiczności i badaczom. Ekspozycja opowiada zarówno historię eksponatu, jak i drogę Polaków do rozwiązania zagadki niemieckiej maszyny szyfrującej.

Złamanie kodu Enigmy było nie tylko wielkim sukcesem polskiego Biura Szyfrów i pracujących w nim kryptologów, lecz także wielkim triumfem polskiej nauki. Trzej matematycy z Uniwersytetu Poznańskiego – Marian Rejewski, Jerzy Różycki i Henryk Zygalski – dokonali matematycznej analizy maszyny szyfrującej Enigma i odkryli system, który pozwalał na odczytywanie szyfrowanych nią wiadomości. To była jednak tylko połowa sukcesu. Ze względu na stałe komplikowanie maszyny przez Niemców oraz znaczną liczbę informacji przechwytywanych przez polski wywiad wykorzystanie zdobytej wiedzy w praktyce wymagało zaangażowania coraz większej liczby osób, a od pewnego momentu – budowy maszyn wspomagających pracę polskich kryptologów.

Wówczas kluczowa okazała się rola inżynierów z założonej przez polski wywiad warszawskiej wytwórni AVA – przede wszystkim Antoniego Pallutha, Edwarda Fokczyńskiego oraz braci Ludomira i Leonarda Danilewiczów. Korzystając z instrukcji kryptologów, zbudowali oni maszyny wspomagające proces łamania kodów – cyklometr i bombę kryptologiczną. Spod ich rąk wyszło również ok. 50 polskich replik niemieckiej Enigmy. Zostały one skonstruowane bez znajomości niemieckiego pierwowzoru, a jedynie na podstawie teoretycznej wiedzy o zasadzie jego działania, będącej rezultatem pracy polskich kryptologów. Zbudowanie kilkudziesięciu replik było konieczne do szybkiego odczytywania niemieckich depesz – pozwalało kryptologom skupić się na samym łamaniu kodu.

Po wybuchu drugiej wojny światowej niemal wszystkie polskie repliki Enigmy zniszczono, żeby zatrzeć ślady działalności polskiego wywiadu. Pracownicy Biura Szyfrów w większości zdołali przedostać się do Francji, gdzie wznowili swoją działalność. Właśnie wtedy skonstruowano replikę maszyny prezentowaną na wystawie „Enigma. Zagadka rozwiązana”. Została ona wykonana dzięki współpracy polskich inżynierów z Francuzami. Jest to eksponat absolutnie unikatowy, ponieważ we Francji wyprodukowano zaledwie kilka polskich replik. Po wojnie egzemplarz ten znalazł się w zbiorach Instytutu Józefa Piłsudskiego w Londynie, a w 2020 r. dzięki wsparciu Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego stał się własnością Muzeum Historii Polski, w którym będzie prezentowany na wystawie stałej.

Obok maszyny wykonanej przez Polaków eksponowana będzie również niemiecka Enigma wojskowa, wykorzystywana przez niemieckie siły lądowe od początku lat 30. XX w. Porównując obie maszyny, można zauważyć, że polscy inżynierowie nie znali wyglądu niemieckiego oryginału, o czym świadczą łatwo dostrzegalne różnice konstrukcyjne. Polska replika posiada przy tym wszystkie funkcjonalności pierwowzoru. Na tego typu maszynach Polacy i Francuzi deszyfrowali niemieckie depesze w czasie wojny.

Ponadto na wystawie będzie można obejrzeć film „Enigma. Mamy nowiny” (prod. Fundacja Arma Civitatis, reż. Norbert Rudaś), prezentujący nowe fakty dotyczące złamania Enigmy w oparciu o akta udostępnione przez francuski wywiad w 2016 r. Wydarzeniami towarzyszącymi wystawie będą premiery dwóch podcastów oraz filmu na kanale YouTube.

Kuratorzy wystawy: Grzegorz Dumała, Michał Nałęcz-Nieniewski, Grzegorz Rutkowski.

Grzegorz Dumała

ARTYKUŁ PROMOCYJNY

eprasa.pl 9e340ad6ae

Polscy kryptolodzy, od lewej: Henryk Zygalski, Jerzy Różycki, Marian Rejewski, Francja, lata 1939–1942 FOT. PAP

Enigma – tajne pole bitwy

Kiedy Marian Rejewski przystępował w październiku 1932 r. do ataku na szyfr Enigmy, jednym z nielicznych punktów zaczepienia w jego pracy był egzemplarz handlowej wersji maszyny, nabyty nieco wcześniej dyskretnie przez polski wywiad. Nie była to pomoc znacząca; kryptolodzy niemieckiej armii zadbali przed dopuszczeniem maszyny do użytkowania w wojsku o zmiany w konstrukcji, które uczyniły szyfr zdecydowanie trudniejszym do złamania niż w modelu handlowym. Tak przynajmniej sądzili matematycy zatrudnieni w komórce kryptologicznej Reichswehry, którzy obliczyli liczbę kombinacji szyfru i uznali ją za nieosiągalną dla ludzkiego umysłu. Nie wzięli pod uwagę, że ta sama matematyka, która posłużyła im do oceny bezpieczeństwa szyfru, może zostać użyta jako narzędzie ataku. Rejewski opisał funkcjonowanie maszyny w formie matematycznych równań, które następnie rozwiązał jak na uniwersyteckim egzaminie. Ich rozwiązanie było równoznaczne z rekonstrukcją maszyny, której nigdy w życiu nie dane mu było zobaczyć na własne oczy.

Szyfr, uważany przez kryptologów innych krajów świata za niemożliwy do złamania, został pokonany dzięki pionierskiemu wykorzystaniu metod matematycznych po raz pierwszy w historii kryptologii. Rejewski dokonał jednak swego dzieła nie jako akademicki teoretyk, lecz pracownik wywiadu. Od jego współpracowników trudno było oczekiwać, by odczytywali depesze przeciwnika, rozwiązując równania – operacyjne wykorzystanie sukcesu wymagało budowy replik niemieckiej maszyny. Pierwotnie Polacy zmodyfikowali w tym celu posiadany egzemplarz maszyny handlowej, lecz jego obsługa była kłopotliwa. Równolegle kierownictwo Biura Szyfrów zleciło budowę kilkunastu odpowiedników niemieckiej Enigmy współpracującej z polskim wywiadem firmie AVA. Jej inżynierowie oparli własną konstrukcję na znanym sobie modelu handlowym. Jednak różnice pomiędzy modelem handlowym i wojskowym znali jedynie z równań Rejewskiego, toteż oddali je w konstrukcji we własny, orygi-

eprasa.pl 9e340ad6ae

nalny i – jak mogliśmy się przekonać po latach – różny od pierwowzoru sposób. Po ujawnieniu historii złamania Enigmy liczni brytyjscy historycy powielali stereotyp, według którego zasadniczy wkład Polaków w złamanie szyfru miał polegać na kradzieży maszyny z rąk jej producenta bądź użytkowników. Ktokolwiek ma możliwość porównania oryginału i jego polskiej rekonstrukcji, natychmiast zauważa fałsz tego twierdzenia. Odmienna lokalizacja łącznicy maszyny i inne różnice konstrukcyjne dowodzą, że koncepcja inżynierów AVY była równie oryginalna i niezależna jak podejście poznańskich matematyków, które pozwoliło złamać szyfr.

O skali polskiej operacji dekryptażu świadczy między innymi fakt, że intensywnie użytkowane maszyny zużywały się szybko. Pomiędzy 1933 i 1939 r. AVA wykonała łącznie kilkadziesiąt egzemplarzy urządzenia. Kiedy w lipcu 1939 r. polski wywiad postanowił podzielić się sekretem złamania Enigmy z przyszłymi aliantami, a do Warszawy zjechali brytyjscy i francuscy kryptolodzy, Biuro Szyfrów mogło podarować każdej z delegacji po jednym egzemplarzu polskiej rekonstrukcji maszyny. Urządzenia trafiły do Paryża i Londynu w przededniu wybuchu wojny, w sierpniu 1939 r. Kilka tygodni po nich w Paryżu zjawili się także ich twórcy. Pracownicy Biura Szyfrów oraz kluczowi członkowie zespołu firmy AVA uratowali się z wrześniowej klęski i różnymi drogami dotarli do Francji. Dwa egzemplarze maszyny, które zdołali wywieźć z kraju, były niewystarczające dla wznowienia pracy. Okazało się też, że francuscy gospodarze nie uczynili dotąd nic, by na podstawie maszyny otrzymanej w darze rozpocząć wytwarzanie większej liczby kopii. W tej sytuacji Antonii Palluth i Edward Fokczyński zdemontowali jedno z przywiezionych z Polski urządzeń i przygotowali na jego podstawie dokumentację techniczną. Ich francuski zwierzchnik, mjr Gustave Bertrand, przekazał dokumentację francuskiej firmie Etablissement Edouard Belin, która podjęła się produkcji „L'Appareil A", jak Francuzi nazwali replikę Enigmy.

Zanim producent zdążył dostarczyć choćby jeden egzemplarz, III Rzesza zaatakowała w Skandynawii i na Zachodzie. Polscy kryptolodzy rzucili się w wir pracy – przez kilka tygodni usiłowali dotrzymać kroku Brytyjczykom, którzy dysponując znacznie większymi zasobami, powoli przejmowali pałeczkę w kryptologicznej sztafecie. Brak sprzętu stanowił chyba mniejszy problem niż brak woli walki francuskiej armii, którą Polacy starali się wesprzeć swymi dekryptażami. Kiedy marszałek Petain wystąpił o rozejm, ponownie zaznali goryczy ucieczki, ewakuowani przez Francuzów do Afryki Północnej. Po kilkunastu tygodniach lenistwa w afrykańskim słońcu powrócili do Europy, podejmując pracę w nieokupowanej części Francji. Trzy ocalone z klęski maszyny musiały być już wówczas mocno wyeksploatowane, ponieważ Bertrand zdecydował się spełnić ryzykowną misję: przewiózł z Paryża do konspiracyjnej siedziby kryptologów elementy maszyn wykonane przez firmę Belin przed wkroczeniem armii niemieckiej. Palluth i Fokczyński zdołali złożyć z nich cztery egzemplarze repliki Enigmy, jednak przygoda Polaków z szyframi tej maszyny powoli dobiegała końca. Brytyjczycy łamali w tym czasie klucze do szyfru, wykorzystując znaczną liczbę skomplikowanych urządzeń, tzw. bomb Turinga, stanowiących zresztą rozwinięcie przedwojennej koncepcji Rejewskiego. Niedysponujący żadnym sprzętem Polacy mogli liczyć wyłącznie na wiedzę i doświadczenie. Mimo wszelkich przeszkód usiłowali ponownie włączyć się do kryptologicznego wyścigu. Kiedy okazało się, że kampania w Afryce Północnej daje większe szanse przechwycenia użytecznych depesz przeciwnika, Polacy zorganizowali filię swego ośrodka w Algierze. Niewiele wiemy o efektach jej pracy poza tym, że zakończyła się tragedią. Liniowiec „Lamoricière", na którego pokładzie grupa kryptologów wracała z Algieru do Marsylii, zatonął koło Balearów. W katastrofie życie stracili Jerzy Różycki, Jan Graliński i Piotr Smoleński. W ich bagażu na dno morza poszły dwa egzemplarze Enigmy.

W listopadzie 1942 r. nastąpił kres funkcjonowania konspiracyjnego ośrodka kryptologicznego w pobliżu Uzès. Kryptolodzy ewakuowali się zeń w pośpiechu, zaalarmowani pojawieniem się niemieckich samochodów ze sprzętem pelengacyjnym w bezpośrednim otoczeniu willi. Część wyposażenia, radiostacje i zapewne ocalałe egzemplarze Enigmy zamurowano w przygotowanych w tym celu wnękach w murach budynku. Wskutek skandalicznych zaniedbań francuskich gospodarzy kryptolodzy nie zostali w porę ewakuowani do Afryki Północnej i znaleźli się na terytorium okupowanym przez III Rzeszę. Próby ewakuacji zespołu przez Hiszpanię zakończyły się jedynie częściowym powodzeniem. Kilku kryptologów przedostało

Polska replika Enigmy, Francja, lata 1940–1941 FOT. ZBIORY MHP

ARTYKUŁ PROMOCYJNY

eprasa.pl 9e340ad6ae

się na Półwysep Iberyjski i drogą przez hiszpańskie obozy i więzienia trafiło ostatecznie do Wielkiej Brytanii. Dwaj oficerowie dowodzący zespołem, Gwido Langer i Maksymilian Ciężki, zostali zdradzeni przez francuskich przewodników; trafili ostatecznie do niemieckiego obozu internowania na zamku Eisenberg. Nieco wcześniej w niewoli spotkali przelotnie Antoniego Pallutha i Edwarda Fokczyńskiego, którzy ostatecznie znaleźli się w obozie koncentracyjnym Oranienburg-Sachsenhausen, gdzie obaj stracili życie.

Po wyzwoleniu Francji Marian Rejewski i Henryk Zygalski podjęli wyprawę z Londynu do Cannes, gdzie w trakcie ucieczki pozostawili rzeczy osobiste. Nie odzyskali wiele; ich bagaże zostały splądrowane przez tymczasowych opiekunów. Być może w bagażu ocalał jednak bezwartościowy dla szabrownika egzemplarz maszyny Enigma wyprodukowanej swego czasu we francuskiej firmie na podstawie polskiego projektu i trafił wraz z kryptologami do Londynu. Możliwy jest też inny scenariusz: w ostatnich dniach wojny oddziały armii Pattona wyzwoliły z niemieckiej niewoli obu dowódców przedwojennego Biura Szyfrów, Langera i Ciężkiego. Przejeżdżając w drodze do Londynu przez Paryż, spotkali się tam z Bertrandem. Ponieważ jednoznacznie przypisywali mu odpowiedzialność za zdradę, która doprowadziła ich do niewoli, powojenne rozmowy trójki oficerów musiały być trudne. Można sądzić, że Bertrand usiłował ocieplić atmosferę dyskusji, przekazując interlokutorom egzemplarz repliki Enigmy, który w międzyczasie odzyskał z depozytu w murach willi pod Uzès. Jeżeli tak się stało, to maszyna dotarła w bagażu Langera lub Ciężkiego do Londynu, by po demobilizacji obu oficerów w nieznanych okolicznościach trafić do zbiorów miejscowego Instytutu Józefa Piłsudskiego. W 2020 r. Muzeum Historii Polski pozyskało ten egzemplarz maszyny do swoich zbiorów.

Do dnia dzisiejszego zachowało się kilka tysięcy egzemplarzy maszyny Enigma różnych typów i w różnym stanie zachowania. Samo pojawienie się na rynku rzadkich egzemplarzy, np. unikalnych modeli czterowirnikowej Enigmy używanej na pokładzie U-Bootów lub maszyn Abwehry, budzi silne emocje uczestników aukcji, a przy tym maszyny osiągają ceny sprzedaży liczone w setkach tysięcy dolarów. Na tym tle maszyna w kolekcji MHP stanowi prawdziwy unikat, zarówno w sensie materialnym, jak i emocjonalnym. Na rynku kolekcjonerskim nie pojawiły się – i raczej nigdy nie wypłyną – inne egzemplarze maszyny Enigma wykonane według polskiego projektu. Ze wspomnień kryptologów wiadomo, że z części sprowadzonych z okupowanego przez Niemców Paryża zmontowano cztery egzemplarze, z których dwa zostały utracone w katastrofie statku „Lamoricière". Z rachunku wynika, że jeden egzemplarz maszyny teoretycznie może być przechowywany w magazynach jednej z francuskich tajnych służb (choć obejmująca je kwerenda nie przyniosła rezultatów). Egzemplarz w zbiorach MHP stanowi jedyny materialny ślad przedwojennego i wojennego wysiłku oraz sukcesów polskich kryptologów. Upływ czasu i wichry historii szorstko obeszły się z innymi narzędziami ich pracy i dokumentami potwierdzającymi dokonania. Zespół Biura Szyfrów po trzykroć musiał ratować się ucieczką i szedł na poniewierkę. Najpierw we wrześniu 1939 r., gdy pod Łuckiem przyszło spalić archiwa Biura i zakopać sprzęt, którego dalsza ewakuacja stała się niemożliwa. Następnie w czerwcu 1940 r., kiedy to wskutek załamania Francji kryptolodzy zostali w dramatycznych okolicznościach przerzuceni do Afryki. Pamiętniki Henryka Zygalskiego zawierają opis ewakuacji drogą powietrzną, podczas której w samolocie zabrakło paliwa jeszcze nad Morzem Śródziemnym. Z pewnością okoliczności nie pozwalały wtedy na zachowanie archiwów i sprzętu. Wreszcie kilkumiesięczna konspiracja na okupowanym przez Niemców i Włochów wybrzeżu Morza Śródziemnego na przełomie lat 1942 i 1943, po niej zimowe przejście zielonej granicy w Pirenejach i wielomiesięczny pobyt w hiszpańskich obozach i więzieniach wykluczały zachowanie czegokolwiek, co nawiązywało do kryptologicznej profesji.

Niemiecka maszyna szyfrująca Enigma, Niemcy, 1931 r.

FOT. ZBIORY MHP

W tej sytuacji być może winniśmy wdzięczność francuskiemu zwierzchnikowi polskiej ekipy, emerytowanemu generałowi Gustave'owi Bertrandowi, za przechowanie śladów pracy zespołu w okresie wojny. Jego prywatne archiwum zostało skonfiskowane przez żandarmerię niezwłocznie po śmierci generała i pozostawało utajnione do 2015 r. Odtajnienie części dokumentów i przekazanie ich do archiwum armii francuskiej na zamku Vincennes pozwoliło odnaleźć między innymi wykonaną przez Polaków w czasie pobytu we Francji dokumentację kopii Enigmy. Jej porównanie z zachowanym egzemplarzem maszyny potwierdza bezspornie, że mamy do czynienia z jednym z czterech egzemplarzy wykonanych przez francuskiego producenta według polskiego projektu i rękoma polskich techników. Unikalna maszyna w zbiorach MHP jest jedynym świadkiem najbardziej twórczego okresu alianckiej współpracy kryptologicznej, która z czasem okazała się jednym z czynników decydujących o zwycięstwie w drugiej wojnie światowej.

dr Marek Grajek

Muzeum on-line:

- filmy dokumentalne
- podcasty
- audiobooki
- słuchowiska i warsztaty dla dzieci
- lekcje historyczne i pakiety edukacyjne

eprasa.pl 9e340ad6ae

Zbiór ambasadora Michała Sokolnickiego w kolekcji Muzeum Historii Polski

Michał Sokolnicki w swoim gabinecie, Ankara, lata 30. XX w. FOT. ZBIORY MHP

Akcesoria podróżne Ireny i Michała Sokolnickich. Fragment ekspozycji w Ambasadzie RP w Ankarze, 24 maja 2021 r. FOT. ZBIORY MHP

Po ponad 75 latach do Polski wrócił legendarny zbiór Michała Sokolnickiego – pamiątki rodzinne, archiwum i biblioteka ostatniego ambasadora II Rzeczypospolitej w Ankarze, bliskiego współpracownika marszałka Józefa Piłsudskiego. To najpełniejszy i najlepiej zachowany zespół dotyczący polskiej dyplomacji czasów dwudziestolecia i drugiej wojny światowej.

Zespół pamiątek i archiwaliów należących do Sokolnickiego i jego żony Ireny został w latach 70. wykupiony przez prywatnego tureckiego kolekcjonera Ottona Hermana Woebera. Od lat 90. trwały zabiegi polskich resortów – kultury i spraw zagranicznych – o odzyskanie pamiątek. Nabytek ma ogromne znaczenie dla lepszego poznania zarówno działalności samego Sokolnickiego, jak i dyplomacji II Rzeczypospolitej i polskiej emigracji. Dzięki współpracy Muzeum Historii Polski i Ambasady Rzeczypospolitej Polskiej w Ankarze oraz wsparciu Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego negocjacje zakończyły się sukcesem. Pomocy w transporcie pamiątek do kraju udzieliło Ministerstwo Obrony Narodowej.

Michał Sokolnicki (1880–1967) był historykiem, politykiem i dyplomatą. Urodzony w rodzinie ziemiańskiej, studiował w Paryżu w elitarnej Szkole Nauk Politycznych oraz na Uniwersytecie we Lwowie (należał do grona uczniów Szymona Askenazego). Był działaczem Polskiej Partii Socjalistycznej, a przed pierwszą wojną światową przystąpił do „Strzelca". Został prywatnym sekretarzem Józefa Piłsudskiego. W czasie pierwszej wojny światowej był m.in. sekretarzem Naczelnego Komitetu Narodowego. W 1919 r. uczestniczył w delegacji na konferencję pokojową w Paryżu. Później pracował w dyplomacji, pełniąc m.in. funkcje ambasadora w Danii i w Turcji (od 1936 r.). Na tej ostatniej placówce spędził okres drugiej wojny światowej. We wrześniu 1945 r., po uznaniu przez Turcję kierowanego przez komunistów Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej w Warszawie, Sokolnicki był zmuszony opuścić ambasadę. Pozostał na emigracji w Turcji, wykładał na Uniwersytecie Ankarskim. Po wojnie współpracował z instytucjami emigracyjnymi, m.in. z Instytutem Piłsudskiego w Nowym Jorku, Polskim Instytutem Naukowym oraz paryską „Kulturą".

HISTORIA
DELLE DVE SARMATIE DI MATTHEO DI MICHEOVO,
DOTTOR FISICO, ET CANONICO CRACOVIENSE.
TRADOTTA PER IL SIGNORE ANNIBAL MACCI.
CON LA TAVOLA DELLE COSE NOTABILI.
CON PRIVILEGIO.
IN VENETIA APPRESSO GABRIEL GIOLITO DE' FERRARI.
M D LXI.

Karta tytułowa dzieła Macieja z Miechowa „Historia delle due Sarmatie", Wenecja, 1561 r. FOT. ZBIORY MHP

Michał Sokolnicki był autorem książek historycznych, w tym biografii swojego przodka, gen. Michała Sokolnickiego (1760–1815), bohatera z czasów napoleońskich. Napisał także prace dotyczące polityki międzynarodowej oraz książki wspomnieniowe. Ogromną wartość historyczną mają jego wspomnienia, w tym „Czternaście lat" (Warszawa 1936) oraz „Dziennik ankarski" (t. I – Londyn 1965, t. II – Londyn 1974).

Pozyskany zbiór zawiera m.in.:

- archiwalia obejmujące liczne dokumenty, fotografie, rękopisy i listy;
- ponad 3200 książek z XIX i XX w.; wśród nich wiele pozycji rzadkich, wydawnictw polskich, angielskich, francuskich, niemieckich, dotyczących polityki zagranicznej, historii i historii sztuki;
- ponad 30 starodruków;
- 15 portretów rodzinnych Sokolnickich;
- ponad 60 obiektów rzemiosła i sztuki zdobniczej związanych z ambasadorem;
- kilkanaście sztuk mebli prywatnych i wykorzystywanych w gabinecie ambasadora;
- ponad 40 grafik.

Dzięki odzyskanym elementom wyposażenia ambasady będzie można odtworzyć wygląd gabinetu polskiego ambasadora z okresu II RP. Perłami księgozbioru są starodruki, wśród nich jednym z cenniejszych jest „Opis Sarmacji" Macieja z Miechowa – wydany w 1561 r. w przekładzie na język włoski. Ciekawostką jest kasetka, która była wykorzystywana do przechowywania pieniędzy i najważniejszych dokumentów. W zbiorze znalazły się również m.in. pamiętniki Ireny Sokolnickiej oraz dokument nadania szwedzkiego orderu Wazy Józefowi Beckowi.

ARTYKUŁ PROMOCYJNY

eprasa.pl 9e340ad6ae

FOT. VATICAN POOL/GETTY IMAGES

Biden i aborcja

Paweł Chmielewski

Czy polityk, który aktywnie wspiera legalność mordowania dzieci nienarodzonych, może przystępować do Komunii Świętej? Zgodnie z nauką Kościoła katolickiego – nie. A jednak znany z proaborcyjnej polityki prezydent USA Joe Biden oznajmił publicznie, że papież zachęcił go do przyjmowania Ciała Chrystusa. Watykan nie zdementował tej informacji. Takiego skandalu w Kościele nie było już dawno

Zabicie nienarodzonego dziecka jest zbrodnią. Nauka Kościoła katolickiego nie pozostawia tu najmniejszej wątpliwości. Ci, którzy przyczyniają się do uśmiercenia niewinnego, są w stanie grzechu ciężkiego i z tej przyczyny nie mogą przystępować do Komunii Świętej. Jeżeli ich grzech jest publiczny – a tak dzieje się w przypadku polityków, którzy swoimi działaniami przyczyniają się do utwierdzenia bądź rozszerzenia możliwości mordowania dzieci – to kapłani są zobowiązani do tego, by odmawiać im sakramentu. To elementarne zasady; wstyd, że trzeba je w ogóle powtarzać, powinny być przecież dla każdego członka Kościoła oczywistością. Powinny, jednak nie są – a problem dotyczy nie tylko zwykłych wiernych, lecz także pasterzy, w tym… samego papieża.

Prezydent USA Joe Biden, jak powszechnie wiadomo, zdecydowanie popiera prawne możliwości zabijania dzieci. W swojej politycznej karierze dawał temu wyraz wielokrotnie. Wystarczy przypomnieć dwie sprawy z okresu jego krótkiej prezydentury. Po pierwsze, jedną z jego pierwszych decyzji jako głowy państwa było zapewnienie wsparcia finansowego z budżetu federalnego tym organizacjom, które rozpowszechniają aborcję poza granicami Ameryki. Po drugie, Biden aktywnie zwalcza próby ograniczenia procederu mordowania nienarodzonych w Teksasie. Sprawa jest zatem jasna; mimo przynależności do Kościoła prezydent USA gorliwie promuje grzech i umacnia cywilizację śmierci.

ŚWIĘTOŚĆ ŻYCIA LUDZKIEGO

W piątek 29 października Joe Biden odwiedził w Watykanie papieża Franciszka. Wizyta miała w kontekście prawa dzieci do życia bardzo prowokacyjny charakter. Jeszcze kilka dni przed spotkaniem rzecznik prasowa Białego Domu, Jen Psaki, potwierdziła podczas konferencji, że Biden „popiera prawo kobiet do decydowania" i przyznała, że w sprawie zabijania dzieci „wypowiadał się inaczej niż papież". Część katolickich komentatorów miała nadzieję wobec tego, że Franciszek wykorzysta spotkanie z Bidenem do tego, by prezydenta albo wprost upomnieć, albo choćby w jego obecności potwierdzić nauczanie Kościoła na temat świętości życia ludzkiego.

eprasa.pl 9e340ad6ae

Niestety, podczas publicznej części ich spotkania takie słowa nie padły. Ponad godzinna rozmowa w ramach audiencji odbyła się bez udziału kamer. Watykan poinformował później, że rozmawiano o takich sprawach jak imigranci, klimat, COVID-19 czy ogólnie pojęte prawa człowieka. O prawie do życia – ani słowa. Dziennikarze pytali później Bidena, czy rozmawiał z papieżem o aborcji. Odparł, że ten temat nie pojawił się wprost, ale papież miał uznać go za dobrego katolika i zachęcić, by nadal przystępował do Komunii Świętej. Watykan, dopytywany o tę wypowiedź, odmówił komentarza. Biden wziął zresztą udział w mszy świętej w amerykańskim Kościele katolickim w Rzymie. Przyjął Komunię Świętą, a ksiądz, Joseph Ciccone, tłumaczył, że Biden jako polityk podejmuje decyzje nie tylko we własnym imieniu.

Część katolickich obserwatorów Watykanu próbuje dowodzić, że Joe Biden mógł blefować w sprawie relacji ze spotkania z Franciszkiem, bo papież przecież na pewno by czegoś takiego nie powiedział. To jednak czyste chciejstwo. Nie ma żadnych podstaw, by podważać relację Bidena – i nie chodzi jedynie o fakt braku zdementowania jego rewelacji przez Stolicę Apostolską. To, że papież Franciszek popiera przyjmowanie Komunii Świętej przez polityków, którzy bronią legalności mordowania dzieci nienarodzonych, o ile zarazem występują na rzecz ochrony klimatu czy migrantów, jest w istocie wiadome od dawna. Na początku października Franciszek przyjął w Watykanie Nancy Pelosi, spiker amerykańskiej Izby Reprezentantów. Pelosi, tak jak Biden, od wielu lat popiera legalne zabijanie. Papież nie wspomniał podczas spotkania ani słowem o aborcji. Poprzez liczne uśmiechy i gesty zamanifestował jedynie swoją sympatię dla demokratki. Spotkanie było zarazem wyraźnym sygnałem, bo nieco wcześniej abp Salvatore Cordileone z San Francisco – Pelosi jest formalnie jego diecezjanką – wezwał publicznie do modlitwy za nawrócenie jej serca w sprawie aborcji. Franciszek podczas spotkania z Bidenem te wysiłki niejako przekreślił.

Kilka miesięcy wcześniej Stolica Apostolska zablokowała próbę wyjaśnienia sprawy związku między Komunią Świętą a politycznym poparciem aborcji, którą chciała podjąć Konferencja Episkopatu USA. O tej sprawie pisałem obszernie w artykule „Polityka przed doktryną", który ukazał się w tygodniku „Do Rzeczy" nr 22/427. Tu przypomnę jedynie, że przewodniczący amerykańskiego episkopatu, abp José Gómez, jeszcze przed zaprzysiężeniem Bidena upominał go w sprawie aborcji. Gdy upomnienia nie pomogły, zaproponował biskupom opracowanie dokumentu na temat Komunii i aborcji. Jednak do Watykanu udali się dwaj liberalni kardynałowie, którzy byli przeciwni psuciu relacji między Kościołem a proaborcyjną partią demokratów, Blaise Cupich i Joseph Tobin. W efekcie tej wizyty Kongregacja Nauki Wiary skierowała do abp. José Gómeza list, który oznaczał de facto watykański zakaz publikowania jakichkolwiek dokumentów o jednoznacznym wydźwięku. Oczywiście, abp Gómez i inni biskupi z USA, dla których wiara katolicka i życie dzieci nienarodzonych są ważniejsze od polityki, nie muszą posłuchać. Szczegóły poznamy w listopadzie. O jednoznaczność wystąpienia episkopatu będzie jednak trudno. Franciszek nie pozostawił wątpliwości, czyją stronę trzyma w tym sporze.

KONTROWERSYJNY PONTYFIKAT

Jak obecny skandal wpłynie na Kościół? Niewątpliwie wśród części katolików umocnią się wątpliwości w sprawie pontyfikatu Franciszka. Urzędowanie Jorgego Maria Bergoglia od pierwszych dni wzbudza szalone kontrowersje, zarówno za sprawą trudnej do jednoznacznego zrozumienia i przyjęcia abdykacji Benedykta XVI, jak i wskutek wielu decyzji nowego papieża, których nie da się pogodzić z nauką Kościoła. Niewątpliwie jednak sprawa aborcji ma inny wymiar. Jest potrzebna pewna wiedza teologiczna, by zrozumieć, że adhortacja „Amoris laetitia" zrywa z nauką Kościoła na temat sumienia, a dokument z Abu Zabi podważa podstawowe prawdy chrystologiczne. Aby wiedzieć, że aborcja to ohydna zbrodnia, nie trzeba tymczasem żadnej szczególnej edukacji. Nawet dziecko zrozumie, że skutek polityki Watykanu wobec prezydenta Bidena i innych proaborcyjnych polityków będzie banalnie prosty: ruch na rzecz legalności mordowania dzieci nienarodzonych zostanie wzmocniony, wobec czego zginie więcej dzieci. Ponadto jeszcze bardziej zachwiane zostanie wśród milionów katolików na całym świecie właściwe rozumienie Eucharystii i dyspozycji koniecznych do tego, by godnie ją przyjmować. Skoro Biden może popierać legalność mordowania dzieci nienarodzonych i przyjmować Ciało Chrystusa, to dlaczego Kościół katolicki w Polsce krytykuje tak jednoznacznie wysiłki Marty Lempart?

Co więcej, sprawa Komunii Świętej i Bidena to nie jest jedyne wydarzenie, które tylko w ostatnich dniach oburzyło wielu katolików. Pod koniec października z woli Franciszka do Papieskiej Akademii Nauk włączony został słynny ekonomista Jeffrey Sachs, kiedyś zwolennik wolnego rynku, dziś częsty obrońca Chin przed polityką Stanów Zjednoczonych. Sachs przez wiele lat promował redukowanie światowej populacji poprzez upowszechnianie dostępu do antykoncepcji oraz do legalnego zabijania dzieci nienarodzonych; określał te praktyki jako relatywnie tanie i bardzo skuteczne. Ekonomista nigdy nie odciął się od tych poglądów, nawet jeżeli dzisiaj wyraża je w bardziej zawoalowany sposób.

Chaos zatem narasta niemal z tygodnia na tydzień. Nie dziwi, że w Internecie coraz większą popularnością cieszą się radykalne w duchu i treści wystąpienia abp. Carla Marii Viganò, który od pewnego czasu konsekwentnie unika określenia Franciszka mianem papieża. Tego rodzaju próba „wyjścia" z trudnej sytuacji jest po ludzku zrozumiała, ale zarazem nie oferuje żadnego konstruktywnego rozwiązania, a przede wszystkim nie ma rzetelnych podstaw. Część biskupów, a między nimi zwłaszcza bp Athanasius Schneider, zamiast zgłębiać w istocie nieudowadnialne teorie i hipotezy poleca raczej nieustannie modlić się za Franciszka – i ufać, że Bóg wyprowadzi Kościół z chaosu. Według bp. Schneidera musimy z pokorą czekać, aż jeden z kolejnych papieży wyprostuje niejasności. Z pokorą – nie oznacza bezczynnie. Trzeba działać na wiele sposobów. W omawianym temacie – pamiętać i głosić, że aborcja to morderstwo, a jej poparcie jest grzechem ciężkim, nawet jeżeli Stolica Apostolska robi bardzo wiele, by przekonać nas, iż od obrony życia nienarodzonych ważniejsze jest sadzenie lasów albo włączanie się w akcję promocyjną szczepionek na COVID-19. Nie jest. Kto by miał wątpliwości, niech przeczyta choćby „Evangelium vitae" Jana Pawła II. To jest prawdziwa nauka Kościoła; to, a nie twierdzenia ludzi, którzy próbują uprawiać światową politykę, korzystając ze swoich kościelnych urzędów.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest dziennikarzem i publicystą portalu PCh24.pl

eprasa.pl 9e340ad6ae

FOT. GAGE SKIDMORE

Z Ryanem T. Andersonem, autorem książki „Kiedy Harry stał się Sally. Przemyślenia w czasach transpłciowości”
rozmawia Piotr Włoczyk

Transpłciowa zbrodnia na dzieciach

PIOTR WŁOCZYK: Z pańskiej książki wynika, że ruch transpłciowy „porwał” znaczną część środowiska medycznego w USA. Jak to możliwe, że tak wielu lekarzy zgadza się nieodwracalnie kaleczyć ciała ludzi, którzy uważają, że jedynie skalpel jest w stanie uśmierzyć ich ból psychiczny?

RYAN T. ANDERSON: Niektórzy lekarze naprawdę wierzą, że to pomoże ich pacjentom. Inni to zwykli ideolodzy. A jeszcze inni podążają po prostu za wytycznymi, które zalecają ludzie określający siebie samych ekspertami w dziedzinie płci. Wiele stowarzyszeń lekarskich, które zajmują się tymi kwestiami, zostało „porwanych” przez aktywistów i ideologów. Najgłośniejsi, najbardziej przekonani i agresywni członkowie tego środowiska sprawili, że cena za sprzeciw jest zbyt wysoka. I dlatego wielu lekarzy po prostu milczy.

Dlaczego dr Paul McHugh to dla pana ważne nazwisko w tym kontekście?

Doktor McHugh jest jednym z tych lekarzy, którzy są gotowi, by głośno mówić prawdę. Doktor McHugh zdobył wykształcenie na Harvardzie, a następnie dostał pracę w Szpitalu Johna Hopkinsa w Baltimore i wykładał w tamtejszej Szkole Medycznej. Kiedy został szefem oddziału psychiatrii w Szpitalu Johna Hopkinsa, wówczas – chcąc być wiernym prawdziwej nauce – zdecydował się zamknąć tamtejszą klinikę „zmiany płci”.

Aktywiści LGBT przekonują nas, że podawanie hormonów i operacje „zmiany płci” to bezpieczne i jedyne sposoby, by trwale pomóc tym cierpiącym ludziom. Co o tym mówi prawdziwa nauka?

Największa na świecie baza danych na temat pacjentów, którzy przeszli procedury „zmiany płci”, pokazuje, że te operacje nie są korzystne dla zdrowia psychicznego. W październiku 2019 r. w piśmie naukowym „The American Journal of Psychiatry” ukazała się praca pt. „Zmniejszenie konieczności leczenia psychiatrycznego wśród osób transpłciowych po operacjach zmiany płci”. Jak wskazuje tytuł, praca ta miała udowadniać, że po operacji „zmiany płci” pacjent rzadziej potrzebuje pomocy psychiatrycznej.

A jak było w rzeczywistości?

Cóż, 10 miesięcy później redaktorzy tego pisma i autorzy artykułu opublikowali sprostowanie. Jak można w nim przeczytać: „Wyniki badania pokazały brak przewagi operacji w kontekście późniejszego leczenia zaburzeń”. Już pierwotne wyniki pokazywały, że „hormonalna tranzycja” nie przynosi korzyści. Ta część badania nie wymagała korekty. Ostatecznie największa baza danych na temat procedur „zmiany płci” (zarówno hormonalnych, jak i operacyjnych) pokazuje, że takie procedury nie przynoszą pacjentom obiecywanych korzyści z zakresu zdrowia psychicznego.

W sprostowaniu do artykułu autorzy przyznali też, że w kontekście leczenia zaburzeń lękowych pacjenci po operacjach „zmiany płci” mieli wręcz większe problemy niż ci, którzy takich operacji nie przeszli. Te ustalenia są zbieżne z prowadzonymi przez wiele dekad badaniami, które jasno pokazują, że procedury „zmiany płci” nie wpływają pozytywnie na życie pacjentów. Jedno z uznanych badań mówi wręcz, że dorośli, którzy przeszli takie procedury, są 19 razy bardziej narażeni na śmierć samobójczą niż reszta populacji.

eprasa.pl 9e340ad6ae

Kilka miesięcy temu magazyn reporterski „60 minut" na kanale CBS wyemitował materiał na temat nastolatków, którzy dokonali detranzycji. Reportaż spotkał się z bardzo ostrym atakiem ze strony aktywistów LGBT. Jak duży jest ten problem?

Nikt nie wie, jak często zdarzają się detranzycje, ponieważ nie dysponujemy badaniami nad tym fenomenem. Wiele osób, które dokonują tranzycji, a potem żałują tego, nie chce rozmawiać z badaczami, a co dopiero z mediami. Z kolei ci, którzy decydują się na takie publiczne wyznania, są atakowani przez aktywistów LGBT. Istnieje obawa, że im więcej nieletnich popychanych jest do dokonywania tranzycji, tym więcej dorosłych będzie dokonywało detranzycji. Ich historie rozdzierają serca. Wielu opowiada, jak duże mieli problemy w szkole średniej czy na studiach, by się „wpasować". Tymczasem „eksperci ds. płciowości" obiecywali im, że np. zastrzyki z testosteronu czy podwójna mastektomia przyniosą upragnione szczęście. Pięć czy dziesięć lat później, kiedy orientują się, że hormony czy operacje nie usunęły prawdziwych przyczyn ich cierpienia, zaczynają żałować tranzycji i starają się odzyskać swoje życie.

Jakie są najlepsze sposoby pomocy ludziom cierpiącym na dysforię płciową?

Najlepsze terapie koncentrują się na pomocy ludziom w akceptacji ich ciał. Zamiast próbować dokonać niemożliwego, czyli „zmienić" płeć, by zaczęła ona odpowiadać fałszywym myślom i uczuciom, powinniśmy starać się robić to, co jest możliwe: pomagać ludziom, by ich myśli i uczucia były skorelowane z rzeczywistością, przede wszystkim z rzeczywistością cielesną. W przypadku dzieci często nie wymaga to żadnej poważnej interwencji. Wystarczy dać im czas, by mogły dorosnąć i lepiej zrozumieć to wszystko, co oznacza być chłopcem lub dziewczynką, mężczyzną lub kobietą. Niektórzy lekarze porównują to do anoreksji u nastolatek. Żaden specjalista nie zaleciłby w takim przypadku liposukcji, ponieważ problemem nie jest ciało, lecz umysł. Zamiast tego dobry terapeuta próbowałby odkryć prawdziwą przyczynę anoreksji, wynikającą np. z wykrzywionej wizji własnego ciała, problemu kontroli, zaburzenia odżywiania, napaści seksualnej, oczekiwań społecznych etc. Dopiero po odkryciu prawdziwej przyczyny można spróbować ją wyeliminować.

Czy pańskim zdaniem ludzie po konserwatywnej/prawicowej stronie barykady generalnie dobrze rozumieją problemy, z jakimi zmagają się osoby cierpiące na dysforię płciową?

Przede wszystkim jest ogromna różnica między ludźmi, którzy zmagają się ze swoją tożsamością płciową, a aktywistami LGBT. Większość ludzi cierpiących na dysforię płciową nie zalicza się do grona aktywistów i wielu spośród nich odrzuca hasła aktywistów. Niemałą część z nich można wręcz uznać za ofiary aktywistów.

Wiele osób zmagających się ze swoją cielesnością rozumie, że tak naprawdę nie jest przeciwnej płci i nie chce dokonywać tranzycji. Ci ludzie chcą zamiast tego otrzymać fachową pomoc, by lepiej zaakceptować swoje cielesne „ja". Ta grupa osób generalnie nie uważa, by uczucia wywoływane przez dysforię płciową definiowały rzeczywistość.

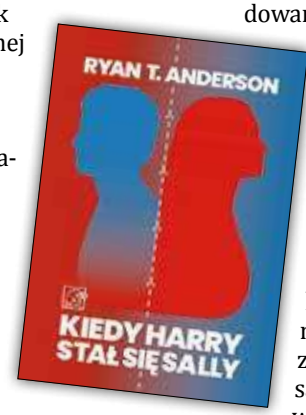

To jednak główne założenie aktywistów transpłciowych – jesteś tym, kim aktualnie się czujesz.

Tak. I ci ludzie nie tolerują sprzeciwu. Znamy nawet przypadki, gdy aktywiści biorą na celownik lekarzy, którzy co do zasady popierają „terapie" tranzycyjne dla dorosłych, ale nie wykazują takiego entuzjazmu w stosunku do „zmiany płci" u dzieci. Powinniśmy być tolerancyjni i musimy kierować się miłością w stosunku do ludzi, którzy zmagają się ze swoją tożsamością płciową, ale musimy być też świadomi zagrożeń dla naszego społeczeństwa, szczególnie w stosunku do dzieci, jeżeli transpłciowość zostanie uznana powszechnie za coś zupełnie normalnego.

Aktywiści transpłciowi domagają się nie tyko tolerancji i sympatii, lecz także afirmacji. Nietrudno wyobrazić sobie, że w kulturze, gdzie różne tożsamości transpłciowie są nie tylko przyjmowane za pewnik, lecz także wręcz celebrowane, każdy będzie zachęcany, by na nowo budował swoją tożsamość płciową w oderwaniu od tradycyjnego pojmowania różnic między płciami.

Wspomniał pan, że coraz więcej dzieci znajduje się na celowniku lobby transpłciowego. Jak bardzo powinno to nas wszystkich martwić i czy widać, by w USA rodzice na poważnie sprzeciwiali się ludziom, którzy chcą tak brutalnie mieszać dzieciom w głowach?

To bardzo poważne zagrożenie, ale na szczęście coraz więcej rodziców zaczyna dostrzegać ten problem. Rodzice muszą dokładnie zaznajomić się z tym, co aktywiści promują w szkołach, co można usłyszeć o tym w mediach lub w Internecie. Wirtualny świat nastolatków, szczególnie media społecznościowe, pełen jest treści i obrazów promujących tożsamość „trans" i „różnorodność płciową" jako coś normalnego i zdrowego. Musimy zdawać sobie sprawę, że dzieci są tym bombardowane z wielu kierunków. To nie może nie mieć wpływu na to, jak postrzegają swoje ciała.

Poza tym rodzice muszą zrozumieć, że przekaz LGBT zalewa nasze szkoły. Nie tylko, jeżeli chodzi o program nauczania, lecz także szeroko rozumianą kulturę szkolną. A niestety nie da się wypisać dziecka z kultury szkolnej na takiej samej zasadzie, jak można je wypisać np. z kontrowersyjnych zajęć dodatkowych.

Co więcej, potrzeba nam prawa, które będzie zakazywało dorosłym ingerowania w naturalny rozwój dzieci. Tak jak wspominałem wcześniej, procedury transpłciowe to gwałt na etyce medycznej.

Pańska książka spotkała się w USA z falą cenzury, m.in. Amazon czasowo ją zablokował. To jednak, jak zawsze w takich przypadkach, odniosło skutek przeciwny do zamierzonego i pomogło w promocji książki. Jaką lekcję wyciągnął pan z tej historii?

Uciszanie, obrzucanie błotem i cenzurowanie to ze strony lewicy przejaw słabości, a nie potęgi. Oczywiście lewica dysponuje potężnymi narzędziami i ma olbrzymie wpływy, ale jednak ci aktywiści doskonale wiedzą, że ich ideologia ma tyle dziur, iż bardzo łatwo to obnażyć. Dlatego starają się zakrzyczeć prawdę.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

***Ryan T. Anderson** – jest amerykańskim filozofem, konserwatywnym publicystą, szefem waszyngtońskiego think tanku Ethics and Public Policy Center. W Polsce ukazała się właśnie jego najnowsza książka pt. „Kiedy Harry stał się Sally. Przemyślenia w czasach transpłciowości" (wyd. WEI).*

eprasa.pl 9e340ad6ae

FOT. ADOBESTOCK

WIĘCEJ CO_2 DLA KLIMATU

Przywódcy wielu państw i biznesmeni przybyli w ubiegłym tygodniu do Glasgow na COP26, czyli szczyt klimatyczny. Radzili tam, jak uratować Ziemię. Tak bardzo chcieli ocalić klimat, że przylatywali swoimi prywatnymi odrzutowcami. Było ich tak wiele, że niektóre od razu musiały odlatywać, bo na lotnisku nie mieściły się już kolejne. Jednym z tych, którzy przylecieli tym wysokoemisyjnym środkiem transportu, był Jeff Bezos, który wciąż poucza świat i ostrzega przed klimatyczną zagładą.

WYNOCHA Z INTENSYWNEJ TERAPII

Burmistrz austriackiego Mödling, Hans Stefan Hintner, zdenerwował się na audycję w państwowej telewizji ORF, w której prezentowano m.in. poglądy przeciwników szczepień i teorie spiskowe dotyczące koronawirusa. Tak go to zbulwersowało, że napisał na swoim Facebooku: „Niezaszczepieni – wynocha z intensywnej terapii". Zasugerował, że życia niezaszczepionych chorych nie należy ratować.

POMPKI I HOLOKAUST

W Niemczech skandal. Tym razem w Berlinie. W Zielone Świątki policja pilnowała pomnika Pomordowanych Żydów Europy, bo niedaleko odbywała się antyrządowa demonstracja. Funkcjonariuszom się nudziło, więc dwóch z nich postanowiło wykorzystać ten czas na rozwój osobisty. A dokładniej – rozwój fizyczny. Na pomniku ofiar Holokaustu ćwiczyli sobie pompki. Rzecznik policji zapowiedziała, że sfotografowanych przez świadków policjantów czekają rozmowy oraz „konsekwencje służbowe".

POCIĄG GO ZABIŁ, MATKA OBCIĄŻONA

W 2019 r. na niestrzeżonym przejeździe kolejowym podmoskiewskiej stacji Powarowo uczeń przechodzący przez tory nie zauważył pociągu i zginął potrącony przez lokomotywę. Firma ubezpieczeniowa zajmująca się kolejami wysłała niedawno matce zabitego chłopca wezwanie do zapłaty 400 tys. rubli. Bo pociąg został w wypadku uszkodzony. Kobieta zapłaciła, ale w sądzie będzie walczyć o zwrot tej kwoty.

RUMUŃSKI ATAK GRZYBIARZY

Nie tylko Podkarpacie zmaga się z zagraniczną grzybową mafią. Problem mają też Hiszpanie. W górskich lasach tego kraju grasują zorganizowane grupy, które zbierają grzyby. To głównie Rumuni. Zebrane runo wywożą za granicę – do Francji i Niemiec. Tymczasem w Hiszpanii trzeba zdobyć pozwolenie na zbieranie grzybów. Zezwolenie rekreacyjne (do 5 kg) kosztuje 3–5 euro dziennie od osoby zamieszkującej konkretny region. Osoby spoza tego miejsca płacić muszą 10 euro dziennie. ©℗

Łukasz Zboralski

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Sroga porażka Bidena

Lewicowy prezydent USA – nie bez powodu nazywany „śpiącym Joe" – może wkrótce przysypiać częściej i na jeszcze ważniejszych wydarzeniach. Jest bowiem prawdopodobne, że po wyborach w Wirginii zaczną dręczyć go koszmary. Mimo usilnych starań lewicy krzewiącej socjalistyczno-tęczowe ideały wyborcy tego 8,5-milionowego stanu zagłosowali przeciw faworytowi z Partii Demokratycznej. Nowym gubernatorem stanu Wirginia, w którym rok temu demokraci prowadzili jeszcze 10 punktami procentowymi, został niespodziewanie republikanin Glenn Youngkin.

To ważna wiadomość. Ostatni raz kandydat Partii Republikańskiej wybory w tym stanie wygrał w roku 2009 i była to zapowiedź solidnego lania, które dostali demokraci w 2010 r. w wyborach do Kongresu. Po drugie demokratę Terry'ego McAuliffe'a – nazywającego przeciwnika „akolitą Trumpa" – ograł konkurent o wiele mniej doświadczony. Po trzecie wreszcie, Youngkin wygrał, bo zapowiadał m.in. ochronę praw rodziców do decydowania o treściach nauczanych w szkołach i wzmocnienie policji.

Spadek poparcia dla Bidena widać też w ogólnokrajowych sondażach. Kiepska ocena fatalnych rządów może cieszyć, bo daje nadzieję na wygraną republikanów w przyszłorocznych wyborach do Kongresu. Trzeba jednak pamiętać, że na razie to „śpiący Joe" z kolegami odpowiada m.in. za relacje Waszyngtonu z Moskwą, a także decyduje o tym, gdzie na wschodniej flance NATO rozlokowane są wojska USA. Borykającego się z własnymi problemami prezydenta Bidena łatwiej może być też namówić do nałożenia sankcji na Polskę czy Węgry za „erozję demokracji". Od niego zależy też czas reakcji Ameryki, gdyby białorusko-rosyjskie prowokacje na granicy z Polską wymknęły się spod kontroli. ©℗

eprasa.pl 9e340ad6ae

TEST „DO RZECZY": SMARTFON MOTOROLA EDGE 20 PRO

Wysoka częstotliwość odświeżania wyświetlacza, wysoka wydajność, ciekawy zestaw aparatów fotograficznych, obsługa 5G oraz bateria, która bez trudu wytrzymuje dwa dni pracy na jednym ładowaniu – to największe zalety najmocniejszego modelu z nowej serii smartfonów marki należącej do Lenovo.

Motorola Edge 20 Pro to próba ataku producenta na klasę premium, zdominowaną przez takich gigantów jak Samsung czy Apple.

Ważący 190 g, świetnie wykonany smartfon wyposażony został w wyświetlacz typu OLED o przekątnej 6,7 cala, rozdzielczości Full HD+ oraz bardzo wysokiej częstotliwości odświeżania wynoszącej aż 144 Hz. Ekran to zdecydowanie najmocniejszy punkt modelu Edge 20 Pro.

Za wysoką wydajność odpowiada jeden z najmocniejszych procesorów na rynku, czyli Qualcomm Snapdragon 870 5G wspomagany przez 12 GB pamięci RAM. W połączeniu z Androidem 11 bez wielu zbędnych dodatków systemowych wszystko śmiga tak jak trzeba. Wysoka wydajność sprawia, że Edge 20 Pro sprawdzi się nie tylko jako smartfon dla biznesmena, lecz także dla zapalonych smartfonowych graczy.

Po stronie zalet testowanego modelu wpisać trzeba też niezły zestaw trzech aparatów fotograficznych, z czego główny ma rozdzielczość aż 108 MP. W zestawie znajduje się też obiektyw peryskopowy z możliwością aż pięciokrotnego przybliżenia optycznego oraz obiektyw ultraszerokokątny o rozdzielczości 16 MP. Testowany model umożliwia również kręcenie filmów w rozdzielczości nawet 8K.

W odpowiednich warunkach oświetleniowych Motorola Edge 20 Pro pozwala robić dobre zdjęcia. Po zapadnięciu zmroku jakość fotografii jest już gorsza, ale poziom szumów jest jeszcze akceptowalny. Przeciętnemu użytkownikowi w tym modelu mocno brakować będzie jednak optycznej stabilizacji głównego aparatu. Konkurenci w tej półce cenowej oferują wyraźnie większe możliwości.

Bardzo ważną zaletą Motoroli jest za to wytrzymała bateria o pojemności 4500 mAh wraz z ładowarką 30 W, która pozwala na doładowanie smartfona do poziomu 60 proc. w 20 minut. Tak pojemny akumulator sprawia, że na jednym ładowaniu urządzenie może bez trudu wytrzymać cały dzień intensywnego użytkowania z włączoną siecią 5G i częstotliwością odświeżania ekranu 144 Hz. Ci, którzy zrezygnują z 5G i zmniejszą odświeżanie wyświetlacza, ładowarki będą musieli szukać raz na dwa, trzy dni.

Bardzo dobrze sprawdza się również umieszczony z boku telefonu szybki skaner linii papilarnych. Fajnie też, że model Edge 20 Pro w zestawie ma również kabel USB-C/HDMI, który ułatwia przewodowe podłączenie smartfona do telewizora czy monitora komputera.

Wady? Największym minusem jest brak głośników stereo. Co prawda, rzadko muzyki słucha się ze smartfonowych głośniczków, ale jednak urządzenie z przeciętnej jakości głośnikiem mono trudno uznać za pełnoprawnego reprezentanta klasy premium. Zwłaszcza że smartfon pozbawiony jest również klasycznego wyjścia słuchawkowego. Osobom, które nie chcą pamiętać o kablach i ładowarkach, mocno brakować może również możliwości bezprzewodowego ładowania. Trzeci minus to brak miejsca na kartę microSD – na szczęście urządzenie ma wbudowane 256 GB pamięci, ale dobra karta mogłaby tę pojemność co najmniej podwoić.

Mimo tych wad przy poszukiwaniu nowego smartfona można rozważyć zakup testowanego modelu. Nie jest może rewelacyjny, ale ma sporo plusów i w wielu aspektach może już aspirować do walki z flagowcami największych marek na rynku. Cena: 3299 zł. ©℗

Jacek Przybylski

LATAJĄCY MOTOCYKL

XTurismo Limited Edition. Tak nazywa się tzw. hoverbike, czyli latający motocykl wyprodukowany przez japoński start-up A.L.I. Technologies. Pojazd przypominający skuter wodny ze czterema śmigłami porusza się z prędkością do 100 km/h. Hoverbike wyposażony jest w silnik konwencjonalny oraz cztery jednostki zasilane akumulatorami. Na jednym ładowaniu XTurismo Limited Edition może utrzymywać się w powietrzu przez ok. 40 minut. Waży 300 kg i może być prowadzony przez człowieka o wadze do 100 kg. Firma 26 października rozpoczęła przyjmowanie zamówień. Pierwsze egzemplarze mają trafić do klientów w pierwszej połowie przyszłego roku. Cena: 2,7 mln zł.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

MASKA NIE TYLKO DLA GRACZY

Wygląda na to, że maseczki jeszcze trochę z nami zostaną. Znana z produkcji sprzętów dla graczy firma Razer uruchomiła już sprzedaż modelu Zephyr – a więc nowocześnie wyglądającej maski z filtrami N95, które filtrują zarówno wydychane, jak i wdychane przez użytkownika powietrze. Prędkość wiatraczków jest regulowana – podczas aktywności fizycznych można więc zwiększyć tempo ich pracy z 4,2 tys. do 6,2 tys. obrotów na minutę. Maska jest wyposażona w podświetlenie RGB. Ma także przezroczystą część przy ustach, co ułatwia komunikowanie się ze światem zewnętrznym. Cena nowocześnie wyglądającej maseczki wynosi 99,99 dol. (ok. 400 zł). Za opakowanie wymiennych filtrów trzeba zapłacić dodatkowo ok. 120 zł. Gadżet błyskawicznie został wyprzedany. Producent zapewnia jednak, że nowe egzemplarze będą „dostępne wkrótce". ©℗

Jacek Przybylski

eprasa.pl 9e340ad6ae

Ze Sławomirem Mentzenem, doradcą podatkowym, politykiem Konfederacji
rozmawia Jakub Wozinski

PiS realizuje program Partii Razem

JAKUB WOZINSKI: Czy jako właściciel kancelarii podatkowej jest pan zadowolony z tego, że już niedługo wprowadzone zostaną zmiany podatkowe w ramach Polskiego Ładu?

SŁAWOMIR MENTZEN: Myślę, że ostatnie miesiące w każdej firmie doradczej zajmującej się podatkami były rekordowe pod względem przychodów. Zmiany podatkowe są oczywiście co roku, tylko że do tej pory dotyczyły poszczególnych branż lub form prowadzenia działalności gospodarczej. A teraz podatki zostaną zmienione właściwie dla wszystkich firm. Oznacza to, że praktycznie każda firma w Polsce, jeżeli nie wykona jakiegoś ruchu, nie przekształci się lub nie zmieni formy opodatkowania, zapłaci od nowego roku wyższe podatki. A zatem przedsiębiorcy zostali wręcz zmuszeni przez rząd do tego, aby skorzystać z pomocy doradców podatkowych w tym właśnie okresie.

Twierdzi pan, że na zmianach podatkowych zyskają głównie biedni, emeryci, ale też najbogatsi.

Zawsze jest tak, że ludzie zarabiający więcej i dysponujący większym majątkiem mają zupełnie inne możliwości optymalizacji podatkowej. Ktoś, kto pracuje na etacie, ma umowę o pracę i zarabia kilkanaście tysięcy złotych, ewidentnie na tych zmianach straci. Najmniejszy przedsiębiorca zarabiający kilka tysięcy złotych miesięcznie prawdopodobnie również straci. Ale jeżeli już ktoś zarabia chociaż kilkanaście, kilkadziesiąt tysięcy złotych miesięcznie albo nawet więcej, prowadząc własną działalność gospodarczą i był do tej pory na podatku liniowym, która to forma opodatkowania będzie teraz najgorszą możliwą do prowadzenia działalności gospodarczej w Polsce, to opłaca mu się teraz założyć np. spółkę komandytową, spółkę komandytowo-akcyjną czy też spółkę z o.o. na CIT estońskim. Wówczas opodatkowanie nie tylko nie wzrośnie, lecz także nawet w wielu przypadkach spadnie. Komplementariusze spółki komandytowo-akcyjnej nie płacą ZUS, nie płacą składki zdrowotnej, nawet daniny solidarnościowej nie płacą. Jeżeli ktoś przejdzie z jednoosobowej działalności gospodarczej na spółkę komandytowo-akcyjną, to będzie płacił niższe podatki niż obecnie.

Czyli jednak kłóci się to nieco ze stawianą często przez pana tezą, że PiS ma identyczny program jak Partia Razem, gdyż według Razem najlepiej zarabiający powinni płacić najwyższe podatki.

Nie ma pan racji, PiS realizuje program Partii Razem. Przyjrzałem się propozycjom Partii Razem i gdyby je przyjąć, te luki, dzięki którym w ramach Polskiego Ładu najlepiej zarabiający będą płacili niższe podatki, zostałyby utrzymane dalej.

Dlaczego forsuje się tego typu rozwiązania?

Jest zupełnie oczywiste, że ani posłowie, ani senatorowie nie mają zielonego pojęcia, nad czym dokładnie głosują. Polski Ład to jest kilkaset stron zmian w ustawach podatkowych, które są na dodatek pisane zupełnie niezrozumiałym językiem dla każdego, kto nie zajmuje się zawodowo podatkami. W związku z czym z poziomu politycznego jest to czynione absolutnie nieświadomie. Natomiast tu pojawia się pytanie, dlaczego tego typu propozycje w ogóle płyną z Ministerstwa Finansów. Ostatnio doszedłem do wniosku, że w resorcie tym musi działać jakaś reakcja antybolszewicka i ktoś zaczął wrzucać do tych przepisów te właśnie luki, dzięki którym można rzeczywiście zapłacić niższe podatki, jeśli się wie, jak z tych luk skorzystać.

Jak więc tłumaczyć tę rozbieżność pomiędzy deklarowanymi celami Polskiego Ładu a jego faktyczną zawartością? Czy to możliwe, że Ministerstwo Finansów przygotowuje zmiany w taki sposób, że cała reszta rządu nawet nie zdaje sobie sprawy z tego, jaki one przyjmują dokładny kształt?

Tak, z całą pewnością nikt poza Ministerstwem Finansów i branżą doradczą nie rozumie zmian, które wchodzą w życie. Przy czym sądzę, że nawet w Ministerstwie Finansów nikt samodzielnie nie rozumie całości tych zmian. Poszczególne propozycje przygotowywane są zapewne w osobnych departamentach i wszystko zbierane jest potem w jedną całość. Są tam ludzie, których intencją jest podnoszenie podatków dla przedsiębiorców, ale są też ludzie, których intencją jest, żeby jakieś luki jednak pozostały. Czy ich praca jest wynikiem kontaktów z jakimiś lobbystami czy wyrazem przekonania, że tak właśnie powinno być, tego oczywiście nie wiem, pracownicy MF mi się nie zwierzają. Ale zupełnie oczywiste jest to, że w „Wiadomościach" TVP można pokazać tabelki ukazujące, że najlepiej zarabiający przedsiębiorcy będą płacić więcej – co oczywiście jest prawdą, ale pod warunkiem że nie zmienią oni formy opodatkowania.

Porównajmy: mamy przedsiębiorcę na podatku liniowym, więc na nowych zasadach płaci on 19 proc. podatku PIT, do tego 4,9 proc. składki zdrowotnej, powyżej 1 mln zł dochodu 4 proc. daniny solidarnościowej – to już jest 28 proc. – plus 1000 zł ZUS miesięcznie i jeszcze musi ponosić pełną odpowiedzialność majątkową za prowadzoną działalność. Jeśli ktoś założy natomiast spółkę z o.o. i przejdzie z nią na ten nowy CIT estoński, to nie ma odpowiedzialności, nie ma ZUS, nie ma składki zdrowotnej, nie ma daniny solidarnościowej, a całość dochodu wyjmuje z tej spółki, wypłacając dywidendę przy łącznym opodatkowaniu 20 proc. Więc ta spółka z o.o. znacznie lepiej zabezpiecza interesy prowadzącego firmę niż jednoosobowa działalność gospodarcza. Są to więc proste metody pozwalające płacić im znacznie niższe podatki niż te, które dotąd płacili.

Jak wiele jest tego rodzaju luk?

Tego typu rozwiązań, które pozwalają płacić niższe podatki niż w roku obecnym, naliczyliśmy całkiem sporo. Z drugiej strony trzeba powiedzieć, że w Polskim Ładzie jest też sporo przepisów problematycznych, które będą strasznie utrudniać życie przedsiębiorcom. Moje założenie jest takie, że autorami tych

eprasa.pl 9e340ad6ae

przepisów są zupełnie różni ludzie i jedni chcą rzeczywiście, żeby były możliwości płacenia niższych podatków, a inni wręcz przeciwnie. Przy czym te przepisy, które faktycznie utrudniają prowadzenie działalności czy też prowadzą do zwiększenia opodatkowania, nie dotyczą wcale składki zdrowotnej, która tak naprawdę jest tylko dla chętnych. Zdecydowanie gorsze są przepisy dotyczące podatku minimalnego, dochodów przerzucanych, zakazu amortyzacji lokali mieszkalnych. Pomijając te wątpliwe przypadki, gdy ktoś jest zmuszony do prowadzenia jednoosobowej działalności gospodarczej, to cała reszta przedsiębiorców może się zwyczajnie przekształcić i składki zdrowotnej w ogóle nie płacić. Składka zdrowotna jest najbardziej medialnym i najgłośniejszym elementem Polskiego Ładu, ale prawdziwe problemy są ukryte w innych, mniej znanych przepisach.

Prezes PiS stwierdził, że na zmianach podatkowych „stracą jedynie ci, którzy żyją z cwaniactwa". Jak można się domyślać, chodziło mu zapewne o dobrze zarabiających menedżerów i specjalistów, którzy są zarejestrowani jako jednoosobowe działalności gospodarcze. Ale nie trzeba być ekspertem podatkowym, żeby zauważyć, że te zmiany uderzą w wiele innych grup niż tylko menedżerowie.

W tej wypowiedzi wybrzmiewa przede wszystkim tradycyjna pogarda Jarosława Kaczyńskiego dla przedsiębiorców i dla osób zaradnych, które potrafią wygenerować znaczny dochód. Z tych słów bije też ignorancja, ponieważ ci wszyscy menedżerowie przejdą po prostu na ryczałt i bardzo często będą płacić niższe podatki niż w tym roku. Doradcy podatkowi wymyślili już mnóstwo rozwiązań dla menedżerów i dla najwyżej opłacanych pracowników. Pasuje tu cytat z Lamparta Giuseppe di Lampedusy: „Wiele się musi zmienić, żeby wszystko zostało po staremu". I tutaj mamy podobnie: mnóstwo firm zmieni formę opodatkowania i formę prawną, wydadzą na to sporo pieniędzy, a na koniec i tak będą płacić takie same podatki jak teraz albo i niższe.

Polski Ład to także podatek przychodowy, który ma być wymierzony w wielkie firmy. Kto realnie go zapłaci?

Rzeczywiście jest to zabawna sprawa, bo okazało się, że zapłacą go głównie spółki Skarbu Państwa. Stąd zaczęto dodawać szybko poprawki wyłączające zdominowane przez państwo branże. Sądzę, że wielkie korporacje go zapłacą, bo jest tak skonstruowany, że trudno go uniknąć. W przekazie medialnym jest to podatek od korporacji, jeśli jednak spojrzymy w przepisy, to okazuje się, że dotyczy on wszystkich spółek. Polski przedsiębiorca może mieć spółkę o bardzo niskich przychodach, ale również zapłaci ten podatek minimalny, więc jest to zbędne ograniczenie, które spowoduje mnóstwo pracy u wszystkich spółek kapitałowych w Polsce. Będą one musiały sprawdzać, czy łapią się na tę relację dochodów do przychodów, która sprawia, że będą musiały odprowadzać ten podatek, ale nie ma tam żadnego minimalnego poziomu przychodów. Podatek od korporacji nie jest więc podatkiem od korporacji, ale od wszystkich spółek, małych i dużych.

A co realnie zmienia ulga dla klasy średniej?

Jest to taki wytrych, który rzeczywiście zmniejsza tą progresję podatkową i rzeczywiście dzięki niemu osoby o dochodach od 66 do 130 tys. zł rocznie realnie mniej odczują zwiększenie składki zdrowotnej. Pozwoli to tym osobom zapłacić mniejszy podatek niż pierwotnie zakładano.

Czyli powinien pan uzupełnić listę beneficjentów i do biednych, emerytów i najbogatszych dodać jeszcze klasę średnią.

Tak definiowana klasa średnia nie tyle nie zyska, ile nie straci. Ta ulga ma rekompensować wzrost składki zdrowotnej.

Polski Ład zdaniem jego twórców zada śmierć polskiemu neoliberalizmowi. Mieliśmy dotąd neoliberalizm?

W przekazie publicznym rzeczywiście jest to pierwsza próba zmiany myślenia o podatkach. Do tej pory starano się raczej robić tak, żeby to opodatkowanie nie było zbyt wysokie. Przy czym jest to nieudana próba uderzenia w neoliberalizm, bo opodatkowanie dla osób, które coś ze swoimi firmami zrobią, realnie nie wzrośnie. Natomiast tak, pierwszy raz rząd zaczął się chwalić tym, że podnosi podatki. Rząd SLD obniżał podatki, potem PiS także. Platforma przynajmniej dużo nie podwyższała. Wcześniej podwyżka podatków była czymś negatywnym; teraz w przekazie medialnym rząd chwali się, że podnosi podatki, i uważa to za coś dobrego.

Z pana wypowiedzi można wywnioskować, że po wprowadzeniu zmian podatkowych zapanuje chaos i wiele rzeczy trzeba będzie pospiesznie zmieniać.

Zdecydowanie tak. Część przepisów jest zwyczajnie niekonstytucyjna, jak choćby zakaz amortyzowania lokali mieszkalnych. Część przepisów jest nieprecyzyjna, jak choćby w przypadku stawek CIT estońskiego. Mamy pospiesznie wprowadzane setki stron zmian przepisów prawa podatkowego bez większej refleksji czy też konsultacji społecznych. Wszystko jest głosowane dwa miesiące przed wejściem przepisów w życie. Daje to bardzo mało czasu firmom tworzącym oprogramowanie dla księgowości. Na pewno czeka nas bardzo dużo bałaganu.

Czym można tłumaczyć tak duży pośpiech przy wprowadzanych właśnie zmianach?

Mnie to w ogóle nie zaskakuje, bo w Polsce wygląda to tak od lat. Na Zachodzie tego typu zmiany są anonsowane z wieloletnim wyprzedzeniem, a w Polsce od lat propozycje zmian przepisów prawa podatkowego publikowane są jesienią, nawet w listopadzie. To, że w tym roku Sejm przegłosował wszystko w październiku, to i tak jest szybko. Wynika to niestety z tego, że kolejne polskie rządy traktują przedsiębiorców jako swoich przeciwników i próbują wykorzystać element zaskoczenia tak, żeby przedsiębiorcy nie zdołali się przygotować i zreorganizować swoich biznesów.

Za co mimo wszystko pochwaliłby pan Polski Ład?

Za podwyższenie kwoty wolnej od podatku, stworzenie przepisów dla spółek holdingowych, za CIT estoński.

Chwali pan CIT estoński, który spotkał się ze znikomym zainteresowaniem?

Małym zainteresowaniem cieszy się jego pierwsza wersja, która funkcjonuje od stycznia obecnego roku, ale w ramach Polskiego Ładu obniżana jest stawka tego podatku, a ponadto jest on znacznie upraszczany. Likwidowana jest większość obostrzeń oraz większość kryteriów możliwości wejścia na CIT estoński, tak więc jest to zmiana korzystna i od tego roku sądzę, że liczba zainteresowanych tą formą opodatkowania znacząco wzrośnie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

***Sławomir Mentzen** – prezes Kongresu Polskiego Biznesu, wiceprezes KORWiN, członek Rady Liderów Konfederacji, doradca podatkowy, ekonomista.*

eprasa.pl 9e340ad6ae

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Polski Nieład (Podatkowy)

W sporządzanej przez amerykański think tank Tax Foundation kolejnej edycji rankingu najlepszych systemów podatkowych – spośród 37 przebadanych państw OECD – Polska w tym roku spadła na drugie od końca, czyli przedostatnie, 36. miejsce; spadła z miejsca trzeciego od końca (przed zmianą metodologii), które zajęła rok wcześniej. Spadła głównie za sprawą niesłychanie skomplikowanych – i do tego coraz bardziej komplikowanych – systemów podatkowych PIT, CIT i VAT, w tym ogromnej liczby ulg, wyjątków i luk.

Wynika z tego jasno, że Polska może spaść w tym rankingu – „prześcigając" najgorsze Włochy – już tylko o jedną pozycję i wylądować na ostatniej – 37. I tak właśnie stanie się już w przyszłym roku, gdy wejdzie w życie Polski Ład. Albowiem Polski Ład, oprócz wielu kontrowersyjnych rozwiązań, które ze sobą niesie, wniesie do polskiego systemu podatkowego tyle nowych ulg i wyjątków, tyle opisujących je skomplikowanych algorytmów, czyli „łat" – innymi słowy – tyle dodatkowego bałaganu, że będzie on od tej pory zasługiwał już tylko na jedno miano: Polskiego Nieładu Podatkowego.

Ale to oczywiście rządu nie martwi, a jeśli martwi, to bardzo się on stara, żeby nie dać tego po sobie poznać. W końcu, gdyby rząd to martwiło, czy na chybcika, „na kolanie", dorzynałby polski system podatkowy, skoro naprawdę nie było żadnego przymusu – poza, rzecz jasna, kalendarzem wyborczym – żeby teraz, nagle, w pośpiechu, tak bardzo gmatwać to, co już i bez tego niesłychanie zagmatwane (36. miejsce Polski w rankingu!)? No przecież nie.

Gdyby więc polski rząd się tym choć odrobinę przejmował, dałby sobie więcej czasu, choć – z drugiej strony – czyż nie miał go dostatecznie dużo? Przecież PiS rządzi już od sześciu lat. A zatem, gdyby rząd choć odrobinę się tym przejmował – jeśli w tej sprawie przespał ostatnie sześć lat – dałby sobie teraz więcej czasu i zaproponował nowy, prosty system podatkowy, który pozwoliłby Polakom i Polsce ruszyć w górę tej stawki 37 państw OECD; w górę – w stronę Estonii, która od lat plasuje się na zaszczytnym, pierwszym miejscu tej listy. W stronę Estonii, która jest nam z jednej strony tak bliska geograficznie – dzielą nas od niej przecież tylko Litwa i Łotwa, a z drugiej – tak odległa pod względem szacunku ze strony rządu dla obywateli; szacunku, który wyraża się właśnie jakością, a więc przejrzystością, „łatwością" systemu podatkowego – w tym przypadku Polskę od Estonii dzieli po prostu przepaść, bo aż 35 państw – niemal wszystkie, z wyjątkiem Włoch, spośród badanych na potrzeby rankingu państw OECD.

No, chyba że polski rząd takiego systemu skonstruować nie potrafi albo – z jakichś (ciekawe, jakich?) – powodów nie chce. ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Eldorado mega-cwaniaków

Czy wiedzą Państwo, jaką część zarejestrowanych w Polsce firm stanowią mikroprzedsiębiorstwa (do 10 pracowników)? To 97 proc. według liczby podmiotów. Duże firmy zaś to 0,2 proc. Spośród przedsiębiorców korzystających z podatku liniowego (którą to prostą formę opodatkowania zniszczy w dużej mierze Polski Ład) podatek wykazuje 83 proc. Spośród firm rozliczających się CIT (większych) – 41 proc.

Polskie państwo daje przywileje największym. Jednocześnie przyduszani są rodzimi przedsiębiorcy

Czy wiedzą Państwo, jaki podatek CIT w ciągu ostatnich pięciu lat zapłacił będący zagraniczną własnością gigant telefonii komórkowej T-Mobile Polska? Uwaga, proszę się trzymać, a najlepiej usiąść: 30 801 zł. Słownie: trzydzieści tysięcy osiemset jeden złotych. To 0,0001 proc. osiągniętego przychodu (43 mld zł).

To jedynie kilka liczb z najnowszego raportu Związku Przedsiębiorców i Pracodawców „Księga wstydu Ministerstwa Finansów – dyskryminacja podatkowa polskich firm". Każdemu, kto jest jako tako zorientowany w gospodarczych realiach i jednocześnie rozumie, jak potężnie śrubę podatkową przykręci małym firmom Polski Ład, radzę czytać ten raport po kawałku, bo jednorazowa dawka całości może przyprawić o apopleksję. Obraz wyłania się z tego zatrważający: polskie państwo daje przywileje największym, nie tylko w postaci korzystnego dla nich systemu podatkowego, lecz także w postaci pomocy publicznej, z której zgarniają najwięcej. Większość to zagraniczni gracze: koncerny telekomunikacyjne, samochodowe, sieci marketów. Jednocześnie przyduszani są rodzimi przedsiębiorcy, którym dodatkowo funduje się teraz prawdziwy koszmar w postaci nowej ustawy podatkowej, opracowanej w pośpiechu, pełnej błędów i przepychanej mimo płynących z wielu stron apeli o to, aby przynajmniej opóźnić jej wejście w życie. Tego po prostu nie da się usprawiedliwić.

„Dla małych rodzimych firm Polski Ład oznacza jedynie większe obciążenia podatkowe wraz z dalszą komplikacją systemu podatkowego" – konkluduje raport ZPP. Ale może, by sięgnąć po określenie użyte przez Jarosława Kaczyńskiego, to po prostu cwaniacy i nie warto ich hołubić? Ale kim są w takim razie ludzie kierujący gigantami? ©℗

eprasa.pl 9e340ad6ae

I to jest Plan!

Piotr Hofman

Wciąż trwa w Polsce dyskusja na temat tego, czy, kiedy i ile środków dostaniemy z Unii Europejskiej w ramach Funduszu Odbudowy. Co jakiś czas pojawiają się nowe terminy dotyczące „odmrożenia" pieniędzy, których wypłata jest z premedytacją wstrzymywana przez Komisję Europejską. Z premedytacją i bez podstawy prawnej. Zgodnie bowiem z unijnymi regulacjami polski Krajowy Plan Odbudowy powinien zostać zatwierdzony już na początku sierpnia. Mijają zatem trzy miesiące od momentu, kiedy zgodnie z prawem powinny zapaść decyzje co do jego akceptacji. Mamy zatem do czynienia z sytuacją jawnego łamania reguł przez podmiot, który szczyci się tym, że stoi na straży ich przestrzegania. Wiele wskazuje na to, że zapowiadane miliardy trafią do Polski nieprędko, o ile w ogóle zostaną nam one przekazane w całej deklarowanej wcześniej sumie. Decydenci w Brukseli z pełną determinacją wykorzystują każdy pretekst, aby robić rządzącym w Warszawie na złość. Jeśli więc dostaniemy po tych wszystkich przebojach jakieś pieniądze, to może się okazać, że następne transze już do Polski nie popłyną, jeżeli nie spełnimy kolejnych żądań unijnych komisarzy. Ten żałosny spektakl trwać może jeszcze wiele miesięcy.

I to może być dobra okazja, aby zwrócić uwagę opinii publicznej w naszym kraju, że dobrobytu nie buduje się, czekając na dotacje. Przez wiele lat urobiono w polskim społeczeństwie przekonanie o tym, ile to zawdzięczamy Unii Europejskiej, jak bardzo jesteśmy zależni od tej organizacji i jakie dobrodziejstwa wiążą się w z tym, że możemy do niej należeć. Fakt, integracja europejska to idea zacna i warta poparcia. W tej formule, która została opracowana w latach 50. XX w. i która działała przez kolejnych kilka dekad, naprawdę warto ją wspierać. Ogólnie rzecz ujmując, to, że grupa państw jest gotowa współpracować, aby realizować wspólny interes, trzeba docenić. Nie można jednak stracić przy tej okazji z oczu tego, że źródłem dobrobytu społecznego jest uczciwa praca i przedsiębiorczość. Trzeba zatem dołożyć starań, aby ludzie mogli się w tych obszarach realizować. Do tego zaś potrzebne jest sprawnie działające państwo, a także stabilne i przejrzyste prawo. W takim państwie można czuć się bezpiecznie i można – a nawet trzeba – je wspierać jako jego odpowiedzialny obywatel.

Fakty są jednak takie, że pod tym względem nie jest u nas najlepiej. Kolejna edycja rankingu International Tax Competitiveness Index przygotowywanego przez amerykańską Tax Foundation pokazała, ile jeszcze w Polsce jest do zrobienia w tym obszarze. Nasz system podatkowy, zgodnie z tym notowaniem, jest niemal najgorszy wśród krajów zrzeszonych w OECD. Zajmujemy 36. miejsce na 37 państw. Jesteśmy w ogonie kolejny rok z rzędu. I to powinien być temat do dyskusji. Coś w końcu trzeba bowiem zrobić, aby to zmienić. Jeśli polskie przepisy podatkowe i – szerzej – gospodarcze i administracyjne będą w dalszym ciągu tak niejasne i niesprawne, to mamy jak w banku to, że utkniemy w pułapce średniego rozwoju. Jest ona realnym zagrożeniem dlatego, że od dawna nie rozwiązano kluczowych problemów, z którymi muszą się zmagać polscy przedsiębiorcy. Nie napiszę nic nowego, ale trzeba to ciągle powtarzać: proste i stabilne prawo, sprawna administracja i sądy – to są prawdziwe filary wzrostu gospodarczego. Środki z Unii mogą pomóc, ale nawet jeśli ich nie będzie, to damy sobie radę. Nie poradzimy sobie natomiast bez systemowych i gruntownych zmian upraszczających przepisy i usprawniających sądownictwo i administrację. To powinien być nasz plan jako państwa na najbliższe lata.

Potrzebujemy w Polsce podatkowego resetu. Tu nie można już nic poprawiać, należy od podstaw napisać nowy „kodeks podatkowy". Od podatków bowiem powinniśmy zacząć porządkowanie gospodarczej rzeczywistości. Obecny system do niczego się już nie nadaje. Jego kolejne reformy tylko komplikują sprawę. Prawo odnoszące się do danin publicznych trzeba napisać od nowa. Należy ograniczyć liczbę podatków, a wszystkie przepisy skodyfikować tak, aby były do odnalezienia w jednym dokumencie. Ujednolicone powinny być zasady opodatkowania działalności gospodarczej, tak aby to, ile należy się fiskusowi, nie zależało od tego, w jakiej formie prowadzony jest biznes. Tak, wiem, to jest projekt na lata, ale kiedyś trzeba zacząć i każda chwila zwłoki jest tu stratą cennego czasu. Wtedy efektywność wpływów podatkowych, a co najważniejsze nasza atrakcyjność jako państwa, w którym wato robić biznes, poprawi się radykalnie. Możemy być liderem, zacznijmy zatem szybko budować fundamenty pod nowoczesne przyjazne przedsiębiorcom państwo. I to jest Plan!

eprasa.pl 9e340ad6ae

Będą nowoczesne cewniki

Katarzyna Pinkosz

Z tej decyzji cieszą się urolodzy, a przede wszystkim mali pacjenci i ich rodzice. Walczyli o nią od lat. – To pierwszy efekt wprowadzenia Planu dla Chorób Rzadkich – mówi prof. Anna Latos-Bieleńska, konsultant krajowy w dziedzinie genetyki klinicznej

FOT. ADOBE STOCK

Wyczekiwana od lat decyzja dotyczy refundacji cewników. Nie mogą bez nich funkcjonować pacjenci, którzy nie są w stanie samodzielnie oddać moczu z powodu porażenia zwieraczy. Od 1 grudnia dzieci będą miały w 100 proc. refundowane nowoczesne cewniki hydrofilowe, zaś dorośli: w 70 proc. – To bardzo dobra decyzja, bardzo ułatwi życie tym pacjentom – przekonuje prof. Anna Latos-Bieleńska, kierująca Katedrą i Zakładem Genetyki Medycznej Uniwersytetu Medycznego im. Karola Marcinkowskiego w Poznaniu.

Medycznych powodów, dlaczego dziecko (lub dorosły) nie jest w stanie samodzielnie oddawać moczu, jest wiele; w wieku dziecięcym najczęstszą przyczyną jest wada wrodzona: przepuklina oponowo-rdzeniowa (rozszczep kręgosłupa) – wada cewy nerwowej, do której dochodzi w pierwszych tygodniach ciąży. W Polsce co roku rodzi się ok. 120–200 dzieci z taką wadą. Większość z nich rozwija się prawidłowo pod względem intelektualnym, może uczyć się w szkole, studiować, pracować, ale życie spędza na wózku inwalidzkim. Zaburzenia dotyczą unerwienia dolnej części ciała (ich ciężkość i wielkość zależy od miejsca rdzenia kręgowego, w którym pojawiła się przepuklina). U wszystkich dzieci występują też zaburzenia dotyczące czynności pęcherza moczowego (tzw. pęcherz neurogenny).

– Nie jest opróżniany, gdyż dziecko nie panuje nad mięśniami zwieracza. Pęcherz wypełniony moczem generuje bardzo duży skurcz, by przepchnąć mocz przez nieotwarty zwieracz. To ciśnienie może wpychać mocz do nerek, co prowadzi do wodonercza. Zalega on też w pęcherzu, pojawiają się więc zakażenia; z czasem może dojść do niewydolności nerek. Aby zapobiec tym negatywnym skutkom, konieczne jest cewnikowanie. Staramy się odzwierciedlić fizjologiczną czynność pęcherza, dlatego dziecko z pęcherzem neurogennym powinno mieć sześć cewnikowań na dobę – tłumaczy dr n. med. Piotr Gastoł, konsultant krajowy w dziedzinie urologii dziecięcej.

Do tej pory refundowane były tylko cewniki plastikowe, tzw. suche. Przed ich wprowadzaniem przez cewkę moczową do pęcherza trzeba je nawilżyć specjalnym żelem. Żel był jednak drogi i nierefundowany, a to przecież niejedyny wydatek w przypadku niepełnosprawnego dziecka. Jeśli żelu się nie użyje, to można uszkodzić cewkę moczową. Dziecko tego nawet nie poczuje (z powodu porażeń układu nerwowego), ale powstaje ranka, która się goi, tworzy się blizna, co powoduje zwężenie cewki moczowej. Jeśli takie ranki powstają często, cewnikowanie staje się niemożliwe, konieczna jest operacja, co wiąże się z koniecznością często długiego pobytu w szpitalu. Drugim niebezpieczeństwem stosowania tego typu cewników jest ryzyko zakażenia układu moczowego, gdyż z powodu oszczędności żel po otwarciu tubki używany jest wielokrotnie, przez co traci swe jałowe właściwości. Trudno jest o zachowanie sterylności, szczególnie w przypadku dzieci, które chodzą do szkoły i cewnikują się same. – Szkoły starają się stworzyć warunki do przeprowadzenia tej intymnej czynności, ale proszę sobie wyobrazić, jaka to jest krępująca sytuacja – mówi dr Gastoł.

POPRAWA JAKOŚCI ŻYCIA

Cewniki nowej generacji to cewniki hydrofilowe, gotowe od razu do uży-

eprasa.pl 9e340ad6ae

cia po wyjęciu z opakowania. To duże ułatwienie, bo można je zastosować wszędzie. – Redukują ryzyko powstania powikłań oraz ułatwiają cewnikowanie – mówi dr Gastoł. – Ich refundacja to ogromna zasługa wiceministra Macieja Miłkowskiego, ale też wielu osób, które się w to zaangażowały, m.in. z Medycznej Racji Stanu i ze stowarzyszenia pacjentów SPINA – dodaje prof. Latos-Bieleńska, która również walczyła o refundację cewników. – W mojej katedrze od prawie 25 lat prowadzimy Polski Rejestr Wrodzonych Wad Rozwojowych, to największy rejestr wad w UE. Szczególnie zwracamy uwagę na rozszczep kręgosłupa, ponieważ jest to jedna z najcięższych wad rozwojowych. Ponad 70 proc. dzieci z rozszczepem kręgosłupa rozwija się prawidłowo pod względem intelektualnym; znam wiele takich osób, to ludzie różnych zawodów i pasji, m.in. lekarz i artysta fotografik. Ich życie jest trudne, gdyż 80–90 proc. z nich musi korzystać z wózka inwalidzkiego, 90 proc. nie ma kontroli nad zwieraczami i przez całe życie musi się cewnikować kilka razy w ciągu dnia – mówi prof. Latos-Bieleńska. – Rozszczep kręgosłupa to choroba rzadka. Niedawno przyjęty został Plan dla Chorób Rzadkich, który zwraca uwagę na to, że osobom z chorobami rzadkimi należy się od nas wszystkich wsparcie, a także opieka medyczna zgodna ze współczesnymi standardami. Można powiedzieć, że refundacja cewników to pierwszy efekt Planu: osoby z rozszczepem kręgosłupa, czyli specyficzną chorobą rzadką związaną z wadą, dzięki tej decyzji doświadczą ogromnej poprawy jakości życia, a my – lekarze – będziemy wiedzieli, że są też bezpieczniejsi – podkreśla prof. Latos-Bieleńska.

Lekarze cieszą się też, że od grudnia za nowoczesne cewniki będą mniej płacić również dorośli z pęcherzem neurogennym, choć optymalnie byłoby, gdyby oni też mieli je w stu procentach refundowane.

UROLOGIA WYJDZIE Z CIENIA?

Profesor Artur Antoniewicz, krajowy konsultant w dziedzinie urologii, uważa, że decyzja refundacyjna dla cewników hydrofilowych to dowód zwrócenia uwagi na osoby tak bardzo dotknięte przez los, ale też sygnał przełamywania impasu w podejściu ministerstwa do wyzwań bezpieczeństwa wszystkich pacjentów cierpiących na poważne schorzenia układu moczowo-płciowego. Daje to nadzieję na oczekiwane od lat zmiany przez środowisko urologów. Wyzwań, które decydują o ludzkim życiu, jest wiele. Nowotwory urologiczne stanowią aż 23 proc. wszystkich nowotworów w Polsce, a ich prawidłowa diagnostyka i leczenie na wczesnym etapie mogą uratować wiele istnień. – Urologia ma potencjał wyleczenia co najmniej 30 tys. chorych nowotworowych rocznie. Wykonujemy ok. 7 tys. operacji radykalnej prostatektomii, 1,5 tys. radykalnej cystektomii, 21 tys. zabiegów na pęcherzu moczowym, 800–900 operacji nowotworów jądra, a oprócz tego operacje nowotworów prącia, górnych dróg moczowych. To leczenie „radykalne", to znaczy: wycinamy guz, ewentualnie wraz z zajętym narządem, i historia nowotworu się kończy: chory jest wyleczony – podkreśla prof. Antoniewicz.

Cewniki nowej generacji są gotowe do użycia od razu po wyjęciu z opakowania. To duże ułatwienie, bo można je zastosować wszędzie

W wielu przypadkach świetnie wyszkoleni polscy urolodzy nie są w stanie stosować na co dzień nowoczesnych technik diagnostycznych i operacyjnych w publicznych ośrodkach z powodu braku odpowiedniego finansowania procedur przez NFZ. Lista zmian, na które pilnie czekają urolodzy, jest długa, jeden z punktów dotyczy zmiany standardów wykonywania cystoskopii. – To podstawowe badanie endoskopowe pęcherza moczowego, analogiczne np. do gastroskopii; pozwala na rozpoznanie wznowy raka pęcherza moczowego. W wielu krajach standardem jest wykonywanie jej cystoskopem giętkim. Robi się to bez znieczulenia ogólnego, gdyż nie powoduje to dolegliwości. Zastosowanie cystoskopów starego typu (sztywnych), bez znieczulenia (taką procedurę refunduje NFZ), wiąże się z bólem, dlatego chorzy często starają się odwlekać kolejne badania kontrolne, co może powodować nierozpoznanie wznowy we wczesnej fazie choroby. To jedna z przyczyn, dlaczego mamy o ok. 10–15 proc. gorsze wyniki leczenia chorych na raka pęcherza moczowego w Polsce – ocenia prof. Antoniewicz.

W leczeniu raka pęcherza urolodzy czekają też na finansowanie podania chemioterapii dopęcherzowej (po resekcji guza). – Podanie leku do pęcherza zmniejsza częstość wznowy nowotworu co najmniej o 20 proc., czyli jeśli podamy ten lek zgodnie ze standardami, to 20 chorych spośród 100 nie będzie wymagało kolejnych operacji – dodaje prof. Antoniewicz. Urolodzy czekają też na właściwą wycenę biopsji fuzyjnej (to jedna z najbardziej nowoczesnych metod diagnozowania raka gruczołu krokowego), a także na zmianę wycen procedur chirurgicznych w urologii. – Ich retaryfikacja została zlecona przez Ministerstwo Zdrowia w 2018 r. Czekamy niecierpliwie, ponieważ cała urologia pracuje na wycenach sprzed kilkunastu lat, przez co nie może się rozwijać – dodaje prof. Antoniewicz. Przykład: cystektomia radykalna z wytworzeniem sztucznego pęcherza z jelit – bardzo trudna operacja o dużym ryzyku powikłań – jest wyceniona przez NFZ na ok. 14 tys. zł (wraz z często dwutygodniowym pobytem w szpitalu), co jest niewspółmierne do ponoszonych przez szpital kosztów.

Lista zmian, na które pilnie czekają urolodzy, obejmuje też refundację operacji z użyciem robotów chirurgicznych, co w wielu krajach jest już standardem w leczeniu niektórych nowotworów. – To najnowocześniejsza, najmniej inwazyjna technika chirurgiczna, jej przewaga nad innymi technikami jest widoczna szczególnie w trzech przypadkach: radykalne wycięcie gruczołu krokowego, radykalne wycięcie guza nerki w sposób nerkooszczędzający i radykalne wycięcie pęcherza moczowego. Wszystkie te przypadki dotyczą nowotworów, tak więc powinny być szczególnie istotne, zwłaszcza że Ministerstwo Zdrowia uznaje onkologię za dziedzinę priorytetową. Tak leczy się na świecie, czekamy na zmiany w Polsce, z tym większym optymizmem, gdy zapadają ważne decyzje refundacyjne – mówi prof. Antoniewicz.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

prof. Anna Latos-Bieleńska – konsultant krajowy w dziedzinie genetyki klinicznej.

eprasa.pl 9e340ad6ae

JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Latarnie umarłych

Niedawno minęły prasłowiańskie dziady i uroczystość Wszystkich Świętych, więc nastrój jest odpowiedni, aby wspomnieć o ciekawych budowlach, które w dawnej Polsce znajdowały się na cmentarzach, a także w pobliżu szpitali i przytułków. Chodzi o latarnie umarłych, których do dziś zachowało się tylko kilka. Były to kamienne lub ceglane obiekty przypominające kapliczki, wieże lub słupy, w których umieszczano kaganek rozświetlający mroki. Wznoszono je na cmentarzach, aby wskazywały drogę do raju niespokojnym duszom, odpędzały zmory, pokutujące duchy i… rabusiów grobowców. Jednak nie zawsze służyły tylko jako źródło oświetlenia. Stawiano je bowiem także przy leprozoriach dla trędowatych, na cmentarzach ofiar zarazy, gdzie ostrzegały przechodzących przed chorobą lub zakażeniem. Wreszcie budowano je także na skrzyżowaniach dróg, na traktach czy przed kościołami, aby wskazywały w nocy właściwy kierunek marszu. Bardzo wiele z nich znajdowało się na przykład na szlaku pielgrzymkowym do Santiago de Compostela w Hiszpanii. W czasach, kiedy ulice nie były oświetlone, pełgający wewnątrz latarni blask kaganka sprawiał niesamowite wrażenie.

Zdawać by się mogło, że tak mistyczne obiekty mają nasz własny, słowiański rodowód. Nic bardziej mylnego. Pochodzą one z Europy Zachodniej, z Francji, choć oczywiście nawiązują do wierzeń pogańskich. Najstarsza, o której wiemy, znajdowała się w sławnym opactwie Cluny, wspomina o niej bowiem Piotr Czcigodny w traktacie „O cudach", który pochodzi z czasów, gdy jego autor był opatem, czyli lat 1122–1156. Zakonnik wspomina tam o widzeniu pewnego młodego mnicha, który obok latarni na cmentarzu dostrzegł

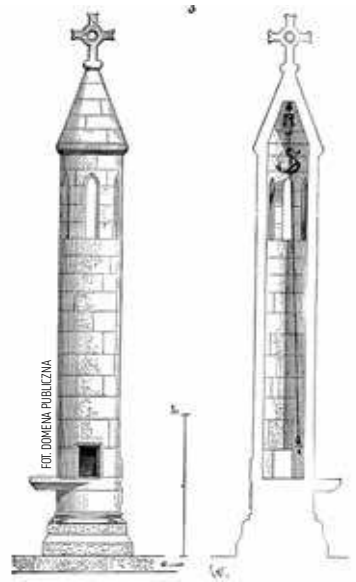

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Stwórcę w czasie Sądu Ostatecznego. W 1287 r. mamy zaś relację Guillaume de Tournona z opactwa w Dalon, w której opisuje latarnie zapalane na cmentarzach w celu przypomnienia o nieśmiertelności duszy. Latarnie odgrywały tę samą rolę co stawiane dziś na grobach znicze – zachęcały do modlitwy w intencji zmarłych lub pomagały tym duszom, które przebywały poza grobem, wrócić tam przed nastaniem dnia. Do dzisiaj nie jest jasne, czy paliły się co noc czy też zapalano je tylko w okresie świąt i pogrzebów.

Gdzie można jeszcze zobaczyć w Polsce latarnie umarłych? Cóż, przetrwało ich niewiele, gdyż zwyczaj ich budowy zaczął wygasać na przełomie XVIII i XIX w. W dodatku wiele z nich przeniesiono lub po prostu zmieniono w zwykłe kapliczki. Pierwsze zaczęły pojawiać się prawdopodobnie w XII w. w Krakowie i innych miastach. Jednak już na przełomie XIV i XV w. pojawił się konkurencyjny trend, aby zamiast nich wznosić po prostu cmentarne kaplice. W dodatku w wieku XIX w czasach romantyzmu stylizowano wiele zwykłych kapliczek tak, aby udawały średniowieczne latarnie umarłych.

Jedną z najlepiej zachowanych jest znajdująca się przy kościele pw. św. Mikołaja, przy ul. Kopernika 9 w Krakowie. Pochodzi ona prawdopodobnie z XIV w., jednak pierwotnie stała na dzisiejszym placu Słowiańskim, przed nieistniejącym kościołem św. Walentego, i ostrzegała przed znajdującym się tutaj szpitalem dla trędowatych niewiast. W 1818 r. opuszczona świątynia została sprzedana i rozebrana. Latarnia znajdowała się na pierwotnym miejscu do 1871 r., kiedy jako zabytek przeniesiono ją pod wspomniany kościół św. Mikołaja. Niestety, przy okazji została zamurowana; dziś nie sposób byłoby umieścić w niej kaganka ku czci zmarłych.

W Krakowie zachowało się więcej takich latarni. Jedną z nich jest tzw. słup dębnicki przy ul. Marii Konopnickiej, nieopodal centrum kongresowego, pochodzący prawdopodobnie z XVI w. i ostrzegający przed miejscowym cmentarzem cholerycznym. Kolejne znajdują się przy ul. Kopernika 44. Pierwsza wskazywała drogę do klasztoru Karmelitanek. Druga znajduje się przy ul. św. Sebastiana. Jest to pochodząca z XVIII w. latarnia zwana kapliczką św. Gertrudy, ostrzegająca przed szpitalem dla chorych na choroby weneryczne. Z kolei w Dębówce koło Lublina staraniem stowarzyszenia na rzecz promocji wiedzy o kulturze średniowiecznej Curia Mediaevalis zbudowano rekonstrukcję średniowiecznej latarni umarłych. Jest to kolumna wysoka na pięć metrów; w jej wnętrzu znajduje się pusty szyb, w którym umieszczony jest kaganek lub latarnia ze świecą, podciągane na wysokość okienek na górze. ©℗

eprasa.pl 9e340ad6ae

RAFAŁ FIDYT SERWUJE ŚLĄSKIE ARANCINI

Kuchnia regionu, z którego pochodzę, ma w moim sercu specjalne miejsce. Krupniok (kaszanka) to jeden z flagowych produktów śląskiej kuchni. Dziś przedstawiam niebanalny pomysł na wykorzystanie krupnioka. Kilka prostych składników, które są w każdym domu, pozwoli stworzyć pyszną przystawkę. Danie to robi furorę w restauracji Browar Welders, w której jestem szefem kuchni.

Składniki:

- 2 kaszanki
- 1 jajko
- 100 g panko (azjatycka bułka tarta)
- mąka do panierowania
- olej rzepakowy do smażenia
- 1 jabłko
- 1 łyżka musztardy dijon
- 2 łyżki musztardy francuskiej
- 1 łyżeczka miodu
- 1 łyżeczka masła
- pieprz

Przygotowanie:

Kaszankę obieramy z osłonek, dzielimy na porcje wielkości orzecha włoskiego i formujemy zgrabne kuleczki. Panierujemy w mące, jajku i panko. Smażymy przez mniej więcej trzy minuty na oleju rozgrzanym do 180 st. C, odsączamy na ręczniku papierowym.

Jabłko obieramy i kroimy w kostkę. Na odrobinie masła karmelizujemy jabłko z miodem. Gdy kawałki jabłka zrobią się miękkie, dodajemy obie musztardy i chwilę mieszamy. Doprawiamy pieprzem.

Na talerzu układamy jabłka, a na nich kuleczki z kaszanki.

I to już wszystko! Smacznego!

oprac. raw

Rafał Fidyt jest szefem kuchni, finalistą ostatniej edycji programu „MasterChef".

FOT. ARCHIWUM RAFAŁA FIDYTA

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Na bóstwo

Scena 1. Chłopak w metrze (w Londynie) naprzeciwko mnie, blondyn, lat gdzieś ok. 20 tarmosi w rękach komórkę, jak wszyscy. Co pewien czas lekko się pochyla i zaczyna intensywnie wpatrywać się w ekran, poprawiając starannie włosy. Włos po włosku, choć fryzurę ma niezbyt skomplikowaną: krótko z puchatą grzywką. Jednak widać, że pozycja pojedynczych kosmyków nie daje mu spokoju. Po chwili kończy, wyłącza komórkę, która u niego pełni funkcję lusterka. I może nie byłoby to nawet dziwne, w końcu każdy może poprawić włosy w lusterku. Ale on tę czynność za chwilę nerwowo powtarza, zaniepokojony położeniem kosmyków, chociaż nie ma wiatru ani innych groźnych dla fryzury zjawisk. I tak przez całą trasę, czyli ok. pół godziny. Do zabiegów nad swoim skromnym uczesaniem wracał co najmniej sześć razy.

Scena 2. W metrze, tym razem warszawskim, na trasie Kabaty – Centrum siedząca naprzeciwko mnie dziewczyna była bardziej profesjonalna. Wsiadła z twarzą sauté i przez pół godziny wykonała kompletny makijaż przy użyciu zestawu wyjętego ze sporej walizeczki. Metodycznie i starannie – kreska na powiekach, cień, linia brwi, wreszcie tusz do rzęs. Na twarz najpierw podkład, na to puder, na policzki róż, na koniec szminka. Wysiadając, rzuciła zadowolone spojrzenie w lusterko (tym razem nie komórkę).

FOT. ADOBE STOCK

Scena 3. Dziewczyna, na oko 30-letnia, w samolocie do Rzymu miała opalone nogi, długie ciemne włosy. Krótka spódnica i bluzka z dekoltem. Ale widocznie przed wyjazdem nie było czasu doprowadzić wyglądu do należytego stanu. Wydobyła sporą walizeczkę i zabrała się za manicure (lakier w kolorze byczej krwi). Wysuszyła paznokcie, machając rękami, i rozpoczęła smarowanie nóg balsamem czy kremem, nie wiem. Wszystko ze skupieniem, bez pośpiechu, w końcu lot do Rzymu trwa prawie trzy godziny.

Kobiety malują się od zamierzchłych czasów – poprawić urodę, zatuszować defekty. I w zasadzie nikt się tym specjalnie nie przechwalał. Poprawić szminkę należy w toalecie, nie w restauracji – mówiła mama. Co za bzdury! Nie wiedziała biedaczka żadnego z wideoblogów o makijażu, nie miała pojęcia, że istnieją akademie pudrowania, a czynności te wykonuje się nie w intymności własnej łazienki, ale publicznie. Gdy jedzie się porannym pociągiem z lotniska Lutton do Londynu, widać wiele kobiet, które dopiero w pociągu mają czas pomalować rzęsy czy usta. To dodatkowe 15 minut snu. Jak tego nie rozumieć? ©℗

eprasa.pl 9e340ad6ae

JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Medycyna, która leczyć przestała

Do tej pory z pandemiami było tak. Robiło się kwarantannę, by ci, którzy mieli zachorować, zachorowali, a reszta po okresie inkubacji, jak im się nic nie działo, to znaczy, że nabrali odporności, i wracamy do życia i pracy. A tu mieliśmy na odwrót. Wszyscy na kwarantannie, która weszła w ciągi kilkumiesięczne, podczas gdy wirus się inkubuje w parę dni. Pozamykaliśmy się w domach, tracąc naturalną odporność, najważniejszą broń przed wirusem. I przestaliśmy leczyć ludzi.

Coraz to wyskakiwały rewelacje, że a to iwermektyna, amantadyna – polski specjał, witamina D3, o innych nawet nie wspomnę. I medycyna, ta naukowa, zareagowała… hejtem. Zaczęto sekować wszelkie próby znalezienia specyfiku na COVID, zwłaszcza jeśli było to lekarstwo od dawna używane, a skuteczne w przypadku COVID. Wystarczy dodać, że szczepionkę, wyrafinowany produkt o genetycznym oddziaływaniu, sprokurowano w parę miesięcy, a badania nad działaniem znanych od dawna leków ciągną się i ciągną. Tak jest na przykład z amantadyną, którą aplikuje dr Bodnar (tak, ten, któremu grozi nie tylko wyrzucenie z zawodu, lecz także kara do 5 mln zł za to, że śmiał leczyć ludzi). Mało tego – ultrasi medycznych ekspertów („jastrząb" prof. Simon) zaczęli ostrzegać, że amantadyna szkodzi, choć to lek używany na parkinsona od kilkudziesięciu lat.

Koronawątpiący spekulują, że Big Pharma nie jest zainteresowana lekarstwami, bo te podaje się chorym. Za to szczepionki podaje się – albo raczej chce się podać – całej ludzkości. Po prostu można więcej zarobić, bo szczepić się musisz prewencyjnie, a gdybyś się wyleczył, to raz, już na długo albo i na zawsze. W dodatku kuracja taką amantadyną to jakieś 20 zł i nie ma tu porządnej przebitki.

Coraz więcej krajów zauważyło, że jednak się pomyliło. Że traktowanie koronawirusa jako jakiegoś superzabójcy nie miało sensu. Dania, Szwecja, ostatnio nawet ostrożna Japonia, ba – Niemcy zadeklarowały (eureka!), że COVID to choroba zakaźna jak wszystkie dotychczasowe. Wycofano się z polityki lockdownowej, testowania do upadłego, straszenia panikarzy i zaczęto… leczyć ludzi.

Nawet Pfizer zadeklarował, że mają już lekarstwo, oczywiście za harmonię pieniędzy. A to oznacza, że może i szczepionkowy szał się skończy, no bo jak się główny producent szczepionek przełącza na leczenie, to znaczy, że zwijamy interes. Tylko my jakoś odstajemy. Coraz więcej państw przechodzi na normalne tryby, trochę się martwi o napływ szpitalnych zaszczepionych, a u nas „wieś spokojna – niech na całym świecie wojna, byle polska wieś zaciszna, byle polska wieś spokojna". U nas w szpitalach tylko niezaszczepieni, amantadynę badają już rok, eskalujemy ten nasz sanitaryzm, podczas gdy świat od tego powoli odchodzi. Czyli wojna się zaraz skończy, a my będziemy wciąż wysadzać te pociągi. Chyba się to komuś spodobało. ©℗

JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

Kolegom nonkonformistom do sztambucha

Patrzę na moich kolegów po fachu: muzyków jazzowych i rockowych, dziennikarzy i publicystów. W obu tych grupach jedną z najważniejszych deklarowanych wartości jest niezależność. Wśród muzyków taka postawa pochodzi jeszcze z wczesnych lat rock and rolla, gdy kontestowaliśmy zastany porządek świata, tęskniliśmy za sprawiedliwością i powszechnym pokojem. Towarzyszyła temu naiwna wiara, że ludzie, gdy usłyszą protest songi z przesłaniem „Make Love not War!", jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zmienią swą naturę.

Postawę buntu i wręcz fetyszyzacji niezależności słychać nie tylko w piosenkach. Stare gwiazdy i młode gwiazdeczki w wywiadach chętnie pouczają o wartościach: wolności, odwadze bycia sobą i kroczeniu pod prąd. Również dziennikarze cenią sobie niezależność – szczególnie grupa tych autorów, która zakwestionowała oficjalną narrację po tragedii smoleńskiej. Wtedy odwagą było rzucenie wyzwania głównym mediom. Nie każdy potrafił otwarcie piętnować kłamstwa komisji Millera, Macieja Laska i kwestionować przekaz konferencji prasowych Donalda Tuska.

Dziś, gdy jesteśmy już w stanie dotrzeć do informacji falsyfikujących oficjalną narrację dotyczącą pandemii COVID-19, gdy na jaw wychodzą absurdy obostrzeń, katastrofalne skutki pandemicznej polityki rządu, zarówno moi dawni przyjaciele z show-biznesu, jak i prawicowi, odważni nonkonformiści, tropiciele smoleńskiego kłamstwa w większości nabrali wody w usta. Wprawdzie widzą już nieskuteczność maseczek, ale naciągają je na nos, gdy są między ludźmi. Boją się powikłań po szczepieniach, ale gdy menedżer trasy przed wyjazdem na koncerty zażądał certyfikatu, większość przyjęła jednodawkowego Johnsona.

Dziennikarze, choć mogliby poznać statystyki zakażeń i śmiertelności, sprawdzić skuteczność obostrzeń nakładanych nam przez Ministerstwo Zdrowia... milczą. Nie mieści im się w głowie, że mogliby stanąć w obronie kobiet, gdy minister Niedzielski w telewizji z pogardą, w wyjątkowo chamski sposób wypowiada się o poseł Annie Marii Siarkowskiej lub gdy inni szydzą z Bożeny Dykiel.

Teraz, choć widzą szybujące w górę statystyki zakażeń, w krajach, gdzie miażdżąca część populacji jest w pełni zaszczepiona, nie pisną ani słowem, gdy rząd zapowiada segregację sanitarną i perwersyjnie zmusza pracodawców, by w swoich firmach zaglądali zatrudnionym we wrażliwe dane. Buntownicy, piewcy wolności i niezależności, obrońcy klimatu i natury karnie nadstawiają ramię po kolejną dawkę preparatu GMO, potulnie wykonują zalecenia, w których skuteczność sami nie wierzą. ©℗

eprasa.pl 9e340ad6ae

Dzieło, jakiego jeszcze nie było!

Joanna Wieliczka-Szarkowa

Polska i Polacy. Dzieje Narodu. Tom II, *od rozbiorów do współczesności*

Wielkim atutem tego tomu jest bogactwo reprodukowanych archiwalnych fotografii, koloryzowanych nowatorską techniką cyfrową. Dzięki temu Czytelnik będzie mógł obejrzeć w pełnym kolorze kadry z odzyskania Niepodległości, wojny polsko-bolszewickiej, kampanii wrześniowej 1939, Powstania Warszawskiego oraz innych wydarzeń, które dotąd mogliśmy oglądać tylko w czarno-białych fotografiach.

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury, Dziedzictwa Narodowego i Sportu pochodzących z Funduszu Promocji Kultury

Ministerstwo Kultury Dziedzictwa Narodowego i Sportu

Patroni medialni

TVP HISTORIA · BBC HISTORIA · REPUBLIKA

W sprzedaży jest również tom I dzieła **Polska i Polacy. Dzieje Narodu.** *Do 1795 roku.* (336 stron)

Polska i Polacy. Dzieje Narodu

Nie znam piękniej i bardziej poruszająco przedstawionej historii Polski: tej, która walczy o wolność i nie wstydzi się heroizmu swoich dzieci, nie zapomina o ofierze swoich obrońców. W kolorowych fotografiach ożywają nagle, pierwszy raz, twarze Jurka Bitschana, ojca Kolbe, majora „Hubala", bohaterów „Szarych Szeregów" czekających na przeciwnika w afrykańskim okopie Strzelców Karpackich pod Tobrukiem... Niesamowite wrażenie – bo oparte na prawdzie.

prof. dr hab. Andrzej Nowak

Oszczędzasz 50 zł ~~199,00~~

149,00

Kod: 758088

Monumentalna ilustrowana historia Polski została opracowana z niezwykłą starannością. Autorka tekstu, Joanna Wieliczka-Szarkowa, stworzyła syntetyczny utwór obejmujący dzieje Polski od początków państwowości. Księgi uzupełniono o reprodukcje unikatowych dzieł sztuki takich jak obrazy, mapy i obiekty architektury. Zaprezentowano tu zbiory pochodzące z różnych muzeów polskich i europejskich, m.in. z wielu oddziałów Muzeum Narodowego i z Muzeów Watykańskich.

AROMAT SŁOWA, 24×33, s. 368, twarda z obwolutą, kolorowe ilustracje, kredowy papier.

eprasa.pl 9e340ad6ae

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Człowiek nabiera wartości po śmierci

Dziś akurat nie chciałbym nikogo obrazić czy też wyjść na człowieka pozbawionego elementarnej wrażliwości, ale dotychczas to zjawisko dotyczyło raczej artystów, a polityków mniej. Artysta po śmierci stawał się często bardziej wartościowy niż za życia. Może to wynika z faktu, że jak ktoś umarł, to „umarł dokładnie" (Szymborska) i już nic nie zmaluje, nie napisze niczego kompromitującego? Jest sobie martwy i możemy z takim artystą i jego dziełem robić, co się nam podoba, bo przecież nie będzie się bronić. Krótko mówiąc – po śmierci człowiek czasem robi oszałamiającą karierę, ale, jak się już napisało, dotyczyło to raczej artystów. Raczej...

Donald Tusk na Twitterze napisał o tragicznie zmarłym prezydencie Gdańska: „Dziś Paweł Adamowicz obchodziłby Swoje 56. urodziny. Pamięć o Pawle nie pozwala nam stać z boku, kiedy Polskę zalewa rosnąca fala nienawiści". Następnie zacytował fragment listu z pogróżkami, który dostał od jakiegoś anonima, i znalazł winnego – Jarosława Kaczyńskiego. Ten wątek zostawmy, jest oczywiste, że Kaczyński jest wszystkiemu winny i nie ma co dyskutować. Ważniejsze jest postrzeganie postaci Adamowicza.

Za życia PO, delikatnie mówiąc, dystansowała się od niego i odmówiła mu poparcia przy starcie na stanowisko prezydenta Gdańska, rekomendując młodego Wałęsę. Poszło o proces dotyczący pewnych kłopotów Adamowicza z oświadczeniami majątkowymi. Traf chciał, że trochę przydużo dóbr doczesnych w postaci nieruchomości i gotówki miał posiadać prezydent i była koło tego nieciekawa atmosfera. „Uważam, że może być taka sytuacja, że zostanie skazany prawomocnym wyrokiem sądu, i wtedy może się wydarzyć, że nie będzie mógł kontynuować swojej pracy na urzędzie. Co będzie to oznaczało? Zarząd komisaryczny nadany z Warszawy. To będzie oczywiście zarząd PiS-owski i gdańszczanie nie będą już mieli swojego prezydenta" – mówił w 2018 r. Jarosław Wałęsa o Adamowiczu. Wałęsa był kandydatem PO, tyle że przegrał, a Adamowicz i tak został prezydentem Gdańska. Natomiast Sławomir Neuman w podsłuchanej rozmowie mówił wówczas: „Jedynym gościem jest Adamowicz, który ma absolutnie megatwarde rzeczy, które mogłyby go wyprowadzić w kajdankach". Niemniej, ponieważ Wałęsa odpadł w pierwszej turze, Neuman zaapelował, żeby w drugiej turze głosować jednak na Adamowicza.

Paweł Adamowicz zginął zabity przez szaleńca w czasie źle zabezpieczonej imprezy. Zwietrzono w związku z tym okazję do politycznego wykorzystania tragedii. Nowe życie po śmierci. Nie ma takiej niegodziwości, której nie dopuściliby się ludzie... ©℗

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

MAŁGORZATA WOŁCZYK

PIÓRKIEM I PAZURKIEM

Ludzie z bańki

Małgośka, mówią mi, nie rozumiesz, co się dzieje, bo żyjesz w bańce medialnej. A jakże… Ja, która na prenumeratę „El País", „Le Soir", „Wyborczej" wydaję sakiewkę pieniędzy, trwam w bańce? Ja, która codziennie gmeram w tych szambach, usiłując zrozumieć, jak można korzystać z dobrodziejstw wynalazku druku, wyszydzając przy tym inne wynalazki ludzkości typu: rodzina, wspólnota, Kościół? Otóż ja nie mogę być w bańce (!), bo moja praca to codzienne konfrontowanie się z tym, co narzuca lewica. Zapędzili nas do narożnika, więc skazani jesteśmy na czytanie ich gazetek. Tymczasem oni czytają i przedrukowują się wyłącznie między sobą, stąd brak im kontaktu z rzeczywistością.

Jak mogę trwać w bańce, gdy ciągle poruszam się na linii Warszawa – Madryt? I tu, i tam konserwatysta zmuszony jest czytać z gestów, niedopowiedzeń, czy nie spotkają go drwina i obelgi. I tu, i tam, gdy wsiadam do taksówki, patrzę najpierw, jakiego radia słucha taksówkarz, żeby przewidzieć, czym może się skończyć rozmowa, gdy szofer zechce zagaić o polityce.

W Hiszpanii najwięcej aktów fizycznej napaści (motywowanych politycznie) dotyka ludzi VOX i patriotów z bransoletką w kolorach flagi. Gdy więc ostatnim razem wracałam z wiecu, a na pamiątkę wręczono mi dwie flagi (zieloną VOX, i czerwono-złotą Hiszpanii), miałam poważny dylemat w drodze powrotnej: „Obiją mi buzię czy nie? Przemycę się bezpiecznie przez 18 stacji metra czy nie? I czy polskiej dziennikarce wypada narażać się dla obcych symboli narodowych? A jak dostanę w zęby, to kto zapłaci za leczenie? No ale zawsze było »za wolność naszą i waszą«, no ale z drugiej strony z podbitym limem na łono ojczyzny wracać?". I tak sobie hamletyzowałam jakiś czas, choć zamiast czaszki w ręce miałam dwie szturmówki.

W końcu stwierdziłam, że spłacę Hiszpanom część długu za Somosierrę, i z duszą na ramieniu wracałam przez pół Madrytu, wytrzymując ostrzał spojrzeń informujących mnie z pogardą, że jestem „facha y homofoba". Bo już niezależnie od tego, na których antypodach UE jesteś, przywiązanie do narodowych symboli czyni cię faszystą wyjętym spod prawa.

Trzaskowski wydając zakaz Marszu Niepodległości, wpisuje się idealnie w zachodni nurt ojkofobii i niemal bolszewickiej obsesji widzenia w każdym przeciwniku faszysty. Partyjni koledzy Trzaskowskiego w Brukseli głosują identycznie jak towarzysze z Hiszpańskiej Socjalistycznej Partii Robotniczej. Może i komunizm skończył się w 1989 r., ale niektórzy towarzysze nigdy nie opuścili bańki, w której tkwią mentalnie. ©℗

eprasa.pl 9e340ad6ae

WOJCIECH ROSZKOWSKI

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Po której stronie?

Ostatnia debata na temat Polski w Parlamencie Europejskim powinna w jasny sposób uzmysłowić, na czym polega problem w polityce polskiej i europejskiej. Premier Morawiecki precyzyjnie objaśnił, co zawierało ostatnie orzeczenie polskiego Trybunału Konstytucyjnego, niemal identyczne z podobnymi orzeczeniami trybunału niemieckiego, francuskiego, duńskiego i innych, a także orzeczeń polskiego Trybunału sprzed wielu lat. W polskim systemie prawnym, tak jak w systemach wszystkich członków Unii, obowiązuje miejscowa konstytucja z wyjątkiem kwestii, które te państwa oddały w gestię Unii na mocy traktatów akcesyjnych i kolejnych aktów europejskich, takich jak traktat lizboński. Ani TSUE, ani Komisja Europejska nie mają prawa rozszerzać władztwa unijnego poza te granice. W odpowiedzi z ust „Europejczyków" – także polskich – udających, że nie rozumieją tej prostej prawdy, posypały się demagogiczne wypowiedzi, a najczęściej insynuacje nie na temat.

O co więc chodzi? Chodzi o pozatraktatową zmianę systemu Unii Europejskiej przez eurokratów. Kilkadziesiąt tysięcy urzędników unijnych, manipulujących opinią publiczną w krajach członkowskich przy pomocy swoich machin partyjnych, w których lewicowość i prawicowość są wymieszane niemal idealnie, chce rządzić ponad głowami milionów szarych ludzi, zajętych swoimi sprawami. Ludzie ci zaś powinni włączyć się w radosny pochód zatomizowanych osobników zajętych swoimi ciałami, a nie duszami. I w tym jest rzeczy sedno. Nieznane dokładnie „wartości europejskie" lub „praworządność", „polexit" czy „homofobia" to pałki, którymi zagania się miliony owieczek do unijnej zagrody. Juhasi mówią jeszcze różnymi językami, choć ich szefostwo woli niemiecki. Część europejskich stad już potulnie zajęła swoje miejsca w tej zagrodzie, choć niektóre stada się jeszcze opierają.

Powstaje pytanie, dlaczego 25 polskich europosłów przyłączyło się do nagonki na polski rząd? Prosta nienawiść do tego rządu wiele tłumaczy, podobnie jak wymierne korzyści, które uzyskują oni z takiej postawy. Dlaczego jednak walkę z własnym rządem, a w tym przypadku z własnym państwem, popierają miliony Polaków, z których niektórzy głosują przeciw budowie muru na granicy, a nawet usiłują demolować zasieki graniczne? Duszą się w granicach Polski? Chcieliby szerzej odetchnąć? Na wschodzie jest bardzo wiele miejsca, aż do Władywostoku. Chyba jednak chodzi o coś innego.

„Wartości europejskie", „praworządność", „polexit" czy „homofobia" to pałki, którymi zagania się miliony owieczek do unijnej zagrody

Franz Kafka napisał kiedyś: „W konflikcie ze światem stań po stronie świata". Atakowanie własnego rządu na arenie międzynarodowej jest objawem tego rodzaju odchylenia. Człowiek niepewny swej godności ani wartości, których niby broni, ani nieceniący swej tożsamości lub nawet nienawidzący sam siebie, będzie szukał potwierdzenia swej godności w bezwarunkowej akceptacji świata. Ze swoich wad narodowych robi jakieś horrendum, ale bojąc się świata, na ogół go idealizuje, a zwłaszcza przecenia. Bezwolnie nie zauważa, że świat go pochłania, nie zauważa na przykład, że głos europejskiego ludu jest formułowany w zaciszu restauracji Parlamentu Europejskiego i dopiero potem rozpisany na role w kolejnej debacie, że tam ustala się, jak mają decydować narody europejskie w kolejnych referendach. Jeśli ich obywatele zawiodą, to referenda trzeba będzie powtórzyć. Jeśli opornych nie da się pokonać ich konstytucjami, to należy z tymi konstytucjami skończyć.

Żeby było jasne: to nie Unia Europejska jest problemem. Nie wspólny rynek jest winien, nie zasada pomocniczości wpisana na samym początku w unijny kamień węgielny. Problemem jest biurokratyczna patologia, która niszczy Unię. Połajanki przeciwników polskiego rządu, który z uporem powtarza tę prawdę, są dowodem, że ich autorzy mają zachwiane poczucie własnej tożsamości. Nie chodzi o to, by walczyć z całym światem, ale o to, by nie poddawać się mu bezwolnie wbrew sobie. Nie jest bowiem aż tak źle: w sobie można znaleźć też wiele wartości i sił, byle je dobrze rozpoznać.

Podobno ulubionym dylematem poznawczym w filozofii zen jest pytanie: „Jak brzmi dźwięk klaszczącej jednej dłoni". Ideologiczni „Europejczycy" nie chcą słuchać o rzeczywistości. Nie dbają nawet o własny interes. Dlatego wjazd rządzących na cmentarz w okresie pandemii jest dla nich winą niewybaczalną, a wyciek 250 mld zł w ręce przestępców VAT-owskich można zbyć machnięciem ręką. Dlatego w imię fałszywej troski o praworządność wspierają niepraworządność. W konflikcie ze światem stają po stronie świata. ©℗

eprasa.pl 9e340ad6ae

FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

MASZERUJ

Wojciech Cejrowski korespondencja z USA

Nie wiem, czy każdy doczyta do końca, więc od razu napiszę, że MARSZ 11 LISTOPADA MA IŚĆ, CHOĆBY POD PAŁY I KULE. Więcej za chwilę.

***

Pyta mnie facet zaczepnie: Skoro mieszka Pan za granicą, to po co się Pan wtrąca w sprawy Polski? „Wtrącam się", bo Polska to moja ojczyzna, moja matka i troszczę się o jej los. Nawet wówczas, gdy bywa matką wyrodną lub macochą. Troska o kraj da się sprowadzić do konkretów. Troszczę się o losy moich rodaków, w tym moich przyjaciół, mojej rodziny. Troszczę się o groby moich przodków, które są na terenie Polski. Troszczę się o mój majątek i firmy, które w Polsce prowadzę. Płacę podatki nie tylko za granicą – także w RP – więc jestem zainteresowany tym, co się potem z tymi pieniędzmi dzieje? Dlatego aktywnie zwalczam socjalistów z PiS i z PO, i z PSL, i z SLD czy jakkolwiek się te partie teraz nazywają – WSZYSCY WON, bo wszystkie te partie są za tym, by pieniądze wydojone z Polaków przekazywać do UE jako składki członkowskie, zamiast przeznaczyć je na rozwój kraju. Można by Polaków po prostu mniej doić i wówczas obywatele wiedzieliby, jak tę forsę najlepiej wydać samodzielnie.

***

Wtrącam się i angażuję, bo obywatel powinien się wtrącać i aktualnej władzy albo przeszkadzać (w robieniu rzeczy złych), albo pomagać (w robieniu dobrych), a patriota powinien się angażować, bo z miłości do ojczyzny tak jak z każdej wynika zaangażowanie się.

Kochasz kobietę, to o nią dbasz, kupujesz kwiaty, zabierasz na spacer lub stawiasz na jej grobie znicz. Kochasz swój kraj, to bijesz w mordę, gdy ktoś Polskę obraża, i stroisz dom flagami, gdy jest święto narodowe. To proste: o Polskę dbam jak o matkę, o Paragwaj jak o dobrego kumpla, z którym robię interesy, o Arizonę dbam jak o żonę, a UE traktuję jak kogoś, kto chce moją matkę wydoić z pieniędzy, Izrael jak kogoś, kto moją matkę stale poniża, a Rosję traktuję jak recydywistę, który chce moją matkę zgwałcić (po raz kolejny).

Proste wzory myślenia. I takie mają być! Nazywajcie to sobie uproszczeniem, a ja na to przypomnę pytanie, które często zadają kobiety: Kochasz mnie?

Bardzo proste i nie ma się jak wymigać, bo odpowiedzi są trzy: tak, nie, nie wiem. A gdy ktoś mówi: „Nie wiem" – to znaczy, że nie kocha.

***

Niezależnie od tego, gdzie mieszkam, narodowość mam polską. Narodowość jest niezmienialna. Podobnie jak rasa czy płeć (tak, płeć też jest niezmienialna, bo zapisana w każdej komórce twego ciała niezależnie od tego, co sobie utniesz, doszyjesz czy wpiszesz do dowodu).

Ja mam narodowość polską, jestem z tego dumny i TROSZCZĘ się o moją Ojczyznę nawet wtedy, gdy mieszkam za granicą. Podobnie robili inni mieszkający na stałe za granicą: Paderewski, Miłosz, Mrożek, Szopen, Kiepura… I nie trzeba być sławnym – wielu Polaków mieszkających na stałe na przykład na Wyspach czuje podobnie: Kocham Polskę, to się wtrącam, bo nie jest mi obojętna.

***

Do kogo należy Święto Niepodległości? Na pewno nie należy do władzy, bo to nie jest święto państwowe, lecz… narodowe. Podobnie jak Wszystkich Świętych nie jest świętem państwowym, lecz religijnym. Kolosalna różnica, również formalnoprawna.

Państwo (władza, administracja, rząd, urzędnicy) nie ma żadnych praw do zarządzania świętami narodowymi ani kościelnymi. Mogą obywatelom ułatwić świętowanie, ogłaszając urzędowo dzień wolny od pracy, ale wtedy nadal święto narodowe pozostaje wyłączną własnością narodu, a święto religijne – wyłączną własnością wiernych.

Dzień Wojska Polskiego jest świętem państwowym, bo armia stanowi część aparatu państwowego.

Niezależnie od tego, czy władza ogłosi dzień wolny od pracy czy nie, święta religijne przypadają i są obchodzone. Za komuny Trzech Króli to był normalny dzień pracy, a mimo to dla katolików świąteczny. Podobnie rzecz się ma ze świętami narodowymi – one są wyłączną własnością narodu i władza państwowa nie ma tu nic do gadania. Może pomóc lub się przyłączyć, ale nie może zarządzać nie swoim świętem. Za komuny świętowaliśmy 11 listopada, pomimo zakazu. I 3 maja też. Wiem, byłem, widziałem, dusiłem się od gazu łzawiącego, byłem pałowany, aresztowany.

***

W przypadku święta narodowego – a konkretnie tu i teraz zaraz Święta Niepodległości – władza państwowa nie ma żadnych praw, ma natomiast liczne obowiązki. Jeżeli obywatele chcą w ramach obchodów maszerować z flagami, transparentami, z racami, to władza ma obowiązek tak wszystko zorganizować, aby dowolna liczba chętnych mogła odbyć swoje święto tak, jak tego chce, i tam, gdzie chce. Gdyby w ramach obchodów zaplanowane było palenie flagi UE, władza ma obowiązek podstawić wóz strażacki i karetkę. Ma ułatwić, umożliwić i zabezpieczyć, a nie przeszkadzać i zakazywać. A jeżeli przeszkadza i zakazuje, to nadal należy MASZEROWAĆ NAWET POD CZOŁGI I KULE – tak jak np. w stanie wojennym, co pamiętam z osobistego doświadczenia.

***

Koncepcja uzyskiwania zezwoleń na manifestacje jest sprzeczna z wolnością, prawami jednostki, prawami człowieka. Obywatele powinni władzę jedynie ZAWIADAMIAĆ, jakie mają plany na przemarsz 11 listopada lub w Boże Ciało, a władza ma się dostosować. Co w sytuacji, gdy na tym samym moście chcą być jednocześnie dwie sprzeczne ze sobą grupy? To już osobisty problem władzy. Od tego jest, by tego typu problemy rozwiązywała, ale nigdy za pomocą zakazu dla jednej z grup. Niech zaproponują inne godziny na tym samym moście lub inny most, lub cokolwiek, ale nie wolno im zakazywać czegoś, co nie do nich należy.

A gdyby zakazali, to to jest zakaz nieważny i należy go zignorować (obywatelskie nieposłuszeństwo). Wolność ma swoją cenę i zawsze oznacza konflikt z jakąś władzą. Władza mądra umie konflikty łagodzić i rozwiązać. Władza głupia chce się z narodem bić po mordach. ©℗

eprasa.pl 9e340ad6ae

Uwaga: nowe ceny!

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY"

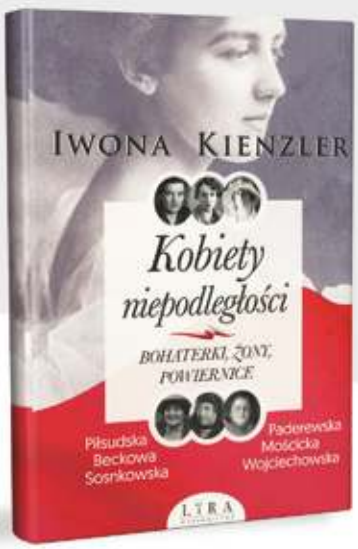

+

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

IWONA KIENZLER
„KOBIETY NIEPODLEGŁOŚCI. BOHATERKI, ŻONY, POWIERNICE"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~706 ZŁ~~

312,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 349 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania
| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 9e340ad6ae

Lech Kaczyński. Warto być Polakiem

Banknot kolekcjonerski NBP

9 listopada 2021 roku Narodowy Bank Polski wprowadza do obiegu banknot kolekcjonerski „Lech Kaczyński. Warto być Polakiem” o nominale 20 zł.

kolekcjoner.nbp.pl

Przez emisję tego banknotu, szczególnie ważnego dla milionów Polaków, chcemy oddać hołd wielkiemu człowiekowi, jakim był prof. Lech Kaczyński, który całym swoim życiem potwierdzał, że: „Warto być Polakiem”.

Prof. Adam Glapiński, Prezes NBP

eprasa.pl 9e340ad6ae